



**You have downloaded a document from  
RE-BUS  
repository of the University of Silesia in Katowice**

**Title:** Gdzie diabeł (tasmański) mówi dobranoc : wizerunek Australii w literaturze polskiej

**Author:** Magdalena Bąk

**Citation style:** Bąk Magdalena. (2014). Gdzie diabeł (tasmański) mówi dobranoc : wizerunek Australii w literaturze polskiej. Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego.



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI  
W KATOWICACH



Biblioteka  
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki  
i Szkolnictwa Wyższego

**Magdalena Bąk**

# **Gdzie diabeł (tasmański) mówi dobranoc**

**Wizerunek Australii w literaturze polskiej**



WYDAWNICTWO  
UNIwersytetu śląskiego  
KATOWICE 2014



# Gdzie diabeł (tasmański) mówi dobranoc

Wizerunek Australii w literaturze polskiej

*Pamięci Profesora Adama Jamrozika –  
znakomitego uczonego, wspaniałego  
przyjaciela, nieocenionego przewodni-  
ka po wielu australijskich ścieżkach...*



NR 3145

Magdalena Bąk

# Gdzie diabeł (tasmański) mówi dobranoc

Wizerunek Australii w literaturze polskiej

Redaktor serii: Historia Literatury Polskiej  
Marek Piechota

Recenzent  
Maciej Szargot

## Spis treści

Wstęp . . . . .	7
Rozdział I	
Polak – Kalop dwa bratanki. Australia Wojciecha Gutkowskiego . . . . .	15
Rozdział II	
Gorączka złota . . . . .	33
Kopalnie . . . . .	38
Rewolucja . . . . .	45
Krajowcy . . . . .	59
Rozdział III	
Słówko o kobietach, czyli australijskie opowiadania Sygurda Wiśniowskiego . . . . .	73
Rozdział IV	
Wylądowaliśmy w Australii . . . . .	95
Kobieta . . . . .	96
Mężczyzna . . . . .	108
Dziecko . . . . .	119
Rozdział V	
Australia we współczesnej literaturze podróżniczej . . . . .	127
Australia przede wszystkim . . . . .	127
W kłapkach przez pustynię . . . . .	143
Ci wspaniali mężczyźni w ich szalejących maszynach . . . . .	164
Niewidzialni mieszkańcy Nicości . . . . .	176



Australia – „przez wieki idąca powieść” . . . . .	195
Bibliografia . . . . .	199
Bibliografia podmiotowa . . . . .	199
Bibliografia przedmiotowa . . . . .	201
Indeks osobowy . . . . .	205
Summary . . . . .	209
Résumé . . . . .	211

## Wstęp

Australia wydaje się krajem odległym i egzotycznym, a w Polsce ciągle jeszcze stosunkowo mało znanym. Wiesław Olszewski we wstępie do swojej *Historii Australii* pisał: „Pozyskanie realnej wiedzy o przeszłości i teraźniejszości tego kraju było w Polsce bardzo trudne. Niewiele w tym zresztą zdrożności, gdyż głębia wyobrażeń o Australii w innych krajach Europy, może poza Wielką Brytanią, była nader zbliżona”<sup>1</sup>. W opublikowanej w 1962 roku pracy na temat literackiego wizerunku Australii szwedzkiego autora Stena Bodvara Liljegrena pada znaczące pytanie: „Czy ten kontynent jest wciąż zbyt daleko?”<sup>2</sup>. Odpowiedź, jakiej badacz udziela, brzmi wprawdzie bardzo optymistycznie: „Australia nie jest już krajem »tam na dole«, jest tuż obok”<sup>3</sup>, ale w powszechnym odczuciu zarówno Europejczyków, jak i Polaków owo „tuż obok” ma dość „odległy” charakter.

Tematyka australijska nie należy do tych najczęściej podejmowanych w polskiej literaturze, pojawia się jednak regularnie na kartach rodzimych utworów należących zarówno do literatury pięknej, jak i wspomnieniowej, reportażowej czy podróżniczej. Doczekała się też wielu interesujących ujęć, dostarczających ciekawe-

---

<sup>1</sup> W. OLSZEWSKI: *Historia Australii*. Wrocław 1997, s. 5.

<sup>2</sup> S.B. LILJEGREN: *Aspects of Australia in contemporary literature*. Lund 1962, s. 51. Jeśli nie zaznaczono inaczej, tłumaczenie własne.

<sup>3</sup> Ibidem, s. 52.

go materiału do analizy. Celem niniejszej książki jest omówienie reprezentujących różne typy piśmiennictwa wybranych dzieł, w których Australia zaznaczyła w ciekawy sposób swoją obecność.

Nie ulega wątpliwości, że Australia to kontynent wyjątkowy, fascynujący swoją przyrodniczą i kulturową odmiennością. Już sama próba „bezstronnego” opisu musi rodzić poważne trudności, bo wobec fenomenów zaskakujących swą innością, wobec bogactwa elementów domagających się prezentacji, wreszcie wobec różnorodności krajobrazów i zjawisk społecznych każdy z „opisujących” przyjmuje inną strategię porządkującą, skutkującą skonstruowaniem innego wizerunku „kraju w dole globusa”. Jak słusznie zauważył Tadeusz Zimecki: „»Trzeba znaleźć się samemu w jakimś obcym kraju, aby się przekonać, że nikt nigdy nie powiedział o nim prawdy«. To Irwin Shaw. Święte słowa. Choćbyś przeczytał tysiąc książek o Australii – nic o niej nie wiesz. I ja się naczytałem. Zobaczyłem dopiero, gdy wyruszyłem. Innej rady nie ma. Było tu przede mną kilku. Żaden nie łgał. Po prostu każdy widział inaczej”<sup>4</sup>.

Sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy celem piszącego jest świadoma kreacja, stworzenie obrazu Australii z powszechnie znanych i powtarzających się w różnych ujęciach elementów, ale nadanie im piętna szczególnego. Ta „stwarzana” na potrzeby konkretnych utworów Australia przydatna jest do różnych celów, a jej „powoływaniu” do istnienia służą rozmaite strategie autorskie.

W swojej książce chciałabym się przyrzec temu, jak poszczególni autorzy w obrębie różnych rodzajów i gatunków literackich konstruują „swoje” wizerunki „kraju w dole globusa” i czemu te kreacje mają służyć. Mimo że – jak już wspomniałam – Australia nie zrobiła w literaturze polskiej oszałamiającej kariery, uwzględnienie wszystkich utworów, w których interesująca mnie tematyka została poruszona, wymagałoby utworzenia bardzo obszernej monografii. Moje zamierzenie ma nieco skromniejszy charakter: chciałabym na wybranych przykładach pokazać najbardziej charakterystyczne i najciekawsze sposoby ujęcia tematyki australijskiej w utworach autorów polskich. Zasada, którą się kierowałam, dokonując wybo-

---

<sup>4</sup> T. ZIMECKI: *Australia kusząca obietnicą*. Warszawa 1976, s. 85.

ru tekstów, uwzględniała dwa podstawowe kryteria: czas powstania dzieła i charakterystyczny, inny niż w pozostałych przywołanych ujęciach, sposób prezentacji Australii. Celem proponowanego tu zestawienia miało być bowiem podkreślenie faktu, że australijska tematyka jest obecna w literaturze polskiej nieprzerwanie od schyłku oświecenia do dziś, a także pokazanie, jak różne wizerunki tego kontynentu mogą się wyłonić z tekstów, których autorzy w celu jego scharakteryzowania wykorzystują bardzo podobne elementy. Aby uniknąć monotonii, starałam się nie uwzględniać utworów bardzo do siebie podobnych czy proponujących analogiczne ujęcia. Z tego samego powodu z dorobku autorów, którzy poświęcili Australii więcej niż jedno dzieło, starałam się wybierać przykłady najciekawsze, najbardziej charakterystyczne lub najmniej znane. Z poszczególnych decyzji dotyczących selekcji tekstów przyjdzie mi jeszcze niejednokrotnie szczegółowo się tłumaczyć w przypisach do kolejnych rozdziałów.

Już na wstępie jednak wspomnieć należy o kilku „wielkich nieobecnych” tej monografii. Przede wszystkim o Alfredzie Szklarskim i jego *Tomku w krainie kangurów*. Pierwsza część przygód młodego Wilmowskiego była dla kilku przynajmniej pokoleń młodzieży podstawowym źródłem wiedzy o „kraju w dole globusa”<sup>5</sup> i z tego powodu należy się książce szczególne miejsce wśród naszych literackich „australianów”. Nie zdecydowałam się jednak ująć tej pozycji w prezentowanym tu wyborze, ponieważ wizerunek Australii w powieści Szklarskiego sprowadza się właściwie do wyliczenia w atrakcyjnej, przygodowej formie encyklopedycznych informacji na temat specyfiki odległego kontynentu<sup>6</sup>. Tego rodzaju przedstawienie Australii, choć dla młodego czytelnika bez wątpie-

---

<sup>5</sup> A była to młodzież tęskniąca za „nieskrępowaną, egzotyczną przygodą, w kraju za żelazną kurtyną, z którego nie można było, choćby na gapę, wyruszyć w szeroki świat” (K. KŁOSIŃSKI: *Egzotyzm po polsku*. „Śląsk” 1997, nr 7, s. 47), co Szklarski wykorzystał, budując sytuację Tomka w analogiczny sposób i umiejscawiając akcję w roku 1902, w czasach rosyjskiej niewoli.

<sup>6</sup> Dla porządku odnotować trzeba, że autor odwołuje się także do rodzimej literatury pamiętnikarskiej, prezentującej ciekawe (omawiane również w tej książce) ujęcia australijskiej tematyki – do wspomnień Seweryna Korzelińskiego i Sy-

nia kształcące<sup>7</sup>, opiera się jednak interpretacji podporządkowanej wymienionym na początku założeniom.

Faktem powszechnie znanym jest australijska eskapada Witkacego, który towarzyszył przyjacielowi, Bronisławowi Malinowskiemu, w jego podróży i brał wraz z nim udział w kongresie naukowym<sup>8</sup>. Wyprawa ta, przedsięwzięta w dużej mierze dla poprawy nastroju Witkacego (znajdującego się w depresji po śmierci Jadwigi Janczewskiej)<sup>9</sup>, okazała się całkowitym fiaskiem. Rozczarowanie pisarza pogłębiły wiadomości o wybuchu wojny w Europie. W jednym z listów do rodziców Witkiewicz pisał:

Cała ta podróż w ogóle sensu żadnego nie ma. Jestem niepokojny o Mamę. Co się tam teraz dzieje? [...]

Bezsens tej podróży okropny. Bronio jest coraz bardziej obcy dla mnie. Oglądanie roślinek australijskich, kiedy tam wypadki tak straszne, żadnego sensu nie ma. Wobec takich rzeczy życie nabiera większego sensu. Wstrzymuję się z dalszym opisem Australii<sup>10</sup>.

---

gurda Wiśniowskiego. Por. A. SZKLARSKI: *Tomek w krainie kangurów*. Katowice 1966, s. 91–94.

<sup>7</sup> Zdarzają się przypisy o zbyt ogólnym charakterze, aby mogły dać czytelnikowi wyobrażenie o prezentowanym zjawisku. Na przykład przytoczyć można treść przypisu poświęconego pałance australijskiej (czy raczej wędrowniej): „zwierzątko futerkowe (*Pseudochirus peregrinus*) zamieszkuje południowo-wschodnią Australię” (ibidem, s. 224). Trudno na podstawie tej definicji wyobrazić sobie wygląd zwierzątka, ale nazwa – zwłaszcza w języku łacińskim – umożliwia osobom zainteresowanym dalsze poszukiwania. Niektóre komentarze mogą być natomiast mylące. Określenie wombata jako „podobnego do naszych świstaków” (ibidem, s. 231) musi wywołać u czytelników błędne wyobrażenia na temat powierzchowności tego zwierzęcia. Niezależnie jednak od tego typu zastrzeżeń, zauważyć trzeba, że warstwa informacyjna książki jest bogata i na pewno służyła przekazaniu młodemu odbiorcy ważnych wiadomości na temat Australii.

<sup>8</sup> Por. M. CYRAN: *Taka przyjaźń się nie zdarza. Stanisław Ignacy Witkiewicz – Bronisław Kacper Malinowski*. „Język Polski w Liceum” 2011/2012, nr 3, s. 29.

<sup>9</sup> Ibidem, s. 27.

<sup>10</sup> S.I. WITKIEWICZ: *Listy do Bronisława Malinowskiego*. Wstęp E.C. MARTINEK. Przyg. do druku T. JODELKA-BURZECKI. Warszawa 1981, s. 79–80.

Nie zmienia to jednak faktu, że pobyt w Australii musiał zrobić na Witkacym wrażenie. Chyba nawet większe niż na Malinowskim, gdyż, jak zauważa Lech Paszkowski: „Być może, że Witkiewicz ze swą wrażliwą naturą odczuł bardziej ten »tropikalno-australijski« koloryt, skoro jeden akt jednej ze swoich sztuk teatralnych osadził w Kalgoorlie”<sup>11</sup>. Chodzi, oczywiście, o *Metafizykę dwugłowego cielęcia*, jedną z trzech sztuk Witkacego zawierających ewidentne reminiscencje jego egzotycznej eskapady<sup>12</sup>. Spośród tych „tropikalnych” dramatów *Metafizyka* zasługuje na miano najbardziej „australijskiego”, gdyż tam właśnie pojawia się najwięcej australijskich elementów. Sens analizowania ich w kontekście sposobu, w jaki konstruuje tu Witkacy wizerunek „kraju w dole globusa”, wydaje się jednak wątpliwy. W świetle deklaracji pisarza dotyczących formalnego piękna, do którego zmierzał on w swojej twórczości, usytuowanie akcji akurat w przestrzeni australijskiej nie powinno być chyba rozpatrywane przez odniesienia do owych pozatekstowych jakości. Jak deklaruje autor we wstępie do *Metafizyki*:

Nie twierdzimy bynajmniej, że „bujdowatość” jest koniecznym elementem Czystej Formy w teatrze. Ale może z tych „bujd” narodzi się wreszcie inny teatr, w którym przestanie nas gnębić płaska farsa, tendencja, psychologiczna prawda, społeczeństwo, historia i inne życiowe specjały. Po co chodzić do teatru, w którym znaleźć można tylko to samo ohydne, pospolite, marne, stadowe życie, w którym, zdaje się, dość już się taplamy w każdy dzień powszedni. Cokolwiek dzieje się na scenie, człowiek powinien znajdować się nie tam, gdzie to się faktycznie dzieje: nie w saloniku, nie w pustyni, nie w tropikach, tylko w świecie formalnego piękna, oderwanego od rzeczywistości jako takiej, będącej tylko środkiem

---

<sup>11</sup> L. PASZKOWSKI: *Malinowski i Witkacy w Australii*. W: *Zielona zima. Antologia poezji i prozy polskiej w Australii*. Wybór i oprac. L. AMBER. Lublin 1997, s. 323.

<sup>12</sup> Dwie pozostałe to *Mister Price* czyli *Bzik Tropikalny* oraz *Bezimienne dzieło – cztery akty dość przykrego koszmaru* („poświęcone Bronisławowi Malinowskiemu”).

nadawania napięć dynamicznych w formalnych konstrukcjach<sup>13</sup>.

Australijska inspiracja jest tutaj zatem jedynie „środkiem nadawania napięć dynamicznych w formalnych konstrukcjach”, a taką jej „funkcja” nie do końca mieści się w kręgu interesujących mnie w tej książce tematów.

Wśród ważnych i znanych polskich pisarzy, którzy dotarli do australijskich brzegów, wymienia się także zazwyczaj Josepha Conrada. Pisarz ten odwiedził kilka australijskich portów, a wspomnienia z tego pobytu zawarł w postaci różnego rodzaju aluzji w kilku swoich utworach. Dziełem Conrada najwyraźniej nawiązującym do tego właśnie miejsca na ziemi jest *Zwierciadło mórz*. Jeśli nie decyduję się na włączenie go do prowadzonych w tej książce analiz, to czynię tak z dwóch powodów. Po pierwsze, odniesienia do Australii wydają się mieć w pisarstwie Conrada znaczenie niejako drugorzędne<sup>14</sup>. Po drugie, anglojęzyczna twórczość Conrada przynależy tyleż do literatury polskiej, co światowej; decydując się zatem na analizowanie w tej książce sposobu, w jaki polscy autorzy – piszący w rodzimym języku, dla rodzimego odbiorcy – skłonni są opisywać australijską specyfikę, postanowiłam zrezygnować z analizy australijskich aluzji w twórczości Conrada. Anegdotycznie można by tę decyzję usprawiedliwić także tym, że sam autor w symboliczny sposób zdecydował o włączeniu swoich „australijskich reminiscencji” w obręb literatury światowej właśnie, a nie polskiej. Lech Paszkowski cytuje list, w którym wuj pisarza zachęca go do utrwalenia wspomnień z australijskiej eskapady w języku polskim i wydrukowania ich w „Wędrowcu”: „U nas podróżników mało, oryginalnych korespondencji jeszcze mniej, żywe słowo naczynego widza zajęłoby z pewnością, a z czasem i płacono by za nie. Byłoby to i ćwiczenie w języku ojczystym, i owa nić łącząca Cię z Krajem, z ziomkami, i na koniec hołd pamięci Ojca, który

---

<sup>13</sup> S.I. WITKIEWICZ: *Metafizyka dwugłowego cielecia*. W: IDEM: *Dzieła zebrane. Dramaty*. [Cz.] 2. Oprac. J. DEGLER. Warszawa 1998, s. 135–136.

<sup>14</sup> Por. L. PASZKOWSKI: *Conrad w portach Australii*. W: *Zielona zima...*, s. 281, 319.

piórem służyć chciał i służył Krajowi. Pomyśl o tym, Panie Bracie, włoż wspomnienie z podróży australskiej i poślij na próbę, adres »Wędrowca« znany w Warszawie”<sup>15</sup>.

Conrad zachęty nie posłuchał. Wspomnienia swoje opublikował dopiero dwadzieścia pięć lat później w języku angielskim. Jak konkluduje Paszkowski: „położył na papier Conrad-pisarz, tworzący nie dla »Wędrowca«, ale dla świata *The Mirror of the Sea*”<sup>16</sup>.

Już te wstępne zastrzeżenia dowodzą wyraźnie, że książka niniejsza stanowi jedynie wybór zagadnień związanych z tematyką australijską w piśmiennictwie polskim. Wbrew dość powszechnemu wrażeniu, iż ten kraj-kontynent nie odcisnął zbyt wyraźnego piętna na wyobraźni i twórczości autorów polskich – wiele jest materiału, który warto pod takim właśnie kątem przeanalizować, a rozpoczęte w tej publikacji prace z pewnością domagają się kontynuacji. Jednocześnie ów oddawany do rąk Czytelnika wybór dowodzić ma różnorodności ujęć australijskiej tematyki, bogactwa wyobrażeń o tym odległym kontynencie i fascynacji nim autorów różnych epok.

\* \* \*

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki. Szczególnie serdecznie Recenzentowi Profesorowi Maciejowi Szargotowi za uważną lekturę, a także moim Przyjaciółom w Australii za inspirację i zachętę.

---

<sup>15</sup> Ibidem, s. 296.

<sup>16</sup> Ibidem.





## Rozdział I

# Polak – Kalop dwa bratanki Australia Wojciecha Gutkowskiego

Wojciech Gutkowski nie był wielkim podróżnikiem. Choć jego życiorys bez wątpienia można nazwać ciekawym, a zainteresowaniom nie sposób odmówić różnorodności, to jednak podróże – zwłaszcza te dalsze – nie należały, jak się wydaje, do pasji Gutkowskiego. Wiadomo jedynie, że w roku 1796 podróżował on po krajach Europy Środkowej<sup>1</sup>. Swój czas i energię poświęcał jednak przede wszystkim innym dziedzinom: wojskowości (zarówno służąc w wojsku, jak i edukując żołnierzy czy opracowując sposoby unowocześnienia polskiej armii) i gospodarce (szczególnie interesowały go w tym względzie zagadnienia związane z usprawnieniem pracy na wsiach i unowocześnieniem produkcji rolnej). Efektem zainteresowań technicznych Gutkowskiego (związanych z rolnictwem) było choćby przygotowanie planów budowy ulepszonej młocarni czy próba „skonstruowania siewnika konnego do zboża”<sup>2</sup>. Ambicje reformatorskie i zainteresowania naukowe Gutkowskiego sprawiły, że podjął on działalność w towarzystwach rolniczych

---

<sup>1</sup> Doświadczenia wojenne – pobyt w Niemczech w roku 1812, popadnięcie w niewolę austriacką w Wittenberdze – nie mogą być, rzecz jasna, określone mianem „podróżowania”.

<sup>2</sup> J. BARTYŚ: *Wizjoner czy fantasta. O życiu i działalności Wojciecha Gutkowskiego (1775–1826)*. Lublin 1983, s. 82.

założonych w Warszawie i Lublinie, został też zaliczony w poczet członków Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk<sup>3</sup>. To właśnie tam złożył rękopis *Podróży do Kalopei* z prośbą o recenzję i sfinansowanie druku. Akcję swojej powieści ten niestrudzony reformator i działacz społeczny, wielki patriota, który w najbardziej nawet niesprzyjających okolicznościach nie zdecydował się na stałe opuścić kraju rodzinnego, zlokalizował w najdalszym zakątku świata, czyli w Australii.

Nie wiadomo dokładnie, kiedy książka Gutkowskiego została złożona w Towarzystwie Warszawskim Przyjaciół Nauk. Zygmunt Gross wymienia rok 1817<sup>4</sup>, Władysław Kozłowski i Julian Bartyś przesuwają datę przedstawienia powieści do oceny zarządowi Towarzystwa na rok 1814<sup>5</sup>. Wiadomo jednak ponad wszelką wątpliwość, że powieść nie została zrecenzowana pozytywnie. Utrzymana w formie utopii była w istocie „postulatem reform politycznych, społecznych i gospodarczych, skierowanym pod adresem władz Królestwa Kongresowego”<sup>6</sup>. Reformy te recenzent Towarzystwa, Stanisław Węgrzecki, uznał wprawdzie za niemożliwe do zrealizowania w praktyce, samej wizji autora nie odmawiał jednak charakteru racjonalnego i nie umieszczał jej wyłącznie w sferze fantazji i marzeń piszącego. Nie dziwi to o tyle, że – mimo iż wielokrotnie wskazywano nawiązania do dzieł literackich i filozoficznych podejmujących podobnie utopijne wątki – Gutkowski wyprowadził swoją wizję idealnego państwa Kalopów przede wszystkim z własnych refleksji na temat oświaty, wojskowości, uprawy roli, swojej wiedzy technicznej i spostrzeżeń politycznych. O ile jednak samo ukształtowanie państwa Kalopów było wynikiem obserwacji niedoskonałej rzeczywistości

---

<sup>3</sup> Wybrane informacje biograficzne przytaczam za: *Polski słownik biograficzny*. T. 9. Wrocław–Warszawa–Kraków 1960–1961, s. 182–183 (biogram autorstwa M. TYROWICZA); J. BARTYŚ: *Wizjoner czy fantasta...* W pracach tych znaleźć można szczegółowe opisanie kolei losu Gutkowskiego.

<sup>4</sup> Z. GROSS: *Wstęp*. W: W. GUTKOWSKI: *Podróż do Kalopei*. Oprac. Z. GROSS. Warszawa 1956, s. 20.

<sup>5</sup> W.M. KOZŁOWSKI: „*Podróż do Kalopei*”. *Pierwsza utopia socjalistyczna polska*. „Sfinks” 1913, nr 3; J. BARTYŚ: *Wizjoner czy fantasta...*, s. 154.

<sup>6</sup> J. BARTYŚ: *Wizjoner czy fantasta...*, s. 157.

i efektem krytycznej refleksji autora, o tyle opis przestrzeni, w której państwo to zostało zlokalizowane, niewiele ma wspólnego z australijską rzeczywistością. Spróbujmy przyjrzeć się bliżej powodom umieszczenia Kalopei na kontynencie australijskim i wynikającym stąd konsekwencjom ideowym i gatunkowym.

Jak podaje *Słownik terminów literackich*: „Dla starszej utopii charakterystyczne było lokalizowanie idealnej krainy na nie odkrytych jeszcze lądach, w nowszych jej formach (od drugiej połowy XVIII wieku) dominuje wizja przyszłościowa”<sup>7</sup>. Powody sytuowania idealnych państw w odległych zakątkach globu, gdzie nie postawili jeszcze stopy wielcy odkrywcy, na przykładzie *Utopii* Thomasa More’a świetnie objaśnia Andrzej Zgorzelski: „Umieszczenie Utopii w nieznanym kraju za morzami i zgodność jej cech z Atlantydą Platona odczytuje się zazwyczaj jako zabieg fikcji fantastycznej. Ale jest to naruszenie empirycznej rzeczywistości przede wszystkim w jej stosunkach p r z e s t r z e n n y c h, co w ówczesnym świecie nie musiało być koniecznie odczytywane jako fantastyczność. Pamiętać należy, że był to okres wielkich podróży i odkryć, a na kuli ziemskiej pozostało jeszcze wiele nieznanych białych plam”<sup>8</sup>.

W istocie zatem taka lokalizacja opisanego przez More’a społeczeństwa miała na celu uprawdopodobnienie stworzonej przez pisarza konstrukcji: przecież przy ówczesnym stanie wiedzy geograficznej nie można było wykluczyć istnienia gdzieś z dala od Europy tajemniczego lądu zamieszkiwanego przez ludzi rządzących się całkowicie odmiennymi prawami. Paradoksalnie, niemożność bardziej precyzyjnego zlokalizowania owych wysp i fakt, że wzmianki o nich nie znalazły się w raportach żadnego z odkrywców i podróżników, także wpływały na uwiarygodnienie utopijnych wizji – odległość i egzotyka tłumaczyły do pewnego stopnia możliwość zorganizowania państwa czy społeczeństwa w sposób kontrastujący ze wszystkim, co mieszkaniom Europy mógł znać z bezpośredniego doświadczenia, a nawet ze słyszenia.

---

<sup>7</sup> *Słownik terminów literackich*. Red. J. SŁAWIŃSKI. Wrocław 1988, s. 551.

<sup>8</sup> A. ZGORZELSKI: *Fantastyka, utopia, science-fiction. Ze studiów nad rozwojem gatunków*. Warszawa 1980, s. 45–46.

Umieszczając Kalopeę na kontynencie australijskim, postępuje zatem Gutkowski podobnie jak autorzy dawniejszych utopii. Idealne państwo lokalizuje z dala od Europy, na obrzeżach świata możliwego do ogarnięcia myślą i horyzontem wiedzy geograficznej, ale jednak realnie istniejącego i będącego w momencie powstania powieści Gutkowskiego już od pewnego czasu przedmiotem intensywnej eksploracji i kolonizacji<sup>9</sup>. Chwyt ten jest w pewnym sensie przełamaniem dotychczasowej tendencji sytuowania opisywanych przez pisarzy idealnych państw na fikcyjnych lądach. Jednak sam sposób opisu Australii jest tutaj zgodny ze sposobem, w jaki kreowali wizje stworzonych przez siebie wysp inni autorzy. Australia zatem, choć jest realnie istniejącym miejscem, mającym konkretną lokalizację, określone warunki przyrodnicze i klimatyczne, w tekście Gutkowskiego funkcjonuje jedynie jako synonim egzotyki, oddalenia i izolacji od Europy. Tym razem jednak to usytuowanie utopijnego państwa na rubieżach znanego świata ma dodatkowe, poza uwiarygodniającym istnienie Kalopei, znaczenie. Nie ulega wątpliwości, że Gutkowski projektuje swoje idealne państwo jako wzór do naśladowania dla Polaków, którzy w przyszłości mieliby zrealizować zaproponowany przez autora wzorzec. Stąd tak wyraźny w powieści związek pomiędzy tymi dwoma państwami i narodami: założycielem Kalopei był Bolesław Śmiały, a nazwa mieszkańca owego egzotycznego kraju jest anagramem słowa „Polak”. Uzasadnione wydaje się zatem założenie, że projektując „Polskę przyszłości”, chciał ją Gutkowski umieścić jak najdalej od zepsutej Europy, a przede wszystkim od niebezpiecznych państw zaborczych. Jak pisze Bartyś: „Wybór Australii na miejsce powstania i rozwoju państwa Kalopów został niewątpliwie podyktowany niekorzystnymi warunkami geopolitycznymi Polski”<sup>10</sup>. Trudno się dziwić, że doświadczony rozbiorami i niepokojami wojennymi Gutkowski za warunek niezbędny rozwinięcia idealnego systemu opartego na

<sup>9</sup> Począwszy od wieku XVI, w okolice Australii, a później na jej wybrzeża docierali kolejno Portugalczycy, Hiszpanie, Holendrzy, a w końcu Anglicy (por. kalendarium wypraw w: S. LESZCZYCKI, M. FLESZAR: *Australia, Oceania, Antarktyka*. Warszawa 1971, s. 9–11).

<sup>10</sup> J. BARTYŚ: *Wizjoner czy fantasta...*, s. 192.

równości i sprawiedliwości uważał izolację od zła, zepsucia, chciwości i przemocy współczesnego autorowi świata. Australia jako kontynent tak bardzo od Europy oddalony, a Kaloepa jako państwo schowane dodatkowo w głębi owego kontynentu, otoczone trudnymi do przebycia górami, doskonale spełniały ten warunek.

Zgodnie z konwencją utopii, Gutkowski nie poświęca zbyt dużo miejsca opisowi egzotycznego kontynentu. Za cechę charakterystyczną tego gatunku uznać należy skąpo zarysowane tło, podporządkowane wykładowi nadrzędnej idei<sup>11</sup>. Stopień uszczegółowienia opisu miejsca, w którym rozgrywają się opowiadane w powieściach utopijnych wydarzenia, jest wprowadzie różny, zawsze jednak spełnia funkcję służebną czy to wobec fabuły, czy tematyki utworu. W powieści Gutkowskiego opis Australii również nie stanowi celu samego w sobie, ale podporządkowany został przekazowi założonych przez autora treści. Porównując jednak tę powieść z innymi polskimi utopiami oświeceniowymi (autorstwa Krasickiego i Krajewskiego), zauważyć można, że charakterystyce australijskiej specyfiki poświęcił Gutkowski stosunkowo dużo miejsca. W *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach* fikcyjna wyspa Nipu skreślona została właściwie kilkoma ogólnymi zdaniem. Krasicki pisze obszernie o sposobie zorganizowania życia nipuańskiej społeczności, o wyglądzie i obyczajach jej członków czy o wrażeniu, jakie sprawiają tamtejsze osady, ale o samej wyspie dowiadujemy się niewiele. Wiadomo, że dla przybysza z Polski była ona dość „osobliwa”:

Drzewa albowiem, owoce i zioła wszystkie prawie innego były rodzaju niż europejskie<sup>12</sup>.

Na wyspie rosły gęste lasy, kraj zajmował dużą powierzchnię, a jego szerokość „równa była prawie długości”, „widać było wszędzie dobrze uprawną ziemię, osady były dość gęste, każda zaś

---

<sup>11</sup> A. ZGORZELSKI: *Fantastyka, utopia, science-fiction...*, s. 50.

<sup>12</sup> I. KRASICKI: *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki*. W: IDEM: *Dzieła wybrane*. Oprac. Z. GOLIŃSKI. T. 2. Warszawa 1989, s. 281.

miała tyle lasu, ile jej potrzeba było<sup>13</sup>. W zakończeniu księgi drugiej czytamy jeszcze, że „Nipu nie musiała być nadto oddalona od ziem innych mieszkalnych”<sup>14</sup>. I to właściwie wszystko, czego czytelnik dowiaduje się o samej wyspie i jej przyrodniczych fenomenach. W *Wojciechu Zdarzyńskim...* informacje na temat Księżyca, na którym zlokalizowane jest państwo Sielan, ograniczają się w zasadzie do jednego idyllicznego obrazu bujnej i pięknej natury („Świeżość powietrza, delikatność trawy, wonność kwiecia i piękność drzew”<sup>15</sup>), wzmianki o tym, że kraj otoczony jest „morzem i nieprzystępnymi górami”<sup>16</sup>, oraz o pewnym szczególnym rosnącym tam gatunku drzewa, „którego łyczka lekkie i nie przepuszczające przez siebie powietrza”<sup>17</sup> okazały się przydatne do wykonania balonu. Na tym tle opis Australii w *Podróży do Kalopei* zasługuje na miano wręcz rozbudowanego.

Jaki zatem wizerunek „kraju w dole globusa” wyłania się z powieści Gutkowskiego? Dość odległy od rzeczywistego... Komentując tę kwestię, Julian Bartyś pisał: „Duże wątpliwości muszą budzić [...] informacje Gutkowskiego o ogromnych lasach, większych niż w Europie zwierzętach, ptakach i gadach, podczas gdy wiadomo, iż na kontynencie australijskim nie było wówczas, ani nie ma obecnie, lasów podobnych do polskich, dominują tam skarłate akacje i eukaliptusy, zaś największe zwierzęta to torbacze, kolczatki (do 40 cm długości) i dziobaki (do 45 cm długości oraz piętnastocentymetrowy ogon)”<sup>18</sup>.

Trudno zgodzić się bez zastrzeżeń z argumentacją badacza. Lasy na kontynencie australijskim nie przypominają wprawdzie polskich, jest tak jednak ze względu na zupełnie inny charakter roślinności, a nie karłowatość rosnących tam drzew. Wspomniane przez Bartysia eukaliptusy mogą osiągać bardzo duże rozmiary. Po-

---

<sup>13</sup> Ibidem, s. 302.

<sup>14</sup> Ibidem, s. 324.

<sup>15</sup> M.D. KRAJEWSKI: *Wojciech Zdarzyński życie i przypadki swoje opisujący*. Kraków 2002, s. 45.

<sup>16</sup> Ibidem, s. 59.

<sup>17</sup> Ibidem, s. 75.

<sup>18</sup> J. BARTYŚ: *Wizjoner czy fantasta...*, s. 197.

dobne zastrzeżenie uczynić trzeba na temat australijskiej fauny. Wymienione w cytowanym fragmencie kolczatki i dziobaki rzeczywiście nie mogą swoimi rozmiarami wywrzeć wielkiego wrażenia na przeciętnym Europejczyku, ale już na przykład kangur rudy jest bez wątpienia zwierzęciem sporym. Jeśli chodzi o ptaki i gady, to można by się w zasadzie zgodzić z sugestią Gutkowskiego, da się bowiem wśród gatunków tych zwierząt zamieszkujących Australię wskazać te wyraźnie większe od europejskich (wśród ptaków strusia emu czy kazuary, wśród gadów wystarczy przywołać największego spośród krokodyli – krokodyla różańcowego – lub warana wielkiego, który osiągać może długość 2 metrów). Mimo nieprecyzyjnej argumentacji sąd Bartysia uznać jednak trzeba za słuszny, ponieważ uwagi Gutkowskiego, pozbawione jakiegokolwiek „materiału dowodowego”, zdradzają brak orientacji autora w specyfice nie tylko fauny i flory Australii, lecz także jej przyrodniczego ukształtowania w ogóle. Choć pomysłu, iż zwierzęta, ptaki i gady zamieszkujące Australię są większe od europejskich, nie da się z dzisiejszego punktu widzenia jednoznacznie odrzucić, należy założyć, że taka wizja flory i fauny kontynentu nie była wynikiem wiedzy przyrodniczej autora *Podróży...*, wiedzy, którą zresztą nie mógł w czasie pisania swojej powieści dysponować, a jedynie przejawem tendencji zmierzającej do podkreślenia odmienności kontynentu australijskiego, jego nieprzystawalności do europejskich wyobrażeń, a może także „bujności” wszystkiego, co wydała ta stanowiąca schronienie dla Kalopów ziemia.

Na początku powieści Gutkowskiego narrator dokonuje swoistej autoprezentacji:

Po rozbiorze naszego kraju w roku 1796 opanowała mnie taka melancholia, iż coraz gorsze skutki okazywać się onej zaczęły, umyśliłem więc usunąć się z kraju i podróżowaniem po świecie roztargnąć się trochę<sup>19</sup>.

---

<sup>19</sup> W. GUTKOWSKI: *Podróż do Kalopei...*, s. 55. Wszystkie cytaty z powieści pochodzą z tego wydania, po cytatach podaje numery stron.



Podróż ta okazała się nie lada wyzwaniem, ponieważ, jak czytamy dalej:

w Indiach Wschodnich zeszedłem się z inżynierami francuskimi wysłanymi do rozpoznania i karty sporządzenia południowego wybrzeża Nowej Holandii; zabrałem się z nimi i w roku 1802 przybiliśmy do tego brzegu.

s. 55–56

Czyniąc narratora swej powieści uczestnikiem wyprawy o zamierzeniach badawczych i ambicjach naukowych, postępuje Gutkowski podobnie jak Thomas More, który głównego narratora *Utopii* przedstawia jako jednego z towarzyszy Vespucciego. Nie sposób stwierdzić, czy to bezpośrednie naśladowanie, ale cel tego zabiegu jest zapewne taki sam jak w przypadku dzieła Anglika – uwiarygodnienie opisywanych zdarzeń. Nieprzypadkowo też narratora *Podróży do Kalopei* czyni Gutkowski uczestnikiem wyprawy francuskiej. Francuzi rzeczywiście przedsięwzięli w XVIII wieku kilka wypraw, które przyczyniły się do poznania wysp Oceanii, część ekspedycji dotarła do wybrzeży Australii. Najśłynniejsze z nich to ekspedycje Bougainville’a, Pérouse’a i d’Entrecasteaux<sup>20</sup>. Jak zauważa Zygmunt Gross w swoich komentarzach do powieści Gutkowskiego, w czasie kiedy rodziła się koncepcja *Podróży do Kalopei*, wyprawa i dokonania Louisa Antoine’a de Bougainville’a zyskały rozgłos w Europie. Ekspedycja ta odbyła się w latach 1766–1769, a jej przebieg upamiętniony został przez Bougainville’a w wydanym w latach 1771–1772 *Opisie podróży dookoła świata*, cieszącym się wielką popularnością w Europie i przełożonym na kilka języków<sup>21</sup>.

<sup>20</sup> Por. S. LESZCZYCKI, M. FLESZAR: *Australia...*, s. 10–11; L. WOLANOWSKI: *Ani diabeł, ani głęбина. Dzieje odkryć Australii opowiedziane ludziom, którym się bardzo spieszy*. Warszawa 1987, s. 106–114. W XIX wieku to właśnie obawy przed francuską kolonizacją w Australii wpłynęły na intensyfikację kolonizacyjnych zabiegów Wielkiej Brytanii (por. M. CLARK: *Historia Australii*. Przeł. K. BAŻYŃSKA-CHOJNACKA, P. CHOJNACKI. Warszawa–Gdańsk 2004, s. 26, 51).

<sup>21</sup> Polskie wydanie: *Podróż Bougainville’a dookoła świata*. Przeł. M. SZWYKOWSKA, L. SZWYKOWSKI. Warszawa 1962. Jest to nie tylko wydanie bardzo późne, lecz także

Czy w dziele Bougainville'a mógłby Gutkowski znaleźć jakieś interesujące informacje, przydatne podczas konstruowania opisu Australii w *Podróży do Kalopei*? Raczej nie, ponieważ dowodzona przez Francuza wyprawa nie dotarła do tego kontynentu i nie dokonała tam żadnych znaczących odkryć. Być może opisy niektórych plemion zamieszkujących Oceanię mogłyby stanowić pożywkę dla wykreowanego przez autora *Podróży do Kalopei* opisu tubylców australijskich. Oto – dla przykładu – fragment przedstawiający pobyt Bougainville'a na Tahiti:

Zdawało mi się, że znajduję się w ogrodach Edenu: szliśmy równiną pokrytą murawą i porośniętą pięknymi drzewami owocowymi, teren przecinały małe rzeczki, utrzymujące rozkoszną świeżość bez śladu nadmiernej wilgoci. Liczna ludność korzysta ze skarbów tak hojnie dostarczanych jej przez przyrodę. Spotykaliśmy grupy mężczyzn i kobiet siedzących w cieniu sadów, wszyscy przyjaźnie nas witali, a na drogach ustępowali nam miejsca, by ułatwić przejście; wszędzie panowała gościnność, pokój, zadowolenie – wszystkie oznaki szczęśliwego bytowania<sup>22</sup>.

Ten raj na ziemi odkryty na dalekim lądzie, kraina urodzajna, zamieszкана przez ludzi szczęśliwych, poczciwych i dobrych mógłby stanowić inspirację dla autora-utopisty. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, że Gutkowski znał treść wspomnień Bougainville'a – w powieści nie ma na ten temat żadnej wzmianki poza informacją o tym, że wyprawa (mająca zresztą miejsce znacznie później, bo dopiero w roku 1796, a więc bliższa czasowo ekspedycji Antoine'a d'Entrecasteaux), w której bierze udział narrator, jest wyprawą francuską. Nie zmienia to faktu, że Gutkowski mógł

---

niepełne, bo, jak uzasadniają tłumacze, autor „nadmiernie obarcza swoją pracę szczegółami technicznymi dotyczącymi ustalenia długości i szerokości geograficznych oraz pomiarów głębokości. Poza tym pewne, trochę zbyt drastyczne opisy obyczajów ludów pierwotnych również trzeba było opuścić, by dzieło to można było oddać w ręce wszystkich” (*Wstęp*. W: *Podróż Bougainville'a...*, s. 5).

<sup>22</sup> *Podróż Bougainville'a...*, s. 129.

pozostawać pod silnym wrażeniem dokonań Bougainville'a i jego towarzyszy, stąd nie tylko swoisty hołd złożony w powieści właśnie francuskim eksploratorom mórz południowych, lecz także kolejny pomysł na uwiarygodnienie przekazu poprzez (nawet niebezpośrednie) odwołanie się do głośniejszej niedawno wyprawy i jej osiągnięć.

Adekwatność opisu kontynentu australijskiego w *Podróży do Kalopei* wyczerpuje się w zasadzie w użyciu kilku autentycznych nazw miejscowych: odnoga Bonapartego (właśc. Zatoka Bonapartego), Port Jackson, Botany Bay. Nazwy te inkrustują opowieść, ale nie odgrywają większej roli poza ornamentacyjną właśnie. Cel wyprawy narratora określony został natomiast w sposób bardzo ogólny: niedostępne i niezbadane wnętrza kontynentu. Definiując tymi słowami obszar zainteresowań narratora swojej powieści, podążał Gutkowski zapewne za konwencją utopijną, która w odizolowanym, trudno dostępnym miejscu lokowała zazwyczaj idealne państwa. Wybór taki nie jest jednak sprzeczny także z logiką „podboju” Australii: najpierw „zdobyto” tereny na wybrzeżach, a środek lądu długo czekać musiał na śmiałków, którzy wydarli mu jego tajemnice.

Narrator podróży po przebyciu wysokich i niebezpiecznych gór, gęstych i rozciągających się na dużej przestrzeni lasów znalazł się w końcu w owym „centrum”, gdzie zlokalizowane zostało państwo Kalopów. Ze skąpych informacji na jego temat wyłania się obraz krainy dostatniej, o łagodnym klimacie i żyznych glebach. Wrażenie to potwierdza opis ziemi, która ukazać się miała oczom Bolesława Śmiałego, założyciela Kalopei:

Klima łagodne, grunta nadzwyczaj żyzne i znaczna ludność hordów trzodami się bawiących, które z miejsca na miejsce przeganiano i wspólnie tak dobytkiem, jako i owocami żywności, oraz przyjemna postawa mieszkańców, łagodny i gościnny ich charakter, wszystko to podobało się bardzo Bolesławowi Wielkiemu.

Takie wyobrażenie o wnętrzu kontynentu australijskiego podyktowane zostało znów wymogami konstruowanej przez autora utopii. Jego idealne państwo, którego obywatele trudnić się mieli przede wszystkim rolnictwem (co wynikało, jak się zdaje, nie tylko z popularnego w tym czasie poglądu o szczęśliwości płynącej z rolnictwa, lecz także z osobistych przekonań autora powieści, który tak wiele swej energii poświęcił na unowocześnianie i intensyfikację produkcji rolnej), musiało mieć zarówno urodzajne gleby, jak i klimat sprzyjający uprawom. W realnie istniejącej Australii, w niebezpiecznym i nieprzyjaznym centrum kontynentu, gdzie do dziś gęstość zaludnienia jest znacznie mniejsza niż na wybrzeżach, próżno szukać takich warunków. Bardzo wysoka temperatura, opady obfite jedynie sezonowo, powodujące wtedy zresztą wylewy rzek, czynią to miejsce raczej surowym i wymagającym dla osadnictwa.

Zbyteczne byłoby wyliczanie miejsc, w których opis kontynentu australijskiego i jego mieszkańców jest niezgodny z realiami, skoro – jak już zostało powiedziane – intencją autora nie było odmalowanie kolorytu lokalnego, a stworzenie przestrzeni, która sprostać mogła wymogom utopii: oferowała idealne warunki do bezpiecznego i dostatniego rozwoju społeczeństwa. Ciekawsze jest to, że chociaż Gutkowski podporządkował swój wizerunek „kraju w dole globusa” tematowi powieści i wymogom ideowym, wskazać jednak można w utworze miejsca, w których obraz ten (przypadkowo) odpowiada faktom bądź (nieprzypadkowo) autor korzysta z tych samych inspiracji, które dyktowały odkrywcom Australii interpretację zastanych tam fenomenów. I tak, choć nie ma racji Gutkowski, kreując wnętrze kontynentu australijskiego na krainę mlekiem i miodem płynącą, oferującą idealne warunki osadnikom, to jednak nie można zaprzeczyć, że da się na tym kontynencie odnaleźć miejsca charakteryzujące się żyzną glebą, nadającą się pod uprawę, czy też rozległe pastwiska stwarzające dogodne warunki do wypasu zwierząt hodowlanych. Interesującym przykładem takich przypadkowych zbieżności może być też następujący fragment powieści:

Blisko mili drogi wjechaliśmy do lasu murem obwiedzonego, gdzie przy wjeździe i wyjeździe jest brama sztachetowa i je-

den człowiek na straży, aby tę odmykał i zamykał, a to dlatego – jak mówił komisarz delegowany – aby zwierzyna wychodząc na pole szkody w zbożach nie robiła. Dowiedziałem się, że wszystkie lasy w tym kraju podobnie są obwarowane.

s. 100

Intuicja wrażliwego na rozwój upraw rolnych autora ewidentnie w tym wypadku nie zawiodła. Wprawdzie na początku wieku XIX pomysł taki jeszcze się w Australii nie narodził, ale już w roku 1880 postawiono w Wiktorii płoty, których zadaniem było powstrzymanie inwazji królików niszczących nie tylko uprawy, lecz także pastwiska<sup>23</sup>. W historii Australii z zadziwiającą regularnością powtarzać się będą plagi analogiczne do tej króliczej, czyli sytuacje, kiedy zwierzę czy roślina spoza naturalnego ekosystemu znajduje tam idealne warunki do rozwoju, który przybiera „monstrualne” rozmiary, zagrażając rodzimym gatunkom fauny czy flory lub powodując innego rodzaju szkody (jak choćby zniszczenie upraw). Za swego rodzaju ciekawostkę należy uznać fakt, że Gutkowski wykazał się trafną intuicją, projektując „ogrodzenia”, których celem było powstrzymanie zwierząt przed inwazją na pola uprawne. Co więcej, te zwierzęta, przed którymi rzeczywiście już wkrótce musieli się grodzić Australijczycy, pochodziły z kontynentu europejskiego, więc nie była potrzebna gruntowna wiedza z zakresu australijskiego przyrodoznawstwa, żeby podejrzewać tego typu zagrożenie dla upraw; doświadczenie entuzjasty rolnictwa mogło tu wystarczyć. Gutkowskiego pomysł „ogrodzenia” jest podobny do pomysłu postawienia wielkich australijskich płotów, choć, oczywiście, różnice tkwią tutaj w szczegółach. Lucjan Wolanowski tak pisał o tym gigantycznym przedsięwzięciu:

Australia Zachodnia stawiała płot biegnący przez cały kontynent. Miał ten parkan ponad 3 000 km, czyli długość jego odpowiadająca kolejowej odległości z Moskwy do Paryża, szla-

---

<sup>23</sup> L. WOLANOWSKI: *Pocztą do Nigdy-Nigdy. Reporter w kraju koali i białego człowieka*. Warszawa 1978, s. 193.

kiem przez Warszawę i Berlin. Ale nim ustalono prawidłową odległość wbijania palików, nim ukończono gigantyczne roboty – już z drugiej strony płotu pokazywały się nastawione słuchy królików, dobiegało gryzienie potężnych szczęk... [...] Australii Zachodniej nie obronił ani ten płot, ani jeszcze dwa następne, podobnych rozmiarów<sup>24</sup>.

Interesujące spostrzeżenia przynosi także prześledzenie wizerunku ludności tubylczej, jaki skreślił na kartach swojej powieści Gutkowski. Wizerunek ten, oczywiście, podporządkowany został tej samej nadrzędnej zasadzie konstruowania utopii, co opis kraju, a zatem ludność ta jest spokojna, przyjaźnie nastawiona do przybyszów i zajmuje się uprawą roli. O pierwszych napotkanych na obcym kontynencie ludziach narrator powieści Gutkowskiego pisze:

Dym nasz sprowadził kilku ludzi pięknego wzrostu, przyjemnej bardzo postaci i mających niejake okrycie na sobie. Stalaliśmy się wszelkimi sposobami przynęcić ich do siebie i w przyjacielskie zająć z nimi stosunki; z niejaką trudnością dowodziliśmy tego, którzy nas potem z rozmaitymi swymi współtowarzyszami obznajomili i zaprzyjaźnili. Trudnią się oni najwięcej polowaniem, paszeniem bydła i owiec, których mięso lubią i skórą nieco wyprawnymi przykrywają się, jako i gatunek kołder kożuchowych mają.

s. 58

Rdzennych mieszkańców Australii nie sposób określić mianem ludu pasterskiego czy rolniczego. Opis przyjemnej powierzchowności tubylców raczej nie mógł pochodzić z relacji podróżników, którzy zazwyczaj opisywali aborygenów<sup>25</sup> jako lud niezbyt piękny.

---

<sup>24</sup> Ibidem, s. 194.

<sup>25</sup> Decyduję się w niniejszej książce na pisownię tego słowa z małej litery (w przeciwieństwie do większości cytowanych przeze mnie autorów, ale w zgodzie z normą ortograficzną), gdyż używam go jako synonimu ludności tubylczej, pierwotnych mieszkańców kontynentu, a nie nazwy własnej konkretnego ludu. Etnograf, Przemysław Burchard, zwraca uwagę na nieporozumienie, jakim jest trakto-

Oczywiście, wszystkie te pozytywne cechy były Gutkowskiemu potrzebne, dobrze uzasadniały bowiem fakt, że część tubylców, żyjących na niedostępnych terenach kontynentu, gdzie Bolesław Śmiały zakładał Kalopeę, zasiłała nowo powstałe państwo:

Bolesław ze swymi przyjaciółmi wszelkich sprężyn używał, aby z dzikimi, osobiście z naczelnikami onych, jak najprzyjaźniejsze stosunki zachować. Dla tej przyczyny zapraszano ich często na obiady i na swe zabawy tańczące, co tak pomysłny skutek sprawiło, iż wielu z nich zażądało stowarzyszenia się z kolonią. Skoro jedna banda wcieloną została i większych przyjemności używać poczęła, wkrótce uczyniła to druga, potem trzecia, tak dalece, iż w przeciągu lat trzech przeszło 100 000 tych dzikich wcieliło się do kolonii.

s. 134

Opis ludności tubylczej, choć będący wyłącznie wytworem wyobraźni piszącego, zdradza jednak pewne ogólniejsze tendencje typowe dla czasów, w których powstał. Pierwsza z nich dotyczy głębokiego przekonania, iż cywilizacja europejska jest nieskończenie bardziej doskonała od wszystkiego, co udało się wypracować plemionom tubylczym, i sam kontakt z nią, a także możliwość jej zaszczepienia na ich rodzimym gruncie stanowić powinny dla rdzennych ludów źródło wielkiej radości. W przywoływanych już tutaj pamiętnikach Bougainville'a znajdziemy szczególne potwierdzenie słuszności owego przekonania w opisie zachowania Tahitańczyka Aoturu, który zdecydował się towarzyszyć podróżnikom w drodze powrotnej do Europy:

Często przyglądając się wytworom naszych rzemiosł i obserwując różne sposoby, dzięki którym rozszerzają one krąg naszych możliwości i powiększają nasze siły, ten wyspiarz wpadał w zachwyt i wstydził się za swój kraj: „Auau Tahiti” –

---

wanie terminu „aborigen” jako nazwy własnej. Por. P. BURCHARD: *Australijczycy*. Warszawa 1990, s. 6.



gardzę Tahiti – powtarzał ze smutkiem. Nie lubił jednak okazywać, iż zdawał sobie sprawę z naszej wyższości nad jego ziomkami<sup>26</sup>.

Z takiego stanu rzeczy jasno wynikało, że dla ludności tubylczej przyjęcie cywilizacji białego człowieka było najwyższym dobrem, a projektowany przez Gutkowskiego scenariusz, czyli dobrowolne przyłączanie się poszczególnych gromad do nowo utworzonego państwa, gwarantującego dobrobyt i pomyślność, wydawał się czymś naturalnym. W gruncie rzeczy podobnie marzyć musieli angielscy kolonizatorzy, którzy żywili nadzieję, że aborygeni zasila nowo powstającą kolonię, docenią wyższość europejskiej cywilizacji i staną się użytecznymi członkami nowej społeczności. Nie bez ironii pisze Manning Clark: „Europejczycy zaproponowali krajowcom cenny dar swej cywilizacji w zamian za prawo do korzystania z bogactw ich ziemi. Przybysze mieli nadzieję, że Aborygeni uznają korzyści płynące z rozwoju cywilizacji, porzucą koczownicze życie i zostaną robotnikami, stojącymi na najniższym szczeblu drabiny europejskiej społeczności”<sup>27</sup>.

Założenie takie świadczyło o całkowitej nieznajomości kultury, mentalności, kosmologii i religii rdzennych mieszkańców kontynentu. Pierwsi odkrywcy i kolonizatorzy nie mogli zrozumieć nieprzywiązywania przez aborygenów znaczenia do stanu posiadania, ich jawnego lekceważenia dla tego, co Europejczycy nazywali dobrobytem, skrajnie odmiennego stosunku tubylców do pracy, czci, którą otaczali oni miejsca święte, gdzie jakakolwiek ingerencja (nawet jeśli miejsce takie było szczególnie atrakcyjne z „gospodarczego” punktu widzenia) była nie do pomyślenia. Ten kompletny brak zrozumienia i niezachwiane poczucie nie tylko własnej wyższości, lecz także nieistnienia jakiegokolwiek innego poza „europocentrycznym” punktu odniesienia stać się miały w kolejnych latach przyczyną tragedii rdzennych mieszkańców Australii, którzy nie nadawali się na reprezentantów najniższej klasy w europejskiej

---

<sup>26</sup> *Podróż Bougainville’a...*, s. 167.

<sup>27</sup> M. CLARK: *Historia Australii...*, s. 20.



drabinie społecznej, a dla których przybycie białego człowieka oznaczało koniec tradycyjnej egzystencji w jej dotychczasowym kształcie.

Tego typu refleksje nie pojawiają się, oczywiście, na kartach *Podróży do Kalopei*, gdzie tubylcy chętnie i z wdzięcznością przyjmują dar – nie tyle europejskiej nawet, ile po prostu idealnej – cywilizacji. Są to zresztą tubylcy zupełnie innego rodzaju niż ci, którzy witali odkrywców Australii u wybrzeży tego lądu, choć wizerunek rdzennych ludów kontynentu zainspirowany został tymi samymi tendencjami obecnymi w kulturze oświecenia, które dyktowały Cookowi jego sądy. Po tym, jak William Dampier utrwalił wizerunek aborygenów jako „najnędnieszych ludzi na świecie”, James Cook dokonał ich swoistej rehabilitacji w duchu mitu o szlachetnym dzikusie<sup>28</sup>. Według angielskiego odkrywcy, wiodą oni spokojne życie, w bliskim związku z naturą, która zaspokaja ich potrzeby, nie dbają o bogactwo, biorąc tylko to (i w takiej ilości), co jest im potrzebne. Życie tego rodzaju Cook nazywał szczęśliwym. Tubylcy Gutkowskiego zdają się realizować podobny wzorzec. Nie dziwi zatem, że tak chętnie i licznie zgłaszają akces do Kalopei, która przecież – jako pozbawiona wad współczesnej Gutkowskiemu europejskiej cywilizacji – oferuje krajowcom reguły koegzystencji, które pod wieloma względami bliskie są wyznawanym przez nich zasadom.

Australia w powieści Gutkowskiego jest miejscem znaczącym przede wszystkim za sprawą swojego oddalenia od Europy. Nie jest istotna ani przyrodnicza specyfika kontynentu, ani charakter zamieszkującej go ludności tubylczej, a jedynie fakt, że miejsce to znajduje się w tak dużej izolacji od innych państw, co – z punktu widzenia powieści utopijnej – wyposaża Australię od razu w dwie zalety: uprawdopodobnia opisywaną historię (któż bowiem mógł wiedzieć, co się działo w głębi dalekiego lądu), a także stwarza warunki do bezpiecznego rozwoju państwa, które decyduje się odrzucić zasady obowiązujące w mocarstwach europejskich, nie dzieląc ich chciwości i nieprawości. Choć próżno szukać w tym

---

<sup>28</sup> Ibidem, s. 12.

utworze szczegółowego opisu „kraju w dole globusa”, choć nie znajdziemy tu ani charakterystyki niezwyklej fauny czy flory Australii, ani informacji na temat kultury jej pierwotnych mieszkańców, to jednak ten jeden rys – oddalenie kontynentu od Europy – okaże się bardzo ważny we wszystkich charakterystykach tego miejsca szkicowanych w następnych stuleciach. Oddalenie to będzie miało jednak inne konsekwencje. Dla kolejnych pokoleń Polaków kraj tak odległy stanie się synonimem odmienności, skrajnej egzotyki, odwrócenia porządku. Paradoksalnie, wzrost wiedzy na temat (zwłaszcza przyrodniczej) specyfiki tego kraju tylko umocni takie przekonanie.

W skonstruowanej przez Gutkowskiego „fikcyjnej Australii” elementem realnym była w zasadzie jedynie nazwa, a sam wizerunek stanowił już dzieło wyobraźni, ograniczonej jednakże wymogami tematu. Australia Gutkowskiego musiała być miejscem sprzyjającym rozwojowi Kalopei, a więc jej cechy są pochodną wniosków wyciągniętych przez autora *Podróży...* z obserwacji sytuacji w Polsce u schyłku XVIII i w XIX wieku. Prawda o tym kontynencie, która nie musiała się liczyć z wymogami utopii, była jednak bez porównania bardziej zaskakująca i niewiarygodna.



## Rozdział II

# Gorączka złota

W 1839 roku Polak, Paweł Edmund Strzelecki, dokonał w Australii jednego ze swych bardzo znaczących odkryć – stwierdził mianowicie istnienie złota na tym kontynencie. Świadomy konsekwencji gospodarczych i społecznych, jakie mogły z tego odkrycia wynikać<sup>1</sup>, Strzelecki zgodził się zachować je w tajemnicy. Uczynił to, jak zauważa Wacław Słabczyński, „ze szkodą dla swej reputacji geologa”<sup>2</sup>. Za oficjalnego odkrywcę złotego kruszcu uznano kilka lat później Edwarda Hargravesa, który ogłosił ów fakt na łamach „Sydney Morning Herald” 15 maja 1851 roku<sup>3</sup>. Strzelecki wyjaśniał okoliczności własnego udziału w tej historii w broszurze *Gold and silver. A supplement to Strzelecki's physical description of New South Wales and Van Diemen's Land* wydanej w Londynie w 1856 roku. Pisał tam:

w roku 1839 wspomniałem o istnieniu pola złotodajnego w Bathurst Sir George'owi Gippsowi, ówczesnemu Gubernatorowi Generalnemu Nowej Południowej Walii. Ten jednakże prosił mnie o zachowanie sprawy w tajemnicy, bojąc się po-

---

<sup>1</sup> Analogiczne odkrycie w Kalifornii spowodowało w latach 1849–1851 „migrację ludności na niespotykaną w historii skalę”. W. BATE: *Victorian gold rushes*. Ballarat 1999, s. 3.

<sup>2</sup> W. SŁABCZYŃSKI: *Polscy podróżnicy i odkrywcy*. Warszawa 1973, s. 362.

<sup>3</sup> G. HOCKING: *Gold*. Rowville 2006, s. 39.

ważnych konsekwencji, których ze względu na warunki kolonii i jej ludność – można było oczekiwać<sup>4</sup>.

Historia odkryć złota w Australii w ogóle obfitowała w kontrowersje. Jak podaje Wiesław Olszewski, jeszcze przed Strzeleckim okruchy złota aluwialnego zostały znalezione w rejonie Bathurst przez więźnia: „Nie dano mu jednakże wiary i wychłostano za kradzież”<sup>5</sup>. Z odkryciem złota w zachodniej części kontynentu u schyłku XIX wieku wiąże się natomiast zabawna anegdota. Podobno James Withnell rzucił we wronę kamieniem, który okazał się bryłką złota. Niezwłocznie zawiadomiony o tym wydarzeniu urzędnik odpowiedział depeszą o zaskakującej treści: „Co się stało z wroną?”<sup>6</sup>.

Gorączka złota, która zapanowała w Australii po ogłoszeniu bezcennego odkrycia, spowodowała napływ imigrantów, snujących marzenia o zбиciu fortuny na złotonośnych polach Wiktorii. Trudne warunki życia i pracy w kopalniach, wymagający klimat, liczne niebezpieczeństwa czyhające na przybyłych sprawiały, że w górnikach widzieć można kolejną realizację ulubionego australijskiego mitu pionierów – samotnie zmagających się z przeciwnościami losu, próbujących za cenę wielkiego wysiłku „uczynić sobie ziemię poddaną”<sup>7</sup>.

W wielonarodowościowym, wielokulturowym tłumie ciągnącym na złotonośne pola byli także Polacy. Na początku lat pięćdziesiątych XIX wieku w kopalniach Wiktorii pracowali między innymi Seweryn Korzeliński i Bolesław Dolański, którzy swoje wspomnienia przekazali w formie książkowej<sup>8</sup>. Obaj po wydarzeniach

<sup>4</sup> P.E. STRZELECKI: *Złoto i srebro*. W: IDEM: *Pisma wybrane*. Oprac. W. SŁABCZYŃSKI. Przeł. J. FLIS. Warszawa 1960, s. 9.

<sup>5</sup> W. OLSZEWSKI: *Historia Australii*. Wrocław 1997, s. 136.

<sup>6</sup> T. OLSZEWSKI: *Australia. Kraj dziwów i sprzeczności*. Warszawa 1957, s. 150. Por. także: L. WOLANOWSKI: *Początki do Nigdy-Nigdy. Reporter w kraju koali i białego człowieka*. Warszawa 1978, s. 585.

<sup>7</sup> O australijskiej „legendzie pionierów” interesująco pisze Adam JAMROZIK: *The chains of colonial inheritance. Searching for identity in a subservient nation*. Sydney 2004, s. 9.

<sup>8</sup> Obie omawiane książki pod względem gatunkowym zaliczyć należałoby zapewne do podróży (w rozumieniu, jakie nadaje temu terminowi Roman KRZYWY:

Wiosny Ludów znaleźli się na emigracji w Anglii i z przyczyn głównie ekonomicznych<sup>9</sup> zdecydowali się na wyjazd na antypody. Dolański podjął decyzję o wyjeździe z nieco większym, jak się zdaje, entuzjazmem, który dał o sobie znać bardzo wyraźnie na kartach jego wspomnień: Australia jest tam przedstawiana jako druga ojczyzna, miejsce fascynujące i piękne. Korzeliński zdecydował się na wyjazd chyba raczej pod presją okoliczności; we wstępie do swojego *Opisu podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 1856* pisze:

Żyjąc bez celu, każdy dzień zdawał mi się być wiekiem; umyśliłem więc udać się do Australii<sup>10</sup>.

Być może stąd w książce tego autora ton bardziej krytyczny w ocenie australijskich fenomenów. Nie sposób jednak zaprzeczyć, że także na nim wyjazd pod Krzyż Południa musiał wywrzeć wielkie wrażenie, a przywiezione z tej egzotycznej eskapady wspomnienia i przyzwyczajenia zachował do końca życia. Jak zanotował na temat Korzelińskiego Kazimierz Chłędowski: „Zahartowany żołnierz i wyrobnik z kopalń złota, pan Australski nie sypia jak tylko na twardym posłaniu, kąpie się w rzece prawie już pod lodem i nie zna, co znaczy chorować”<sup>11</sup>.

Niezależnie od tego, jakiej temperatury uczucia budziła ta dziwna południowa ziemia u obu panów, obaj wyznali na kartach

---

*Opis podróży jako kategoria historycznoliteracka.* W: IDEM: *Od hodoeporikonu do eposu peregrynackiego. Studium z historii form literackich.* Warszawa 2001, s. 31–47).

<sup>9</sup> Jest rzeczą wiadomą, że sytuacja materialna Polaków przebywających na emigracji w krajach Europy Zachodniej była trudna. Do tego dodać należy skomplikowane relacje z mieszkańcami tych krajów, a także trudności z zaakceptowaniem przymusowej zmiany profesji, samotność i tęsknotę, aby otrzymać wizerunek wspólnoty wychodźców w połowie wieku XIX. Pisze o tym obszernie Alina WITKOWSKA: *Cześć i skandale. O emigracyjnym doświadczeniu Polaków.* Gdańsk 1997; por. także S. KALEMBKA: *Wielka Emigracja 1831–1863.* Toruń 2003; Z. JAGODZIŃSKI: *Anglia wobec sprawy polskiej w okresie Wiosny Ludów 1848–1849.* Warszawa 1997.

<sup>10</sup> S. KORZELIŃSKI: *Opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 1856.* Oprac. A. MAUERSBERGER. T. 1–2. Warszawa 1954 – T. 1, s. 12. Wszystkie cytaty z utworu pochodzą z tego wydania, po cytatach podaję numer tomu i strony.

<sup>11</sup> K. CHŁĘDOWSKI: *Album fotograficzne.* Oprac. A. KNOT. Wrocław 1951, s. 147.

swych wspomnień, że pobyt pod Krzyżem Południa traktowali jako tymczasowy, od początku zakładali, że w odpowiednim momencie powrócą do Europy, gotowi w każdej chwili służyć znów zbrojnie swej pogrzebionej ojczyźnie. Dolański tłumaczy nawet w ten sposób jednemu ze swych nowych przyjaciół, dlaczego nie chce w Australii starać się o jakąś stałą posadę, a zamiast tego decyduje się na niepewny i niebezpieczny los kopacza:

człowiek jak ja przybywszy do tego kraju, powinien się starać nieco więcej jak to, co wyda na życie. To jest że, jak panu są wiadome stosunki polityczne mej Ojczyzny, gdy ta powoła mnie, muszę koniecznie tyle mieć, abym miał na powrót, a przyjawszy za radą pańską jaki urząd lub miejsce, nigdy tyle nie będzie zyskownym, abym mógł co uskładać sobie, ale nadto będąc obowiązkiem jakim związanym, nie będę mógł w pożądanej chwili go opuścić. Przeto potrzebuję trzymać się spekulacji, ryzykować stracić wszystko lub zyskać więcej, jak potrzebuję na życie<sup>12</sup>.

W ten sposób nawet udział w wielkim wielonarodowym wyścigu o złoto zyskuje w ujęciu polskiego emigranta wymiar patriotyczny. Być może w tym podkreślanu przez obu „tymczasowych” kopaczy własnej gotowości do powrotu do Europy, jeśli tylko pojawi się możliwość ponownego zaangażowania w walkę narodowyzwoleńczą, należy też widzieć próbę podtrzymania własnej tożsamości, która nawet w tych skrajnie odmiennych warunkach i wobec podjęcia nowych wyzwań i profesji ciągle wspierała się na solidnym „żołnierskim” i „polskim” fundamencie<sup>13</sup>.

Taki rodzaj samoidentyfikacji został na pewno wyraźniej zaznaczony we wspomnieniach Korzelińskiego, nie tylko w bezpośred-

---

<sup>12</sup> B. DOLAŃSKI: *Trzy epoki z życia mego, czyli wyjazd do Australii, tamże mój pobyt i powrót do Europy*. Oprac. A. WALASZEK. Kraków 1981, s. 79–80. Wszystkie cytaty z tekstu pochodzą z tego wydania, numery stron podaje po cytatach.

<sup>13</sup> O „trwaniu przy tożsamości żołnierskiej” jako zjawisku charakterystycznym dla wczesnej fazy emigracji pisała Alina WITKOWSKA: *Cześć i skandale...*, s. 116–117.

nich deklaracjach autora dotyczących jego gotowości do powrotu na Stary Kontynent, lecz także przy okazji prezentacji i analizy obserwowanych przez Polaka w kopalniach zjawisk. Z perspektywy „żołnierskiej” ocenia on na przykład nadużywanie broni przez kopalnicy, którzy, wróciwszy do namiotów po całym dniu pracy, dla pewności, że ich broń będzie gotowa do użytku w przypadku napadów, często dokonywali „próbnych” wystrzałów<sup>14</sup>. Świadomość, że stanowiło to poważne zagrożenie, była, zdaje się, dość powszechna wśród poszukiwaczy złota. W pochodzących z tego samego okresu wspomnieniach Francuza, Antoine’a Fauchery’ego, przeczytać można:

Każdy jest uzbrojony po zęby, jeżeli rzeczywiście istnieje jakieś ryzyko, to nie ze strony buszrendżerów. Istnieje ogromne prawdopodobieństwo zostania zastrzelonym przez własnego sąsiada<sup>15</sup>.

Korzeleński komentuje to zjawisko jak profesjonalny żołnierz, który o posługiwaniu się bronią wie wszystko:

wieluż to takich było w kopalniach, co pierwszy raz w życiu broń palną mieli w rękę, umieli więc tak zręcznie obchodzić się z nią, jak ja gdyby mi kazano małe dziecko powijać. Ja bym pewnie dziecinę przełamał, ci zaś dyletanci wprawdzie nie łamią pistoletów lub strzelb, ale za to kulę posyłają w różnych kierunkach, nawet do namiotów cudzych.

T. 1, s. 182

Odwołuje się też autor do żołnierskiego etosu i tworzy swój wizerunek, identyfikując się z żołnierskimi cechami i wartościami. Dlatego, pisząc o prowadzonym przez siebie na użytek pracujących w kopalniach sklepie, stwierdza nie bez ironii:

---

<sup>14</sup> G. HOCKING: *Gold...*, s. 19.

<sup>15</sup> A. FAUCHERY: *Letters from a miner in Australia*. Translated from French by A.R. CHISHOLM. Melbourne [1965], s. 53.



handel przynosiłby był nieźle korzyści, gdybym umiał nauczyć się sztuki zachwalania miernych towarów, wagi cokolwiek dosypywać, miary skracać i wbrew przekonaniu zapewniać kupujących, że towary w sklepie znajdujące się prosto z naszego okrętu, a nie ze składu cudzego w Melbourne do kopalń przywiezione zostały, lub zaręczać, że z łożem pomieszane masło amerykańskie jest irlandzkim lub hamburskim [!]. Nie mogłem przełamać uporu i nałogu żołnierskiego i tylko wtenczas powiedziałem, że towary dobre, kiedy były w rzeczy samej dobrymi.

T. 2, s. 37

Ów „żołnierski nałóg” to po prostu uczciwość, do której autor jest bezwarunkowo przywiązany, mimo że nie przynosi ona w kopalniach zysku.

Zarówno Korzeliński, jak i Dolański uważnie śledzą doniesienia z wojny krymskiej<sup>16</sup>. Dochodzą tutaj do głosu ich żołnierskie zainteresowania (widać to wyraźnie w relacji Korzelińskiego, który opisyje, z jakim przejęciem oddawał się fachowym dyskusjom na temat prowadzonych działań), ale również fakt, że z konfliktem tym wielu Polaków wiązało nadzieje na odzyskanie przez Polskę niepodległości<sup>17</sup>.

Przedzierzgnąwszy się na czas jakiś w poszukiwaczy złota, doświadczyli obaj Polacy w kopalniach Wiktorii nie tylko blasków, lecz także cieni losu kopaczy, a w dziełach swych pozostawili interesujące wizerunki złotonośnych pól tego stanu z połowy XIX wieku.

## Kopalnie

Wiadomość o odkryciu złota w Australii przyciągnęła na złotonośne pola przedstawicieli różnych narodów i profesji, mówiących różnymi językami, wyznających różne religie, mogących się po-

<sup>16</sup> Por. B. DOLAŃSKI: *Trzy epoki z życia mego...*, s. 81; S. KORZELIŃSKI: *Opis podróży...*, T. 2, s. 28.

<sup>17</sup> Zob. S. KALEMBKA: *Wielka Emigracja...*, s. 339–356.

chwalić bardzo różnymi życiorysami. W momencie przybycia tych ludzi do kopalń wszystkie indywidualne dystynkcje przestawały jednak mieć znaczenie, bo wszyscy poszukujący szczęścia pod Krzyżem Południa stawali się po prostu górnikami – podlegającymi tym samym prawom, jednakowo narażonymi na kaprysy fortuny i zmuszonymi do znoszenia trudnych warunków panujących w kopalniach. O tym niezwykłym fenomenie nie bez fascynacji pisał Korzeliński:

Tam wszyscy jednym nazwiskiem połączeni: GÓRNICY. Tylko różne odcienie kolorów twarzy i mowa odznacza pochodzenie i narodowość, ale nikt by nie odgadł, czym kto był i co umie. [...] Wtedy wszyscy, jednakową robotą zatrudnieni, jednym językiem wymawiają te krótkie, ucinane słowa, bo kto chce pracować, nie ma czasu na dyskursy. Lecz kiedy godzina odpoczynku nadejdzie i robotnicy powyłazą z szachtów, żeby ugasić pragnienie, odetchnąć świeżym powietrzem i pokrzepić się fajką, wtedy przypadek, sympatia lub nieznany jakiś pociąg przybliży jednych do drugich i ściąga sąsiadów z pobliskich klemów. Ludzie, którzy się nigdy w życiu nie widzieli, zasiadają lub kładną się na ziemi przy sobie poufale i swobodnie i mieszają się do dyskursu lub przynoszą kwestie do rozwiązania. Wtedy z zadziwieniem spogląda się na niejednego zabłoconego obdartusa, który się wymową i dowcipem odznacza. Idąc za tym powabem, zawiązuje się bliższe stosunki i znajduje nieraz naukę i światło tam, gdzie powierzchowność taka, iż w Europie pewnie nikt by pod nią tego wszystkiego nie szukał. Ale nic dziwnego, kiedy tę głowę nie wyczesaną i zlaną potem okrywał niegdyś biret doktorski, hełm złożony lub mitra kościelna...

T. 1, s. 174–175

Ta wspólnota powstaje na fundamencie jednakowej profesji: skupienie na pracy, która przed wszystkimi stawia takie same wymagania, zmusza do opanowania takich samych technik wydobywania złota i wspólnego języka, który nie jest tożsamy z językiem angielskim.

skim (choć poszczególne terminy i komendy są oczywiście wypowiedziane w tym języku), ale stanowi swoisty żargon zawodowy, służący do szybkiej i bezbłędnej komunikacji osób wykonujących ten sam fach. Uwagę autora zwraca jednak również swoisty egalitaryzm górniczej braci: kopalnie niwelują wszelkie różnice, nie ma znaczenia pochodzenie, wykształcenie, a nawet stan posiadania – skoro jest on tutaj dziełem szczęśliwego trafu, mogącego się przydarzyć (lub nie) każdego dnia każdemu z kopiających. Ta wspólnota, w której każdy uczestniczy na takich samych zasadach, każdy ma prawo głosu, każdego dopuszcza się do udziału w toczącym się wieczorami dyskursie, stanowi zaprzeczenie mocno rozwarstwionych społeczeństw europejskich zazdrośnie strzegących nienaruszalności granic pomiędzy poszczególnymi stanami. Tych silnych podziałów społecznych i trudności z integracją doświadczali Polacy skazani na pobyt w innych państwach europejskich, był świadkiem takich relacji (a może również ofiarą) sam Korzeliński, co można wywnioskować choćby ze wstępu do *Opisu...* Tym bardziej, jak się wydaje, skłonny był docenić otwartość górniczej, formującej się dopiero (niejako „na jego oczach”), społeczności.

Fakt, że w zasadzie wszyscy niedawno przybyli na złotołone pola poszukiwacze szczęścia byli nowicjuszami w dziedzinie wydobywania złota, pociągał za sobą kilka istotnych konsekwencji. Przede wszystkim zdobycie podstawowej wiedzy na temat technik wydobywania złota i stylu życia kopaczy wiązało się zazwyczaj z koniecznością (bolesnego czasem) pozbycia się naiwnych wyobrażeń o wybranym przez siebie fachu. Z Europy – co z właściwą sobie ironią komentuje Korzeliński – przywozili oni nie tylko błędne wyobrażenia, lecz także masę niepotrzebnych rzeczy, które zaradni europejscy kupcy zdołali im sprzedać jako podstawowe elementy wyposażenia górników. Zdarzały się, oczywiście, w ich bagażu także rzeczy przydatne, jak choćby namiot przywieziony przez jednego z przyjaciół Dolańskiego, a później mu ofiarowany, który okazał się użyteczny w podróżach pomiędzy kopalniami i długo nie został przez szczęśliwego posiadacza porzucony<sup>18</sup>, większość jednak „eu-

---

<sup>18</sup> Zob. B. DOLAŃSKI: *Trzy epoki z życia mego...*, s. 60.

ropejskich sprzętów” szybko i niechlubnie kończyła swe kariery w kopalniach.

Zdobywana z trudem i często za wysoką cenę wiedza o rzeczywistych potrzebach, warunkach życia w kopalniach i technikach pracy górników została skrupulatnie odnotowana przez obu polskich pisarzy. Zarówno Korzeliński, jak i Dolański sporo miejsca poświęcają opisowi sposobów wydobywania złota, przywołują (szczególnie Korzeliński) terminy, którymi określa się poszczególne wykorzystywane przez górników narzędzia, z detalami charakteryzują styl życia kopaczy, konieczność łączenia się przez nich w kilkuosobowe grupy i wspólnego wydobywania cennego kruszcu. Z zapisków obu autorów wyłania się obraz niełatwej profesji, jaką było poszukiwanie złota w australijskich kopalniach w połowie XIX wieku. Zajęcie to wymagało bowiem konkretnej wiedzy i umiejętności, ale i wytrwałości, pracowitości, siły fizycznej oraz odporności na trudne warunki pracy, a także surowy, dla Europejczyków często trudny do zniesienia, klimat. Spełnienie tych wszystkich warunków nie było jednak jeszcze gwarancją odniesienia sukcesu, o powodzeniu decydowało bowiem przede wszystkim szczęście, a na to kopacze nie mieli już, oczywiście, żadnego wpływu. Jak trafnie ujął to Dolański:

jest wiele rzeczy do czynienia, które w tym kraju przynoszą większą korzyść i są pożyteczniejszymi i pewniejszymi, niż są kopalnie, które nie są nic więcej jak tylko czystą loterią.

s. 85

Fascynujący fakt, iż w kopalniach spotykali się ludzie wszystkich właściwie stanów społecznych, miał także ten skutek, że często dopiero na złotonośnych polach Wiktorii niektórzy z nich odkrywali tajniki życia niejako „od kuchni”. Z właściwym sobie poczuciem humoru i nieodzowną dawką (auto)ironii pisze o tym Seweryn Korzeliński, komentując swoją przygodę z praniem bielizny:

nie posiadając rutyny przyjemnej tej roboty, myślałem, że im mocniej trzeć będę płótno, tym prędzej się ułatwie; tarłem więc, choć w zgięciach palców na wierzchu ręki ostry ból

czułem, aż wreszcie płótno, zamiast bieleć, czerwienić się zaczęło. Wszystkie palce na zgięciach pokazały się bez skóry. Ani sposób kończyć prania, a przecież nie wypada w tym samym stanie nieść bielizny do namiotu, bo i wstyd, że głosząc morały poradzić sobie nie mogę, i niewygodą. Rozbieram w myśli sposoby prania; widziałem niegdyś przy balii kobiety, te tarły w rękę bieliznę tak jak ja, i to po całych dniach, a palce miały całe; muszą one mieć fortel jakiś mi nie znany.

T. 1, s. 123

W humorystycznym tonie i na własnym przykładzie opisuje tu autor zjawisko bynajmniej nie jednostkowe – dopiero pod Krzyżem Południa, skazani na egzystencję pozbawioną opieki rodziny czy służby, odkrywają niektórzy proste codzienne czynności, z którymi nie tak łatwo jest sobie poradzić, nie mając doświadczenia i praktyki.

Jedną z uciążliwości życia w australijskich kopalniach jest niebezpieczeństwo grożące kopaczom ze strony buszrendżerów. Ci grasujący po bezdrożach Wiktorii bandyci jedynie szukają okazji, żeby obrabować górników, którym się choć trochę poszczęściło, a przy tym niejednokrotnie pozbawić ich życia. Obaj polscy autorzy odnotowali tego typu zdarzenia na kartach swoich wspomnień, ale sposób ujęcia tego „awanturniczego” tematu różni się w obu przypadkach zasadniczo. Korzeliński, przytaczając rozmaite sytuacje tego typu, także te znane wyłącznie ze słyszenia, a czasem nawet niepotwierdzone (jak anegdota o dowcipnym Angliku, który wołał wracać do Londynu z rozbitym głową niż bez pieniędzy, czym tak rozbawił buszrendżera, że uniknął napaści<sup>19</sup>), zachowuje właściwe sobie poczucie humoru, a relacjonowane historyjki służą nie tylko odnotowaniu rozpowszechnionego w Australii zjawiska, lecz także sformułowaniu pewnych refleksji ogólniejszych. Korzeliński jednak w pełni uświadamia sobie niebezpieczeństwo, które z działalnością wędrownych rabusiów jest związane. Przytacza na przykład dwie przygody opowiedziane mu przez rodaków – obie zakończone na-

---

<sup>19</sup> S. KORZELIŃSKI: *Opis podróży...*, T. 1, s. 143.

der pozytywnie. W pierwszym przypadku buszrendżer, poznawszy polską narodowość wędrowców, odjechał bez słowa, w drugim zaś na dodatek podzielił się z niedoszłą ofiarą następującą refleksją:

– A czemużeś mi o tym [żeś Polak – M.B.] nie powiedział zaraz!

– Dlaczego miałem ci mówić, kiedyś się o to nie pytał?

– Bobym był nie trudził się tak daleko z tobą i czasu niepotrzebnie nie tracił. Wy, Polacy, nigdy nic nie macie.

T. 1, s. 143

Historie te dowodzą, iż Polacy nie cieszyli się w kopalniach reputacją górników, którym sprzyjało szczęście, i nawet w oczach buszrendżerów (choć przyznać trzeba, że ze względów niejako „profesjonalnych” ich opinia mogła być w tym względzie wiarygodna) uchodzili za ludzi bez grosza przy duszy. Choć, jak się zdaje, reputacja ta w tym przypadku okazała się skuteczną ochroną przed atakiem rabusiów, Korzeliński nie lekceważy zagrożenia, jakie stwarzali oni dla wędrujących kopaczy, i podsumowuje obie anegdoty informacją o okrucieństwie buszrendżerów, którzy często rozszłoszczeni brakiem możliwości wzbogacenia się na swych ofiarach, okazywali się wobec nich bezwzględni.

Napaści buszrendżerów są tematem często i chętnie poruszanym przez Dolańskiego, przy czym to zazwyczaj on sam występuje w roli atakowanego i – co najważniejsze – dzielnie ów atak odpierającego bohatera. W przygodach tych autor ujawnia swoje opowanie, zimną krew, przebiegłość. W przeciwieństwie do swoich towarzyszy zawsze bezbłędnie rozpoznaje niebezpieczeństwo, dba o to, aby nie przekazać rabusiom informacji, które mogą im ułatwić napaść czy rabunek, nie okazuje strachu, jeśli trzeba, potrafi zmylić przeciwnika<sup>20</sup>. Relacjonując swoje pomysłowe uniki, nie zapomina też Dolański o tym, by przytoczyć (często dość długie) rozmowy z napastnikami. Ujawnia w ten sposób nie tylko

---

<sup>20</sup> Por. epizod z bandą O’Konora (B. DOLAŃSKI: *Trzy epoki z życia mego...*, s. 50–57).

swą niewzruszoną odwagę w obliczu niebezpieczeństwa, lecz także dowcip, który powoduje, że bezwzględni bandyci wpadają w złość i tracą panowanie nad sobą:

– No, więc cóż chcecie?

– Otóż, widzisz, my jesteśmy biedni ludzie i wyszliśmy na drogę prosić przechodniów o jałmużnę, o pieniądze, bo ich jesteśmy potrzebnymi. Czy rozumiesz? – wrzasnął z całego gardła. – Wiemy, że je masz, więc dawaj nam, pókiś cały!

Ja śmiejąc się odrzekłem:

– Wy potrzebujecie pieniędzy i ja ich potrzebuję także. Wyszłście na drogę prosić kogo o jałmużnę, jak sam powiadasz, a gwałtem jej wymagacie, i to jeszcze w noc ciemną, co jest bardzo nieprzyzwoicie z waszej strony, lecz ja w to nie wchodzę, a jeżeli ją chcecie mieć koniecznie, to musicie poczekać, aż kto bogatszy tędy będzie przechodził i was nią opatrzy. Ja wam nic dać nie mogę, gdyż sam bardzo biedny jestem, a moneta, którą bym was mógł obdarzyć, nie ma dla was wartości.

I znowu chciałem iść dalej, gdy wtem ci wszyscy, ruszając się ku mnie, wrzasnęli:

– Zaczekaj, bo inaczej sami cię przytrzymamy! Patrzcie na tego zakrwawionego Francuza, on będzie sobie tylko żarty robił!

s. 185–186

Dolański nie tylko słownie dał rabusiom nauczkę; mimo iż był na wpół rozbrojony, porządnie nastraszył napastników, a później odparł jeszcze ich nocny atak. Na wypadek, gdyby czytelnicy mieli jakiekolwiek wątpliwości, czy byli to buszrendżerzy z prawdziwego zdarzenia, skoro tak szybko ulegli jednemu tylko, na dodatek niezbyt dobrze uzbrojonemu człowiekowi, autor informuje, że tej samej nocy, kiedy rabusiom nie udało się okraść jego sklepu, ich ofiarami stali się trzech inni kopacze, którzy w drodze z Ballarat do Bendigo nocowali w lesie. Choć Dolański trafnie odnotowuje uciążliwą okoliczność, stanowiącą dla górników prawdziwe utrapienie, nie ulega wątpliwości,

że przytaczane przez niego relacje nie służą wyłącznie dokumentalnym celom. Opisy te mają wykreować wizerunek Australii jako kraju, na którego bezdrożach czają się na nieprzygotowanych wędrowców różnego rodzaju niebezpieczeństwa, ale także, a może przede wszystkim, wizerunek autora: człowieka odważnego, praktycznego, sprytnego i zaradnego, dla którego przygody innym mrozące krew w żylach mają urok awanturniczo-powieściowy.

## Rewolucja<sup>21</sup>

W czasie, kiedy Korzeliński i Dolański przebywali w Australii, miały miejsce wydarzenia, które wpłynęły na codzienne życie w kopalniach, ale odegrały również ważną rolę w formowaniu się przyszłego australijskiego społeczeństwa. Początek tych niezwykle istotnych, symbolicznych przemian tkwił w protestach górników – najpierw przeciwko licencjom, które utrudniały kopaczom życie, a których sprzedaż i kontrola stanowiły pole do rozmaitych nadużyć dla urzędników brytyjskich, w końcu przeciwko korupcji w ogóle, niesprawiedliwym prawom regulującym życie w kopalniach i brakowi elementarnych swobód obywatelskich<sup>22</sup>.

W czerwcu 1853 roku powstało w Bendigo stowarzyszenie przeciwników licencji na wydobywanie złota (The Anti-Gold-Licence Association), na czele którego stanęli George Thompson, dr Jones i Edward Brown (Amerykanin o irlandzkich korzeniach). Ich zadaniem było reprezentowanie interesów górników przed zarządem kolonii<sup>23</sup>. Brak jakichkolwiek konkretnych działań ze strony rządu prowadził do radykalizacji nastrojów. Bezpośrednią przyczyną wybuchu powszechnego buntu przeciwko konieczności opłacania w kopalniach Bendigo licencji na dotychczasowych warunkach stała się postawa gubernatora La Trobe'a, który na wieść o tym, że „Sir Charles Fitzroy, gubernator Nowej Południowej Walii, zdecy-

<sup>21</sup> Podrozdział ten był drukowany w pracy mojego autorstwa pt. *Pan Australski i złoto Wiktorii. Wspomnienia Seweryna Korzelińskiego*. Katowice 2011, s. 36–51.

<sup>22</sup> G. HOCKING: *Gold...*, s. 129; T. OLSZEWSKI: *Australia...*, s. 141.

<sup>23</sup> G. HOCKING: *Gold...*, s. 132.



dował się znieść licencje na wydobycie złota w tej kolonii, [...] napisał do niego list, który został opublikowany w prasie, a w którym zdecydowanie odradzał mu tego typu działanie. Fitzroy zignorował argumenty La Trobe'a"<sup>24</sup>. Buntujący się górnicy z kopalni Bendigo na znak przystąpienia do protestu ozdabiali kapelusze czerwoną wstążką – za sprawą tego symbolu rewolucja przeszła do historii pod nazwą Red Ribbon Rebellion.

Gubernator La Trobe, który nie był w stanie rozwiązać konfliktów narastających w kopalniach, został odwołany ze stanowiska w maju 1854 roku. Następcą La Trobe'a, Charles Hotham, zmuszony był borykać się z tymi samymi problemami co jego poprzednik; nie zażegnano społecznych niepokojów, trwały protesty, wśród górników panowało niezadowolenie, a próba rozwiązania problemu siłą doprowadziła do katastrofy. Narastające od miesięcy rewolucyjne nastroje dały o sobie znać w Ballarat, gdzie młody szkocki kopacz, James Scobie, najpierw oszukany przez właściciela Hotelu Eureka, poniósł następnie śmierć z ręki tego człowieka. Zabójcy nie ujęto; władze mające w nim swojego szpiega ułatwiły mu ucieczkę. W odpowiedzi na ten jawny akt bezprawia tłum rozwiścieczonych górników spalił Hotel Eureka. Kolejne wydarzenia 1854 roku, które nastąpiły pomiędzy 17 października (spalenie Hotelu Eureka) a 3 grudnia (ostateczne stracie protestujących z oddziałami wojska użytymi do stłumienia buntu), składają się na dramatyczną kronikę obrony wolności i poszanowania elementarnych swobód ludzi, którzy pod niebem Australii chcieli przecież po prostu własną ciężką pracą zapewnić sobie godziwe życie.

Wznoszenie barykady, która stanowić miała główny punkt oporu górników, rozpoczęto 30 listopada. Prowadzący poprzedzający to wydarzenie mityng Peter Lalor powiewał dumnie flagą z Krzyżem Południa – symbolem górniczej rebelii w obronie fundamentalnych wartości. Uczestniczący w zgromadzeniu górnicy złożyli ślubowanie: „Przysiegamy na Krzyż Południa, że będziemy stali ramię w ramię, walcząc w obronie naszych praw i swobód”<sup>25</sup>.

---

<sup>24</sup> Ibidem, s. 135.

<sup>25</sup> Ibidem, s. 146.

Ostatni akt tej tragicznej historii rozegrał się w niedzielę dnia 3 grudnia o świcie, kiedy na nieprzygotowanych i niespodziewających się ataku górników uderzyło wojsko. Bitwa była krótka i krwawa. W jej wyniku śmierć poniosły 22 osoby<sup>26</sup>, kilkadziesiąt innych zostało rannych, 120 uczestników buntu aresztowano, 13 przetransportowano do Melbourne w celu natychmiastowego osądzenia i przykładowego ukarania. Ten akt przemocy miał zdławić w zarodku budzące się wśród górników ambicje dochodzenia swoich praw i swobód obywatelskich. Stało się jednak inaczej – pod naciskiem opinii publicznej wszystkich sądzonych w Melbourne uczestników buntu uniewinniono, a postulaty, o które górnicy walczyli, ostatecznie zostały uznane przez władze: „Górnicy odnieśli wielkie zwycięstwo [...]; uzyskali prawo głosu w wyborach do nowego zgromadzenia ustawodawczego, które odbyły się w 1855 roku; Peter Lalor uzyskał prawo do reprezentowania górników w parlamencie. Licencje zostały zniesione, zastąpiono je roczną opłatą w wysokości 1 £ i podatkiem od złota wywożonego z kolonii. Górnicy uzyskali prawa do swoich klemów, co umożliwiło rozwój stałego osadnictwa i dało podstawy do wykształcenia się trwałych więzi społecznych. [...] zarząd wojskowy został usunięty z kopalni na zawsze”<sup>27</sup>.

Wydawać by się mogło, że tego typu protest powinien znaleźć w Polakach gorliwych orędowników. Stosunek naszych rodaków do tego ruchu jest jednak daleki od entuzjazmu. Najwyraźniej uwidacznia się to w postawie Korzelińskiego, do górniczego protestu odnoszącego się w sposób, który – w najlepszym wypadku – określić można mianem sceptycznego (choć mówienie o jawnej wrogości nie byłoby dużym nadużyciem). Znając argumenty swych towarzyszy, zdawał sobie sprawę, że górnicy nie buntują się przeciwko wszystkim formom opodatkowania w ogóle, a jedynie przeciwko li-

---

<sup>26</sup> Podaje się różne liczby ofiar. G. Hocking mówi o 22 zabitych (G. HOCKING: *Gold...*, s. 147), T. Olszewski o 24 (T. OLSZEWSKI: *Australia...*, s. 148). W ulotce rozdawanej zwiedzającym w The Eureka Centre (Ballarat) mowa jest o ponad 30 ofiarach śmiertelnych.

<sup>27</sup> G. HOCKING: *Gold...*, s. 154–155.

cencjom, które w dotychczasowym kształcie (jako opłaty za prawo do poszukiwania złota, uiszczane z góry przez osoby, które nie tylko nie zdołały jeszcze zdobyć środków na pokrycie tak znacznego wydatku, lecz także nie miały żadnej pewności, że zarobek taki w ogóle uda im się osiągnąć) stanowiły poważną przeszkodę dla wielu poszukiwaczy szczęścia. Trudno też odmówić słuszności górnikom domagającym się, aby pieniądze pochodzące z ich wpłat choć częściowo przeznaczone były na poprawę bezpieczeństwa w kopalniach czy na przykład budowę dróg<sup>28</sup>. Ten wspólny wielonarodowościowy i wielokulturowy protest przeciwko uciskowi, to wielojęzyczne wołanie o wolność dla wszystkich ciężko pracujących na złotonośnych polach Wiktorii paradoksalnie nie znalazło w Polaku przychylnego słuchacza. Na propozycję objęcia przywództwa i zorganizowania ewentualnego zbrojnego oporu protestujących górników Korzeliński odpowiedział:

Wielki mi zaszczyt, panowie, wyrządzać. Za co z równą otwartością winienem wam odpowiedzieć, że ani was organizować, ani prowadzić nie będę, bo niewdzięcznym być nie umiem, a rządowi angielskiemu winienem wdzięczność. Podówczas, kiedy we wszystkich prawie krajach dla nas, tułaczów, granice były zamknięte, kiedy nas wypędzano jak zapowietrzonych, jeden tylko rząd angielski dał nam przytułek w Europie, o czym nigdy nie zapomnę. Czyście się, panowie, zastanowili nad tym, co przedsięwziąć chcecie? Czy zważyliście środki, jakie posiada Australia, i czy one są dostateczne do utrzymania jej samoistności bez pomocy Anglii? Nie, nie czas jeszcze, aby mogła naśladować Amerykę. [...] Czyż myślicie, że ci wszyscy, którzy „hura!” krzyczą przy mowach waszych i z muzyką maszerując w żołnierzy się bawią, wytrzymaliby w ogniu jak należy? Nie, ręczę wam! A cóż dopiero, gdyby marsze dalekie odbywać przychodziło i znosić przykrości różnego rodzaju! [...] Gdybyście na jednej potyczce skończyć mogli dzieło, to by się wam udało może, bo zapal pierw-

---

<sup>28</sup> S. KORZELIŃSKI: *Opis podróży...*, T. 1, s. 275–276.

szy utrzymałby was przy kupie, ale kampania przeciągać się nie powinna, bo nie wytrzymacie.

T. 1, s. 277–278

Dziwić muszą argumenty, którymi posługuje się Korzeliński, uzasadniając fakt, iż nie przystąpi do protestu. Deklarowane tutaj wdzięczność i lojalność wobec Anglii stoją w niejkiej sprzeczności z wyrażonym w przedmowie przekonaniem o dość powierzchownej chęci niesienia przez rząd brytyjski pomocy nieszczęsnym emigrantom z Polski i licznymi złośliwościami pod adresem przedstawicieli Anglików rozmieszczonymi hojnie w tekście *Opisu...* Zadziwia przede wszystkim powierzchowność oceny, postrzeganie tego ruchu jedynie w kategoriach buntu przeciwko Koronie i angielskiemu zwierzchnictwu<sup>29</sup>. Korzeliński zauważa nawet:

Wy odzywacie się tu w imieniu wolności, a na mityngach nic o niej nie mówiono. Wzmianka była o podatku, deputowanych i nic więcej.

T. 1, s. 278

Zdumiewać musi fakt, iż w przywołanych tu postulatach autor wspomnień dostrzega jedynie próbę doraźnej poprawy warunków życia w kopalniach i zmiany regulacji prawnych. A przecież przywódcy i uczestnicy protestów bardzo wyraźnie podkreślali, że występują nie tylko przeciwko poszczególnym niesprawiedliwym zasadom, ale przede wszystkim w obronie wolności, przeciwko prześladowaniu i uciskowi niewinnych. Również Bolesław Dolański w taki sposób zrelacjonował postulaty kopaczy, wymieniając ich ogólniejsze żądania, dotyczące sprawiedliwego zarządzania kopalniami<sup>30</sup>.

Na takie znaczenie górniczego protestu kładzie nacisk w swoich wspomnieniach zatytułowanych *The Eureka Stockade* Rafaello Carboni – jeden z bezpośrednich świadków tragicznych wydarzeń z grudnia

<sup>29</sup> Być może dopuścić należy także interpretację, w myśl której weteranowi walk o odzyskanie niepodległości własnego kraju każdy inny powód do chwytania za broń wydawał się nie dość istotny.

<sup>30</sup> B. DOLAŃSKI: *Trzy epoki z życia mego...*, s. 106–108.

1854 roku. Carboni był aresztowany, a następnie więziony przez cztery miesiące, i choć ostatecznie został uniewinniony, nie udało mu się odzyskać majątku zagrabionego po zatrzymaniu. Wielokrotnie podkreśla, że górnikom chodziło przede wszystkim o walkę z niesprawiedliwością, przemocą silniejszych, wyzyskiem słabszych<sup>31</sup>. Cytuje także dokument wystosowany w obronie oskarżonych górników, w którym przeczytać można między innymi takie zdania:

Kopacze nie chwycili za broń, mówiąc precyzyjnie, przeciwko rządowi, ale aby się bronić przed bagnetami, kulami i klingami zuchwałych urzędników, ich niekonstytucyjnym atakiem, ta klasa zhańbiłaby każdy rząd swoim fatalnym egzekwowaniem prawa.

Kopacze nie chwycili za broń przeciwko brytyjskiemu panowaniu, ale przeciwko złemu zarządzaniu przez tych, którym płacono za to, aby rządili zgodnie z prawem<sup>32</sup>.

Biografia Carboniego pod pewnymi względami może przywodzić na myśl koleje losu samego Korzelińskiego. W rodzinnej Italii Carboni zaangażował się w ruch wolnościowy o nazwie Młode Włochy, wymierzony przeciwko austriackiej i francuskiej dominacji. Brał udział w rewolucyjnych wstrząsach lat 1848 i 1849. Wiódł żywot emigranta w Berlinie i Paryżu. W 1851 roku wyjechał do Londynu, a stamtąd rok później do Australii. Można zasadnie podejrzewać, że to praktykowane w Europie zaangażowanie w walkę o wolność wyposażyło Carboniego w szczególną wrażliwość na wszelką niesprawiedliwą dominację, co z kolei zaowocowało jego przyłączeniem się do buntu górników i uczestnictwem w najtragiczniejszym jego epizodzie. Korzeliński, któremu potrzeba wolności również jawi się jako jedna z najbardziej podstawowych, wydaje się jej nie dostrzegać w wystąpieniach swoich towarzyszy pod Krzyżem Południa, sprowadzając ich działania jedynie do aktu niesubordynacji wobec legalnej władzy.

<sup>31</sup> R. CARBONI: *The Eureka Stockade*. With an introduction by T. KENEALLY. Melbourne 2004, s. 52–53.

<sup>32</sup> Ibidem, s. 130.

Drugi argument, którym posługuje się Korzeliński, uzasadniając odmowę objęcia przywództwa nad górniczą bracią, dotyczy braku realnych szans na powodzenie tego przedsięwzięcia. Autor *Opisu...* uważa po prostu, iż w bezpośrednim starciu buntownicy nie mają żadnych szans na zwycięstwo, że nie znając wojskowego rzemiosła, nie podolają trudom walki. Pochwalić zapewne wypadnie trzeźwość oceny dokonanej przez majora (w pewnym sensie potwierdziły ją późniejsze wydarzenia – wszak bitwa, która rozegrała się 3 grudnia 1854, nie była sukcesem militarnym), a jednak tak zdroworoządkowa (czy może raczej: „zimnoroządkowa”) postawa przedstawiciela romantycznego pokolenia musi zastanawiać. Nawet jeśli sam nie brał udziału w powstaniu listopadowym (nie ma co do tego pewności)<sup>33</sup>, to bez wątpienia był świadkiem jego wybuchu i upadku. Nie przeszkodziło to Korzelińskiemu zaangażować się w kolejny ruch narodowowyzwoleńczy – Wiosnę Ludów, a nawet pośrednio w powstanie styczniowe (nie brał w nim autor *Opisu...* udziału zbrojnego, ale przecież sprzyjał walczącym i udzielał im schronienia). Adam Mauersberger twierdzi, że stosunek Korzelińskiego do otaczającego świata był zdecydowanie nieromantyczny: „W opisie i krytyce jest pisarzem swego czasu, pisarzem realizmu krytycznego”<sup>34</sup>. Nie sposób zgodzić się z tym stwierdzeniem bez zastrzeżeń. Choć Korzeliński bez wątpienia wykazuje się daleko posuniętym zmysłem krytycznym, a przenikliwość tego autora w ocenie zjawisk i sytuacji, umiejętność odkrywania rządzących nimi mechanizmów jest często rzeczywiście imponująca, w *Opisie...* da się jednak zauważyć także tendencje romantyzujące, widoczne choćby w przywoływanym już tutaj sposobie wpisywania

---

<sup>33</sup> Lech Paszkowski nie ma wątpliwości, iż Korzeliński w powstaniu 1830 roku uczestniczył (por. L. PASZKOWSKI: *Polacy w Australii i Oceanii 1790–1940*. Z przedmową J. ZUBRZYCKIEGO. Londyn 1962, s. 155). W notce na temat Korzelińskiego zamieszczonej w *Polskim słowniku biograficznym* kwestia udziału autora *Opisu podróży...* w listopadowym zrywie potraktowana jednak została z większą rezerwą jako taka, której autentyczności nie da się jednoznacznie potwierdzić (por. *Polski słownik biograficzny*. Red. E. ROSTWOROWSKI. T. 14. Wrocław–Warszawa–Kraków 1968–1969, s. 161).

<sup>34</sup> A. MAUERSBERGER: *Wstęp*. W: S. KORZELIŃSKI: *Opis podróży...*, T. 1, s. 6.

swojego losu w ramy emigracyjnej tułaczki czy oczekiwaniu na moment, w którym będzie można powrócić do kraju rodzinnego i zaciągnąć się znów w służbę ojczyźnie<sup>35</sup>.

Wydarzenia takie jak szturm na barykady Eureka dowodzą, że sensu niektórych zrywów nie da się oszacować za pomocą rachunku prawdopodobieństwa ani nawet oceny bezpośrednich skutków militarnych. W tym wypadku przegrana z kretezem bitwa stała się załącznikiem wielkiego zwycięstwa, które dokonało się w sferze mentalności, polityki, ustawodawstwa. Odradzający swoim towarzyszom podjęcie walki zbrojnej Korzeliński okazał się więc nie tyle rozważny, ile krótkowzroczny. Nie zweryfikował swojej oceny także wtedy, gdy upamiętniał na kartach *Opisu...* rządy Charlesa Hothama i owo krwawe stłumienie przez niego buntu kopaczy. Te jakże istotne – również dla przyszłości kolonii – wydarzenia zostały przez autora ujęte w sposób bardzo lakoniczny, w stylu wyłącznie relacjonującym, bez żadnej próby interpretacji.

Warto w tym miejscu przytoczyć fragment wspomnień Bolesława Dolańskiego. Twierdzi on, że bezpośrednią przyczyną wybuchu zamieszek w kopalniach Castelmaine było bezprawne aresztowanie współnika, z którym Polak prowadził sklep:

dzisiaj odbywał major Smith [...] z tego powodu wielki meeting, grożąc rządowi wypędzeniem z Australii, gdy na takie nadużywania sobie będzie pozwalał i lud ograniczał prawami wzbraniającymi zarobku i robienia fortuny i niszczenia cudzego mienia.

s. 106–107

Wydarzenie to wywołało falę protestów o analogicznym kształcie, formułowano podobne postulaty do tych, które rozpałały umysły górników w Bendigo czy Ballarat. Tak relacjonuje Dolański pełne zapалу przemówienia swoich współtowarzyszy:

---

<sup>35</sup> Piszę o tym szerzej w tekście pt. *Rozważny i romantyczny. Seweryn Korzeliński i jego przedmowa do „Opisu podróży do Australii i pobytu tamże”*. W: *Romantyczne przemowy i przedmowy*. Red. J. LYSZCZYNA, M. BAK. Katowice 2010.



A zatem podajemy petycję do parlamentu o zmianę gubernatora i o prawa dające wolność handlu i przemysłu jakoż o nabycie gruntu i osiedlenie się, gdzie się komu podoba. A gdy tego nie otrzymamy, zatknijemy flagę amerykańską, wypędzimy rząd egzystujący i udamy się pod protekcją Ameryki, która bliższa od Anglii, nam tego z pewnością nie odmówi.

s. 108

Zapiski Dolańskiego potwierdzają znaczny – odnotowany także w Korzelińskiego *Opisie podróży do Australii i pobytu tamże* – udział Amerykanów w rozbudzaniu nastrojów wolnościowych w kopalniach. W *Trzech epokach z życia mego...* brak głębszej, samodzielnej analizy postulatów protestujących górników i celów, które chcieliby oni osiągnąć. Można się natomiast w tej relacji doszukać śladów sympatii dla dążeń protestujących. Brak bezpośredniego zaangażowania się w tę działalność zyskuje interesujące wyjaśnienie:

stąd chciał się [p. Smith – M.B.] udać z całą siłą powstańców do Kastelmen, aby p. Markus [uwięziony współnik Dolańskiego – M.B.] uwolnić z więzienia. Lecz ja zaklinałem go na miłość ojczyzny, na miłość żony i dzieci, aby nie czynił tego, przytaczając mu, że będzie mi więcej szkodliwym jak pożytecznym i że jeżeli rozgłosi wieść, że ja Polak i należę do buntu, zaszkodzi to u opinii publicznej w Anglii, która sympatyzuje jakoż dziś dla Polaków, jako głośno mówią o wojnie z Rosją.

Kapitan Bole przyznał, iż mam słuszość i z pogłoską, że Polak, nie powinienem się wdawać ani mieszać się w walkę buntowniczą.

s. 110

Przeszkodą w zaangażowaniu się w słuszny protest kopaczy staje się zatem polskie pochodzenie, a raczej obawa, aby pogłoski o polskim udziale w proteście nie zaważyły na stosunku Anglii do sprawy polskiej. Argumentacja ta w swoim zasadniczym kształcie przypomina więc jeden z argumentów Korzelińskiego, z tą wszak-



że różnicą, że Dolański nie deklaruje lojalności wobec Anglii z wdzięczności za przesłaną pomoc, ale w nadziei na przychylność w najbliższej przyszłości. Choć także zdaje się w wystąpieniu tym dostrzegać protest przeciwko Koronie, sympatyzuje z nim i nie angażuje się weni bezpośrednio głównie przez wzgląd na ewentualne niekorzystne konsekwencje tego faktu dla „sprawy polskiej”.

Czy podobną motywację można przypisać Korzelińskiemu? Czy jego niechęć do zaangażowania się w protest w kopalniach mogła wynikać z obawy, iż wieść o uczestnictwie Polaków w buncie – zdaniem Anglików – wymierzonym w legalną brytyjską władzę zaszkodzi „sprawie polskiej” na arenie międzynarodowej? Czy fakt, że spisując swoje wspomnienia po powrocie do kraju i przygotowując je do wydania, Korzeliński zadbał o to, żeby znalazła się tam deklaracja lojalności wobec Anglii i wdzięczności dla niej, wynikał z uwzględnienia potencjalnych korzyści? Wydaje się to mało prawdopodobne. Także dlatego, że znakomicie posługujący się ironią autor bez wątpienia zaopatrzyłby takie wyznanie w dystansujący komentarz, postawiłby w swoim tekście jakiś ironiczny nawias, aby naprowadzić czytelnika na właściwy trop interpretacyjny. Poza tym – czy Korzeliński mógł wiązać tak wielkie nadzieje ze stanowiskiem Anglii, skoro kierowała się ona głównie politycznym wyrachowaniem, a nie szlachetnością? Pokazał to wyraźnie w przedmowie.

Korzeliński nie tylko nie wpisał swej deklaracji lojalności wobec Anglii w ramy ironiczne, ale to właśnie relację z górniczych protestów w Bendigo opatrzył tego typu nawiasem. Przywołując słuszne w swej istocie postulaty kopaczy, nie omieszczał dodać, że decyzja o przystąpieniu do tego ruchu nie zawsze była całkowicie spontaniczna. Autor odnotowuje, iż górnikom, którzy nie chcieli od razu zaprzestać opłacania licencji, grożono podpaleniem namiotów. Wspomina:

Ja nie uczęszczam na mityngi, wstążki czerwonej na kapeluszu nie noszę, ale też i podatku nie płacę, bo na co mają mi palić namiot bracia górnicy! Pracuję pilnie w moim dole, uważając postępowanie innych. Wciąż przychodzą skądś mło-

dzi, zapaleni ludzie i na pniu, na kupie kamieni, słowem, wszędzie – perorują.

T. 1, s. 277

W relacji Korzelińskiego górnicy nie są przedstawieni jako obrońcy wolności, ale ci, którzy jedną przemoc chcą zastąpić inną. Terror licencji zastąpiony zostaje terrorem antylicencyjnym, a górnicy bardzo ironicznie określani są tu mianem „braci”. We fragmencie tym widać już nie obojętność wobec organizowanych przez górników protestów, ale wrogość wobec nich.

Czym, poza rozczarowaniem i brakiem wiary w możliwość „przeobrażenia świata”<sup>36</sup>, tłumaczyć można stanowisko Korzelińskiego, jego niechęć do ruchu, który w ocenie zarówno jego uczestników, jak i wielu ówczesnych komentatorów czy późniejszych badaczy zasługuje na pełne uznanie? Tak wyraźna niechęć autora *Opisu...* do górniczych buntów, zredukowanie ich do roli niezbyt znaczącego epizodu, musiały mieć dodatkowe motywacje. Być może niechętny stosunek do zbrojnego oporu protestujących jest tu podyktowany znajomością żołnierskiej profesji. Doświadczony żołnierz reaguje niechętnie na propozycję objęcia dowództwa nad grupą dyletantów, którzy tylko bawią się w wojsko; w przeciwieństwie do nich Korzeliński ma pełną świadomość, że przedsięwzięcie takie nie ma szans powodzenia. Być może tym także tłumaczyć należy pogardliwą wręcz relację autora *Opisu...* z bitwy, która stoczona została przez buntowników z oddziałami wojska:

Komendant wojskowej siły zbrojnej wybrał do ataku chwilę cośkolwiek po północy, bo wtenczas oczywiście improwizowani zapaleni żołnierze i najedli się dobrze, i twardym snem ujęci, słodkiego używali spoczynku, pewni w miarę zapалу i odwagi, które ich ożywiały, że nikt nie będzie śmiał budzić strasznych lwów uspiionych. Nie wierzyli nawet i wtenczas, kiedy warta ostrzegła śpiących o zbliżaniu się nieprzyjaciela; świszczące kulki ledwie przymusiły ich do chwycenia za du-

---

<sup>36</sup> A. MAUERSBERGER: *Wstęp...*, s. 6.

beltówki. Jak prędko który wyrwać się mógł z objęcia Morfeusza, wybiegał z namiotu i strzelał gdzieś do księżyca, a wystrzeliwszy nie miał czym nabić na nowo, bo ładunki przez prędkość zostawił w namiocie. [...] Reszta chcąc się zachować dla przyszłości Australii, czmychnęła, jak to przepowiedziałem w kopalniach Mayerses Flat w roku przeszłym, kiedy mnie do uczestnictwa w powstaniu zachęcano.

T. 2, s. 57

Korzeliński, choć nie wymienia tej nazwy<sup>37</sup>, odnosi się tutaj zapewne do Eureka Stockade. Wbrew tradycyjnym sposobom opisywania tego starcia nie piętnuje jednak podstępu atakujących, którzy przypuścili szturm w niedzielny poranek, nie współczuje nieprzygotowanym do bezpośredniej konfrontacji górnikom. Przeciwnie – docenia strategię nieprzyjaciela i bezlitośnie punktuje błędy popełnione przez buntowników, a wynikające z całkowitej nieznamośności wojennego rzemiosła. Demonstruje kontrast między dumnym wyobrażeniem o odegraniu roli żołnierza biorącego udział w walce o słuszną sprawę (śpiewanie żołnierskich pieśni, maszerowanie do muzyki, wznoszenie bojowych okrzyków) a faktycznym wypełnieniem żołnierskiego obowiązku (przemyślana strategia, umiejętność szybkiego zorganizowania skutecznej obrony, sprawne posługiwanie się bronią). Na próżno by szukać w tym fragmencie współczucia dla pokonanych lub choćby żalu, że smutne przewidywania autora tak szybko znalazły swe krwawe potwierdzenie. Korzeliński nie szczędzi nieszczęsnym górnikom nie tylko słów krytyki, lecz także złośliwości (nazywa górników choćby „lwami uśpionymi” czy tłumaczy ucieczkę niektórych z pola bitwy chęcią „zachowania siebie dla przyszłości Australii”).

---

<sup>37</sup> Historię górniczych buntów, w tym także krwawej bitwy stanowiącej ich punkt kulminacyjny, określa Korzeliński wspólnym (choć nieprecyzyjnym) mianem „powstania w Bendigo” (por. S. KORZELIŃSKI: *Opis podróży...*, T. 2, s. 53–62). Prawie wszystkie szczegóły opisanego tutaj epizodu przywodzą na myśl Eureka Stockade – drobna nieścisłość mogłaby dotyczyć jedynie godziny ataku. Inne relacje mówią o świcie lub o wczesnych godzinach porannych, zdaniem Korzelińskiego, do ataku doszło krótko po północy.

Być może żołnierska duma nie była jedynym powodem, który kazał Korzelińskiemu tak surowo oceniać walczących i nie dostrzegać wielkiej sprawy, której bronili. Mniej więcej w tym samym okresie jego uwaga skupiona była na docierających do Australii ze sporym opóźnieniem informacjach o wojnie krymskiej. Informacje te – choć dotyczące spraw rozgrywających się na drugiej półkuli – były zdecydowanie bliższe sercu polskiego majora. To w Europie toczyła się prawdziwa wojna, tam rozgrywały się prawdziwe bitwy, na których tle słynna Eureka Stockade wyglądać mogła rzeczywiście na pozbawioną głębszego znaczenia potyczkę. Entuzjazm Korzelińskiego dla działań wojennych nosi tu zresztą wszelkie znamiona zainteresowania w pełni profesjonalnego. Sam autor wspomina:

Dla nas dosyć było, że wojna trwa, przedmiot zatem do rozmowy niewyczerpany na cały tydzień aż do nadejścia nowych dzienników. Wytykamy błędy jenerałów, chwalimy oddziały potykające się walecznie, robimy plany bitew po swojemu i wyobraźnią przenosimy się na pola krwawe. [...] Dziwna rzecz przyzwyczajenie! Jużci każdy rozsądny człowiek, do których chcielibyśmy wszyscy być zaliczeni, wojny i bitwy prowadzone w interesie nas nie obchodzącym bliżej, potępiać musi. Cóż to przyjemnego odbywać marsze nocne w słotę lub mrozy, leżeć w błocie lub na śniegu, często bez isierki ognia do ogrzania się, głód i nędzę cierpieć nieraz i narażać się na kalectwa i utratę życia! A przecież zapomina się o biedzie, kiedy o huku dział, szarżach kawalerii i bagnetach coś się przeczyta nowego.

T. 2, s. 28

Korzeliński również w pewien sposób mitologizuje żołnierską profesję, ale czyni to jakby „od wewnątrz”, jako doświadczony uczestnik zbrojnych potyczek zna ich wszystkie trudy i niebezpieczeństwa. Zmuszony okolicznościami do wykonywania zupełnie innego zawodu, tęskni za polem bitwy, które wydaje się autorowi *Opisu...* niemal „naturalnym środowiskiem” życia<sup>38</sup>.

---

<sup>38</sup> O kultywowaniu „żołnierskiego etosu” była już mowa (zob. s. 35–38).

Być może wojna krymska angażuje jednak uwagę Korzelińskiego nie tylko ze względu na to, że przypomina mu o prawdziwym obliczu konfliktu zbrojnego i rzeczywistych wyzwaniach czekających na doświadczonych żołnierzy. Wbrew deklaracji zawartej w cytowanym fragmencie, iż jest to wojna prowadzona „w interesie nas nie obchodzącym”, wiemy, że z wojną krymską Polacy wiązali pewne nadzieje na odzyskanie niepodległości. W konflikt ten zaangażowały się przecież mocarstwa zachodnioeuropejskie, które wystąpiły przeciwko Rosji, a już to wystarczyło, aby przez część emigracji wojna ta była postrzegana jako szansa dla sprawy polskiej<sup>39</sup>. Zainteresowanie Korzelińskiego nie musi więc stanowić wyłącznie świadectwa jego fascynacji żołnierską profesją, ale być może wiąże się także z rozbudzoną nadzieją na realizację planu powrotu do kraju, jeśli tylko okoliczności będą sprzyjające. Warto na marginesie zauważyć, że rozgrywające się równolegle w dwóch różnych zakątkach ziemi konflikty, choć tak zasadniczo odmienne, w pewien paradoksalny sposób w wyobraźni niektórych świadków górniczych buntów nałożyły się na siebie. W relacji Korzelińskiego wynikać to mogło z pobudek narodowych, ale o podobnym „związku” przeczytać możemy we wspomnieniach Carboniego. Wprawdzie Carboni sam siebie strofuje:

Cóż to za nonsensowny pomysł, aby podnosić barykady Eureka do poziomu Sewastopola!<sup>40</sup>

---

<sup>39</sup> O nadziejach wiązanych przez Polaków z tym konfliktem świadczyć może choćby działalność Mickiewicza, jego zaangażowanie w formowanie oddziałów polskich mających walczyć z Rosją. Jan Reychman twierdzi, że mocarstwa europejskie wykorzystywały sprawę polską jako kartę przetargową w tej wojnie: „Nic więc dziwnego, że choć nikt na serio o odbudowie Polski nie myśli, o Polsce wciąż jest mowa, co sprawiać mogło złudne wrażenie, jakoby naprawdę gra szła o Polskę. W pierwszym okresie wojny nie brak enuncjacji zachęcających, jak choćby oświadczenie Clarendona w parlamencie angielskim 17 lutego 1854, że za przelaną krew Rosja powinna zapłacić zwrotem zagarniętych ziem. Ale po zadeklarowaniu się Austrii następuje cisza na froncie polskim, aż znów wahania się Austrii powodują nową falę sugestii; nową falę grózb powołania »Włochów, Węgrów i Polaków do broni«”. J. REYCHMAN: *Działalność Mickiewicza w czasie Wojny Krymskiej*. Warszawa 1955, s. 12.

<sup>40</sup> R. CARBONI: *The Eureka Stockade...*, s. 83.

– nie zmienia to jednak faktu, że idea taka zrodziła się w wyobraźni Włocha<sup>41</sup>.

## Krajowcy

Seweryn Korzeliński i Bolesław Dolański odnotowali na kartach swoich wspomnień wrażenia ze spotkań z tubylcami. Znaczenia tych świadectw dla poznania i opisu mentalności, zwyczajów i stylu życia aborygenów nie można przeceniać, gdyż żaden z autorów nie dysponował ani rzetelną wiedzą, ani sprawdzoną metodologią, która pozwoliłaby we właściwy sposób interpretować oglądane fenomeny. Rdzennych mieszkańców Australii autorzy ci postrzegają z pozycji uprzywilejowanej, należytą przedstawicielom cywilizowanych narodów europejskich, co jest, oczywiście, zjawiskiem powszechnym w czasie, gdy obaj polscy poszukiwacze złota przebywali na tym kontynencie. Ich opis jest też ze zrozumiałych względów ograniczony do tych przedstawicieli ludności tubylczej, którzy wchodzili w rozmaite interakcje z kolonistami – fakt ten znacząco wpływał na modyfikację zachowań właściwych wspólnotom pierwszych mieszkańców kontynentu. Warto zatem na wstępie przypomnieć – bardzo w tym kontekście znaczącą – uwagę Pawła Edmunda Strzeleckiego:

Historia tych ludów nie ma kronik ani zabytków. Opiera się ona na tradycji, która podobnie jak język, zwyczaje, moralność, stan społeczny i polityczny tych ludów, uważana była

---

<sup>41</sup> Oblężenie Sewastopola trwało jedenaście miesięcy, poniesiono ogromne straty w ludziach – zginęło wielu zarówno rosyjskich marynarzy, jak i mieszkańców miasta. Liczba mieszkańców miasta przed wojną wynosiła 43 000, w roku 1867, kiedy Mark Twain odwiedził Sewastopol, było ich już zaledwie 6 000 (Ch. KING: *Dzieje Morza Czarnego*. Przeł. Z. PIOTROWSKA. Warszawa 2006, s. 198, 203). Porównywanie oblężenia Sewastopola z krótką bitwą górników i poniesionymi przez nich stratami jest rzeczywiście pomysłem nonsensownym, ale skojarzenie takie (nawet uwzględniając złożoną przez autora niezwłocznie samokrytykę) świadczy o wadze, jaką przywiązywali kopacze do Eureka Stockade.

przez Europejczyków za przedmiot nie zasługujący na badanie. Stąd wszelkie wiadomości zawarte w opisach, czy to pierwszych żeglarzy, czy to współczesnych podróżników, dotyczą tego, czym są owe ludy w stosunku do kolonistów, a nie tego, czym są w stosunku do rodzaju ludzkiego<sup>42</sup>.

Zauważyć trzeba, że obserwacje dotyczące aborygenów są w obu relacjach – Korzelińskiego i Dolańskiego – bardzo podobne, co jest zrozumiałe, ponieważ obaj autorzy przebywający na tym samym obszarze i prowadzący analogiczną działalność spotykali się z tymi samymi grupami krajowców w bardzo podobnych sytuacjach, musieli zatem być świadkami często identycznych reakcji i zachowań. Odnotowali również popularne w tym środowisku anegdota i przekonania białych kolonistów na temat pierwszych mieszkańców kontynentu, a nie tylko własne naoczne obserwacje.

W interesujący sposób rozpoczyna rozdział poświęcony aborygenom Seweryn Korzeliński. Notuje mianowicie:

Nikt nie policzył dotąd ludności całej Australii. Oprócz osadników przybyłych i ludności pracującej w minach, są dzicy tułający się po lasach w kilku, kilkunastu, a czasem większymi stadami, jak dzikie zwierzęta.

T. 1, s. 102

Jest rzeczą charakterystyczną, że swoje wyliczenie rozpoczyna autor od ludności napływowej, od kolonistów i poszukiwaczy złota, dopiero na samym końcu wymienia tubylców, choć to oni przecież powinni być uznani za pierwszych mieszkańców kontynentu<sup>43</sup>. Wpisuje się tym samym w typowy dla tradycji angielskiej sposób

---

<sup>42</sup> P.E. STRZELECKI: *Krajowcy Nowej Południowej Walii i Ziemi Van Diemena*. W: IDEM: *Nowa Południowa Walia*. Przeł. J. FLIS. Warszawa 1958, s. 270.

<sup>43</sup> Warto dodać, że w cytowanej tutaj wstępnej uwadze odnotowuje Korzeliński również fakt dostrzeżony przez badaczy kultury i stylu życia rdzennych mieszkańców Australii, iż żyją oni zazwyczaj w niewielkich grupach, które tylko dość umownie określać się zwykło mianem „plemion”. Por. W. OLSZEWSKI: *Historia Australii...*, s. 39.



przedstawiania historii Australii tak, jakby była ona w momencie „najazdu” Europejczyków ziemią niezamieszkałą – prawdziwą *terra nullius*<sup>44</sup>. Jednocześnie we fragmencie tym ujawnia się zastosowana przez autora strategia opisu krajowców – wszystkie rozpatrywane przez Korzelińskiego zjawiska nie tylko postrzegane są z perspektywy świadomego swej wyższości Europejczyka, lecz także analizowane przez pryzmat własnych doświadczeń autora i wartości kulturowych, które traktowane są tutaj jako podstawowy punkt odniesienia i fundament wszelkich ocen.

W tym ujęciu ludność tubylcza jawi się w relacji Korzelińskiego niezbyt zachęcająco. Są to ludzie leniwi, o obyczajach – eufemistycznie rzecz ujmując – raczej szorstkich, na dodatek skłonni do zabobonów i myślenia magicznego. Jediną rzeczą, która w oczach autora zasługuje na autentyczne uznanie, jest zwinność krajowców, ich świetna orientacja w terenie i znajomość ziemi, na której żyją. Jednak również ta pochwała wyrażona została w sposób specyficzny; o wspinającym się zręcznie na drzewo tubylcu pisze autor: „istna małpa” (T. 1, s. 103). Choć określenie to zawiera w sobie element uznania dla nieosiągalnych dla białych osadników umiejętności, pobrzmiewa w nim także nuta lekceważenia.

Więcej uznania i sympatii dla rdzennych mieszkańców kontynentu przejawia Bolesław Dolański. Wprawdzie i on zauważa ich lenistwo, niezdatność do jakiegokolwiek pracy i grubiańskie obyczaje, ale jednocześnie z uznaniem wypowiada się o powierzchowności aborygenów:

wielu pomiędzy nimi jest przystojnych, zwłaszcza mężczyzn. [...] Chód tak mężczyzn, jak i kobiet jest powolny, lecz wspinały, nader poważnie trzymają się jakby żołnierze.

s. 161

Chwali również polski autor charakter tubylców, pisząc, że jest on:

---

<sup>44</sup> J. PILGER: *A secret country*. London–Melbourne–Sydney 1990, s. 25.



łagodny i gdy są w dobrym humorze, to jest gdy są niegłodnymi, śmieją się i wdzięczą do białych. Postępowanie ich bardzo dobre – nigdy nie kradną, chociaż Anglicy ich bardzo psują złymi przykładami i namowami.

s. 164

Dolański odnotowuje w tym fragmencie obserwację zbieżną z ustaleniami etnologów, dotyczącą zmian w postępowaniu ludności tubylczej stykającej się z kolonistami. Nie sposób jednak nie zauważyć, że spostrzeżenie to nie tyle ma tutaj pełnić funkcję uwagi naukowej, ile jest jednym z elementów przejawianej przez Dolańskiego w całym tekście niechęci do Anglików. Autor korzysta z każdej okazji, aby nie bez złośliwości skomentować obyczaje oraz postęпки przedstawicieli tej narodowości; podkreślanie złego wpływu, jaki Anglicy wywierają na ludność tubylczą, wydaje się elementem takiej właśnie strategii. W innym miejscu rozdziału poświęconego krajowcom przeczytać można:

Podczas przenosin kobiety są zobowiązanymi nieść wielkie ciężary, jak to dzieci, żywność, lance, kołdry itp., a gdy je nieść dalej nie może, mąż jej brał małą siekierkę, którą zazwyczaj przy sobie noszą, i zabijał. Lecz dziś już więcej tego nie robią poduczeni przykładem białych (tylko nie Anglików, ci albowiem dla swych żon są jeszcze gorsi jak czarni).

s. 161

Trudno ocenić wartość merytoryczną tego przekazu. Mógłby on do pewnego stopnia potwierdzać relacje odnotowane przez etnologów o okrutnym lub surowym traktowaniu żon przez mężów w tubylczych wspólnotach. Jednakże – jak zauważa Bronisław Malinowski – owo złe traktowanie podkreślone w niektórych świadectwach zakładało dominację męża, który może swą żonę traktować źle, nie może jej jednak zabić<sup>45</sup>. Zachowanie odnotowane przez Dolańskiego

<sup>45</sup> B. MALINOWSKI: *Aborygeni australijscy. Socjologiczne studium rodziny i inne prace przedterenowe*. Przeł. K. OLECHNICKI, T. SZLENDAK, W. ADAMEK. Warszawa 2002, s. 98–112.

go nie mieści się zatem w tym schemacie i należy domniemywać, że opisuje tu autor nie tyle powszechny obyczaj, którego był świadkiem, ile zasłyszane historie, których interpretacja (podobnie jak opisywanego przez Korzelińskiego zwyczaju zabijania dzieci przez matki, które są zbyt leniwe, aby owe dzieci przenosić z miejsca na miejsce<sup>46</sup>) wynika z nieznamośności kultury i praw rządzących tubylczymi społecznościami, co skłania autorów pozbawionych rzetelnej wiedzy i właściwego kontekstu do dokonywania uproszczeń i błędnych eksplikacji opisywanych zjawisk. Warto zresztą na marginesie zauważyć, że Malinowski podważa ów sąd o okrutnym traktowaniu żon przez mężów, zwracając uwagę na fakt, że zaznaczone w niektórych świadectwach przejawy pogardy mogą być „konsekwencją »nowych rządów« pod wpływem cywilizacji”<sup>47</sup> lub wynikać z reguł o pochodzeniu magicznym, zatem nie powinny być rozpatrywane jako przejawy złego traktowania. Wszystkie te zastrzeżenia trzeba podtrzymać. Analizując nie tylko ten, lecz także inne fragmenty relacji zarówno Dolańskiego, jak i Korzelińskiego na temat życia pierwotnych mieszkańców Australii, wydaje się bowiem, że często autorzy ci popełniają tego typu błędy w interpretacji poszczególnych zachowań krajowców. Na sformułowanie sądu o surowości czy wręcz grubiaństwie aborygenów, szczególnie w ich sposobie odnoszenia się do kobiet, wpływ może mieć również niebranie przez opisujących pod uwagę faktu, że obyczaje te „nie powinny być oceniane według naszych standardów, naszych poglądów i naszych nerwów. Gdyż w innym razie nie moglibyśmy zrozumieć, jak mogłoby występować takie odczucie jak szczęście, o którym donoszą prawie wszyscy [...] informatorzy”<sup>48</sup>.

W cytowanej wcześniej wypowiedzi Dolańskiego ów brak osądzania opisywanych fenomenów we właściwym im kontekście i próba dopasowania ich do europejskiego systemu norm i wartości są z pewnością zauważalne. Stąd też zapewne wynika uwaga o zbawiennym wpływie „białej cywilizacji”, dzięki któremu krajow-

---

<sup>46</sup> S. KORZELIŃSKI: *Opis podróży...*, T. 1, s. 107.

<sup>47</sup> B. MALINOWSKI: *Aborygeni australijscy...*, s. 113–114.

<sup>48</sup> Ibidem, s. 114.

cy zarzucili swe najbardziej barbarzyńskie obyczaje, jak właśnie zabijanie bezużytecznych żon. Sformułowana przy tej okazji uwaga, iż owego zbawionego wpływu nie mogą tubylcy zawdzięczać Anglikom, którzy małżonki swoje traktują jeszcze gorzej niż przedstawiciele plemion zamieszkujących Australię, jest kolejnym śladem wspomnianej już niechęci autora do reprezentantów tej europejskiej nacji.

Niechętnie komentarze pod adresem Anglików pojawiają się również licznie w książce Korzelińskiego. Pisząc na temat rdzennych mieszkańców kontynentu, nie omieszczał podróżnik odnotować okrutnego i niesprawiedliwego postępowania Anglików wobec aborygenów. Ukazał tu zarówno konkretny przykład złego traktowania ludności tubylczej przez przedstawicieli tej narodowości, jak i ogólną politykę angielską wobec plemion zamieszkujących zajęte przez Koronę terytoria:

Oburzające to postępowanie Anglików z dzikimi było wprawdzie jedyne w przytomności naszej popełnione, ale cóż robią oni wszędzie, gdzie panowanie swoje rozpostarli? Australia jest rozległą, kolonie liczne, bo jak sami dumnie chełpią się, słońce w ich posiadłościach nigdy nie zachodzi. Wypadek, któryśmy widzieli, jest niczym w porównaniu z tym, co się dzieje w ukryciu lasów odwiecznych na niejednej zabranej ziemi. Dla publiczności są dzienniki wychwalające zbawienne instytucje, zniesienie nadużyć, zaprowadzenie i rozkrzewienie zasad filantropii i cywilizacji między dzikimi, nikt jednak nie wspomni, bo się mało kto naocznie przekonał, że wszystkie dobrodziejstwa te angielskie bardzo homeopatycznie udzielane są i tylko wtenczas, jeżeli z miejsca zabranego korzyści dla siebie ciągnąć mogą. Dlaczegoż to nie cywilizują i nie uszczęśliwiają mieszkańców Ziemi Ogniów przez Cieśninę Magellana oddzielonej od Patagonii? Bo tam ani kruszców żadnych nie znaleźli, ani ziemi zdatnej do uprawy, a mieszkańców nie mogli posyłać lub sprzedawać jako niewolników do innych kolonii.

T. 2, s. 49

Fakt obrzucenia przez Anglików kamieniami grupy aborygeńskich kobiet staje się dla Korzelińskiego pretekstem do sformułowania ogólnych zasad determinujących politykę kolonistów wobec ludności zajętych przez nich terenów, a są to: przemoc, wyzysk i hipokryzja. Korzeliński pisze z właściwą sobie ironią o „homeopatycznie” udzielanych dobrodziejstwach białej cywilizacji, ukazuje jednocześnie prawdziwe intencje krzewicieli owej cywilizacji. Choć we fragmencie tym ujawnia się niechęć wobec Anglików (dochodząca do głosu także w innych miejscach *Opisu...*), trudno odmówić słuszności spostrzeżeniom autora; stawiane tu zarzuty nie są z pewnością bezzasadne czy przesadzone.

Warto na marginesie zauważyć, że ujawniona zarówno przez Korzelińskiego, jak i przez Dolańskiego niechęć do Anglików – jeżeli nie była efektem osobistych negatywnych doświadczeń emigracyjnych, czego wykluczyć nie sposób<sup>49</sup> – wynikała zapewne z faktu, że kopacze stykali się z nimi jako przedstawicielami oficjalnej władzy i administracji brytyjskiej w kolonii. Potwierdzone to zostało nie tylko na kartach polskich wspomnień licznymi przykładami rozmaitych nadużyć popełnianych przez urzędników Korony. Choć odkrycie złota spowodowało tak wielki napływ przedstawicieli różnych narodowości do kopalń Wiktorii, „nie zagroził on brytyjskiej dominacji w dziedzinie polityki czy życia kulturalnego”<sup>50</sup>. Wyraźnie uprzywilejowana pozycja Anglików, odbierana często przez przedstawicieli innych narodowości jako przejaw niesprawiedliwości, mogła stać się powodem licznych niechętnych uwag pod ich adresem formułowanych przez obu polskich autorów.

Polscy poszukiwacze złota odnotowali w swych wspomnieniach nieudane próby „ucywilizowania” aborygenów. Korzeliński pisał o pojętych przez kolonistów za żony tubylczych kobietach, które tylko czas jakiś cieszyły się swym nowym życiem, aby w końcu, bez oczywistego powodu, porzucić swych małżonków<sup>51</sup>. Podobnie

<sup>49</sup> W przypadku Korzelińskiego możliwość taką sugeruje Adam MAUERSBERGER: *Wstęp...*, s. 5.

<sup>50</sup> W. BATE: *Victorian gold rushes...*, s. 27.

<sup>51</sup> S. KORZELIŃSKI: *Opis podróży...*, s. 109.

kończyły się wszystkie próby zatrudnienia krajowców w majątkach białych osadników:

Powinni oni więc byli przywiązać się do życia ucywilizowanych ludzi, a przecież czas tylko krótki chodził *black fellow* w sukniach europejskich, wyprostowany jak struna i z głową podaną w tył, tak że pewnie pion spuszczonej z jej wierzchołka pomijałby pięty; wkrótce, przenosząc nagość i malidło białej i czerwonej gliny nad stroje nasze, powrócili do nich.

T. 1, s. 110

Przekonanie, iż tubylcy powinni docenić dobrodziejstwa „białej cywilizacji”, potwierdza europocentryczną orientację autora tej relacji, brak zrozumienia dla odmienności aborygeńskiej kultury oraz wyznawanych przez krajowców wartości, wreszcie nieumiejętność dostrzeżenia faktu, że „inny” nie musi oznaczać „gorszy”. Trudno, oczywiście, czynić Korzelińskiemu zarzut z powodu takiego sposobu myślenia – był on nie tylko powszechny w wieku XIX, lecz także utrzymał się w stosunku do pierwszych mieszkańców Australii przez wiele dziesięcioleci i stał się w zasadzie fundamentem oficjalnej polityki państwa wobec rdzennych ludów. Już w czasie pobytu obu polskich poszukiwaczy złota na tym odległym kontynencie władze kolonii podejmowały próby „cywilizowania” aborygenów, czynienia ich „użytecznymi członkami społeczeństwa” w europejskim rozumieniu tego słowa, co w praktyce oznaczało czynienie wysiłków w celu zmuszania tubylców do porzucenia własnych tradycji, obyczajów, stylu życia i dostosowania się do tego, co przywieźli z sobą koloniści. Dolański odnotował, że działania te podejmowali nie tylko pojedynczy osadnicy, ale że zjawisko funkcjonowało na większą skalę:

We wszystkich koloniach rząd pozakładał dla nich szkółki, dając im życie i odzież, lecz oni mało co robią sobie z nauk. Rząd nadaje im grunta, których im jednak nie wolno sprzedawać. Niektórzy pozakładali ładne ogródki i pobudowali dom-

ki, lecz jak przyjdzie coś do głowy, porzucają wszystko i idą w lasy na kilka miesięcy.

s. 164

Sformułowanie „przyjdzie coś do głowy” nie zdradza głębszego zrozumienia dla motywacji aborygenów, którzy nie są w stanie trwale dać się „urobić” według europejskiego wzorca. Niezależnie jednak od ocen autorów, ich relacje dokumentują stan rzeczy, który stał się udziałem rdzennych mieszkańców Australii na długi czas (a którego konsekwencje widoczne są także dziś): egzystowanie pomiędzy dwoma światami, przymusowe „wcielanie” w styl życia nieprzystający w żaden sposób do tradycji i obyczajów tubylczej ludności, przy jednoczesnym stopniowym zacieraniu się więzi z własną kulturą<sup>52</sup>.

Charakteryzowana dotąd perspektywa, z której obaj polscy autorzy podejmuje trud opisu życia i zwyczajów krajowców, przynajmniej w dwóch miejscach ulega chwilowemu zawieszeniu. Seweryn Korzeliński, opisując magiczny obrzęd (w czasie obrzędu szaman wynajduje pod korą talizmany o cudownej mocy, a następnie rozdaje je chętnym), komentując zarówno naiwną wiarę tubylców w magiczne umiejętności mistrza ceremonii, który wszak owe rzekomo odkrywane przedmioty w rzeczywistości sam trzyma w ręce, jak i równie naiwną wiarę w niezwykłą ich moc, zauważa:

Wszak Arab zawiesza na szyi półksiężyc lub inny rodzaj amuletu, by ustrzec swego konia od ręki złodzieja i od złych oczu czarownika. A u nas obrączka złota na palcu, wiernie noszona, ma być podobno silnym nader hamulcem w bocznych skokach, w których zwichnięte mogłoby zostać sumienie. Potrzebne więc są widać wszędzie talizmany, z jakiego bądź są one materiału i jakiegokolwiek kształtu.

T. 1, s. 106

---

<sup>52</sup> Zob. podrozdział *Niewidzialni mieszkańcy Nicości* (s. 176–194).

Zabobonna wiara w magiczną moc przedmiotów – choć potraktowana przez autora sceptycznie – jest tutaj jednak słabością natury ludzkiej w ogóle, a nie jedynie cechą wyróżniającą plemiona tubylcze. Nie stanowi zatem pretekstu do podkreślenia wyższości Europejczyków nad krajowcami, przeciwnie, w egzotycznie wyglądającym obrzędzie Seweryn Korzeliński dostrzega elementy tych samych przekonań i wierzeń, które są mu dobrze znane z Europy. Nieżonaty major o „magicznej” roli obrączki wypowiada się z wyraźną ironią.

Drugim fragmentem, w którym tak klarowny zazwyczaj podział na wysoką cywilizację europejską i prymitywne wspólnoty tubylcze został zakwestionowany, jest następujący pasaż ze wspomnień Korzelińskiego:

Każda familia *black fellowsów* rozpala małe ognisko i nazywa białych głupimi, dlatego że biali rozłożywszy wielki ogień, blisko przystąpić nie mogą, gdy czarny prawie w samym ogniu siedzi i piecze oposa, z którego nic nie wyrzuca.

T. 1, s. 104

Odnutowany tu został nie tylko fakt, iż w oczach krajowców to biali uchodzić mogą za nieświadomych skutecznych sposobów przetrwania i pozbawionych podstawowych umiejętności. Dzięki temu, że w przytoczonej sytuacji to właśnie aborygeni wykazują się większym zmysłem praktycznym, lepszymi umiejętnościami dostosowania się do życia w australijskich warunkach, w pewien sposób zakwestionowana zostaje „uniwersalna” wyższość europejskiej cywilizacji, a tubylcze zdziwienie postępowaniem białych pokazane jest jako w pełni uzasadnione.

Identyczna obserwacja znalazła się także w dziele Dolańskiego, który notuje, iż krajowcy,

gdy zobaczą ogień przy drodze zostawiony, gdzie podróżni gotowali obiad lub śniadanie, a zwłaszcza gdy ten jest duży, to oni mówią: „To mi to głupi biały towarzysz! Zrobi duży

ogień i ucieka. A czarny zrobi maleńki i czeka aż się ten wypali, i wyśpi się w jego ciepłym popiele”.

s. 171

Praktyczne podejście tubylców, umiejętność korzystania do końca z efektów własnych działań, niemarnowanie energii na rzeczy niepotrzebne to bez wątpienia zalety pierwszych mieszkańców kontynentu, świadczące o znakomitym opanowaniu przez nich sztuki życia w tych trudnych warunkach i znajomości środowiska naturalnego. W żadnym z cytowanych fragmentów tubylcy nazywający białego człowieka głupim nie zostali ośmieszeni czy zdyskredytowani. Przeciwnie, ich poczucie wyższości zostało tu w pewien sposób uzasadnione.

Nieco inaczej jest w przypadku kolejnej zanotowanej przez Dolańskiego obserwacji dotyczącej krajowców:

Białych ogólnie mają za okropnie głupich i mówią: „Biały towarzysz głupi! On tak ciężko pracuje dla pieniędzy i herbaty. A czarny towarzysz to nie głupi – on nie pracuje, pójdzie do białego, uśmiechnie się, napali się tytoniu, naje i napije się, i nie potrzebuje pracować”.

s. 170–171

Choć fragment ten mógłby autorowi posłużyć do sformułowania spostrzeżeń na temat wartości uznawanych za kluczowe w różnych kulturach i pokazania, że europejska żądza posiadania nie jest uniwersalnym pragnieniem wszystkich ludzi na całym świecie, refleksja Dolańskiego nie zmierza w tym kierunku. W połączeniu z licznymi uwagami o lenistwie tubylców, ich niechęci do jakiegokolwiek pracy, tego typu formułowane przez nich oceny nabierają zabarwienia ironicznego. Krajowcy nie są tu pokazani jako ludzie o innych priorytetach niż biali, ceniący wyżej odmienne wartości, ale raczej jako sprytni lenie, którzy opanowali sztukę zaspokajania własnych potrzeb kosztem cudzej pracy.

W konstruowaniu opisów życia i obyczajów tubylców australijskich zarówno Korzeliński, jak i Dolański skazani są na obserwa-



cje oraz relacje szczątkowe, fragmentaryczne, niedające pełnego wglądu w specyfikę aborygeńskiej kultury. Pozbawieni wiedzy na jej temat autorzy często błędnie interpretują fakty, stosując kryteria wywiedzione z własnej kultury i formułują oceny oparte na wyznaczanym przez siebie systemie wartości. Obaj zdradzają jednak autentyczne zainteresowanie życiem rdzennych mieszkańców kontynentu. Fragmenty poświęcone opisowi aborygenów pozwalają też dostrzec pewną stałą tendencję w *Opisie podróży do Australii...* i *Trzech epokach życia mego...*, odróżniającą sposób podejścia obu autorów do „kraju w dole globusa”. Chodzi mianowicie o entuzjazm Dolańskiego, który Australią się zachwyca, zawsze nastawiony jest pozytywnie do obserwowanych w niej zjawisk, i zmysł, bez porównania bardziej krytyczny, Korzelińskiego, który – czując, rzecz jasna, sympatię do miejsca swego tymczasowego pobytu – nie ulega nadmiernej egzaltacji, ocenia lokalne fenomeny z dystansem, często ironicznie czy sceptycznie. Widać to również w sposobie, w jaki podchodzą obaj polscy autorzy do rdzennych mieszkańców kontynentu (ta różnica w nastawieniu wydaje się tym wyraźniejsza, że merytoryczna zawartość rozdziałów poświęconych ludności tubylczej jest w obu omawianych pracach bardzo podobna). W relacji Dolańskiego poza próbą opisanie ludności tubylczej pojawiają się też osobiste pozytywne wyznania: chwali autor powierzchowność i charakter aborygenów. Korzeliński poprzestaje raczej na przedstawieniu znanych sobie faktów dotyczących życia mieszkańców kontynentu australijskiego, prezentację osobistych uczuć ogranicza do potępienia przemocy stosowanej przez Anglików wobec krajowców.

\* \* \*

Korzeliński i Dolański przebywają w Australii w okresie gorączki złota, czyli w czasie intensywnych przemian gospodarczych, społecznych, kulturowych w tym kraju. Mają poczucie, że podróż, którą odbyli, nie jest eskapadą podejmowaną przez wielu ich rodaków, a zatem zdobyte doświadczenia i wiedzę na temat odległego kontynentu próbują przekazać w spisanych przez siebie

wspomnieniach. W obu podróżach owe wielostronne i rzeczowe (obejmujące informacje o historii odkryć kontynentu, faunie, florze, topografii, klimacie, wydobyciu złota) relacje zabarwione zostają osobistymi refleksjami autorów snujących swe australijskie opowieści. W przypadku *Opisu...* Seweryna Korzelińskiego osoba autora zaznacza się w tekście głównie dzięki ciekawym spersonalizowanym komentarzom, analizom opisywanych fenomenów, uwagom zdradzającym czasem uprzedzenia piszącego, ale częściej jego niezwykłą intuicję i umiejętność wyciągania trafnych wniosków czy właściwego łączenia faktów, co skutkuje barwnym i ciekawym opisem „kraju w dole globusa”. Dolański traktuje swą australijską eskapadę jak niezwykłą przygodę, do której podchodzi entuzjastycznie. Stara się zatem nie tylko przekazać to, czego udało mu się dowiedzieć o ukochanej Australii, lecz także ukazać swoje przygody na dalekim lądzie tak, aby ich awanturniczy urok nie został zatracony.



## Rozdział III

# Słówko o kobietach, czyli australijskie opowiadania Sygurda Wiśniowskiego

Sygdur Wiśniowski, „największy obieżyświat, jakiego wydała ziemia polska”<sup>1</sup>, do Australii był – jak można wnioskować z jego tekstów – autentycznie przywiązany. W opowiadaniach jego autorstwa, których akcja rozgrywa się na tym niezwykle kontynencie, nietrudno znaleźć wyznania o wyraźnie autobiograficznym charakterze podkreślające szczególnie zachwyt i emocjonalny związek polskiego podróżnika z „krajem w dole globusa”<sup>2</sup>. W *Pani Jeziora* noszący wyraźne cechy autora narrator opowiadania deklaruje:

---

<sup>1</sup> L. PASZKOWSKI: *Polacy w Australii i Oceanii 1790–1940*. Z przedmową L. ZUB-RZYCKIEGO. Londyn 1962, s. 190.

<sup>2</sup> Wiśniowski jest również autorem obszernych wspomnień z dziesięcioletniego pobytu w tej części świata, w których zrelacjonowane zostały przygody autora zarówno w samej Australii, jak i na okolicznych wyspach, jego doświadczenia zdobyte podczas poszukiwania złota oraz wykonywania innych profesji na odległym lądzie. Wspomnienia te dostarczają wielu interesujących informacji na temat szybko rozwijającej się kolonii, a ze względu na podróżnicze, amatorskie wprawdzie, ale niepozbawione ambicji rzetelnego przekazania wiedzy na temat mało znanego w Polsce kontynentu, nastawienie zawierają sporo informacji na temat historii odkryć Australii i osadnictwa na tym kontynencie, fauny i flory, rolnictwa, gospodarki, stosunków społecznych i wszystkich innych dziedzin życia, z którymi dane było się zetknąć autorowi. We wspomnieniach tych wyraźnie zauważyć się daje ton

Z ziem australskich Gippsland, południowo-wschodnia prowincja Wiktorii, posiadał dla mnie najwięcej tej siły magnetycznej, co przyciąga każdego człowieka do pewnego kraju, powiatu lub wioski. Świat nazywa ją miłością ojczyzny, gdy działa najpotężniej, gdy zacisze, do którego nas wiąże, z którym nas może wbrew naszej woli skuwa ta święta siła, było gniazdem naszej rodziny, a kość nasza z cząstek jego skał zmężniała. Zdarza się jednak, jak się sam dwukrotnie w życiu przekonałem, że i obcy kawał świata posiada dla nas podobny, wątlejszy, lecz zawsze potężny urok, tym silniejszy, im dalej i dłużej oderwaliśmy się od gniazda ojców, im słabszą mamy nadzieję powrotu.

*Pani Jeziora, s. 135–136<sup>3</sup>*

Takie szczególne przywiązanie, przypominające uczucie, które żywi się zazwyczaj do kraju rodzinnego, narrator uzasadnia na kil-

---

entuzjazmu dla młodego, prężnie rozwijającego się kraju, jego egalitarnego społeczeństwa, życia prostego i wymagającego, które wymusza praktyczne nastawienie i umiejętność cenięcia ludzi jedynie za ich rzeczywiste dokonania (por. S. WIŚNIEWSKI: *Dziesięć lat w Australii*. T. 1 i 2. Lwów 1873). W niniejszej książce decyduję się jednak na przedstawienie wizerunku Australii wyłaniającego się z opowiadań Wiśniowskiego, wykorzystując jego wspomnienia jedynie jako tło, ponieważ zastosowana przez autora w tym dziele strategia (nastawienie na przekazanie dużej ilości informacji na temat Australii, dobór tematów, chęć utrwalenia obserwowanych fenomenów) nie różni się w zasadniczym kształcie od tej dostrzegalnej we wspomnieniach Korzelińskiego i Dolańskiego, omawianych w poprzednim rozdziale. Różnica dotyczy tu szczegółowych obserwacji czy sądów, które, oczywiście, muszą być odmienne choćby dlatego, że Wiśniowski przebywa w Australii kilka lat po wspomnianych wcześniej poszukiwaczach złota, wyposażony w odmienną wrażliwość i mający inne przekonania. Sam sposób konstruowania wizerunku Australii przez Wiśniowskiego jest jednak zbliżony do opisów autorstwa jego poprzedników, wybieram zatem – dla urozmaicenia niniejszej prezentacji – twórczość literacką podróżnika, aby w niej poszukiwać oryginalnego sposobu portretowania tego niezwykłego kraju-kontynentu, a ściślej rzecz ujmując: jednego z charakterystycznych dla niego elementów.

<sup>3</sup> S. WIŚNIEWSKI: *Koronacja króla wysp Fidżi oraz inne nowele, obrazki i szkice podróżnicze*. Oprac. J. TUWIM, B. OLSZEWICZ. Warszawa 1953, s. 136. Wszystkie cytaty z utworu pochodzą z tego wydania. Po cytatach podaje tytuł opowiadania i numery stron.

ka sposobów. Przede wszystkim widać wyraźnie, że dla czyniącego to wyznanie człowieka ów umiłowany zakątek Australii nie jest ziemią obcą, egzotyczną, zdumiewającą swoją innością, a jedynie piękną, dostatnią i oswojoną. Wiśniowskiego zachwyca przyroda i bogactwa naturalne, gdyż:

On jeden [Gippsland – M.B.] na całym kontynencie australskim łączył piękne widoki z obfitością złotego pyłu w brzęczących rzeczułkach, z złotodajnymi żyłami kwarcowymi w foremnych wzgórzach. Jego kopalnie słynęły nie tylko z bogactw, lecz i z łatwości eksploatacji.

*Pani Jeziora, s. 137*

Ziemia ta jest także miejscem szczególnym dla przybysza z Polski, nosi bowiem ślady odkryć Strzeleckiego, który przyczynił się do jej poznania i opisania. Najwyższemu szczytowi Alp Australijskich nadawszy miano Góra Kościuszki, Strzelecki, jak pisze Wiśniowski, „unieśmiertelniał siebie”, ale – jak dowodzi to opowiadanie – zostawił też w australijskim „krajobrazie” polski ślad dla pokoleń swoich rodaków<sup>4</sup>.

Pustkowia i bezdroża Wiktorii mają jeszcze jedną niezwykłą właściwość – na narratora opowiadania wpływają w sposób dobroczynny, przyczyniają się do odzyskania przez niego sił witalnych, energii i radości życia. Zapuszczając się w głąb Gippslandu, narrator nazywa siebie „bankrutem otuchą, zdrowiem i kieszenią” (s. 137). Dalej wyjaśnia przyczynę takiego stanu:

Długie niepowodzenie w kopalniach bliższych zwrotnika zrujnowało mnie, febra spiekłych okolic wycieńczyła, samotność oduczyla mowy ludzkiej, rozpacz znękała.

*Pani Jeziora, s. 137*

---

<sup>4</sup> Warto może przypomnieć, że o Ziemi Gippsa, jak sam ją nazwał, wypowiadał się Strzelecki z entuzjazmem, pozytywnie oceniając panujące tam warunki przyrodnicze i perspektywy dla przyszłych osadników. P.E. STRZELECKI: *Raport o odkryciu Ziemi Gippsa*. W: IDEM: *Pisma wybrane*. Oprac. W. ŚLABCZYŃSKI. Warszawa 1960, s. 36–38.

Wymienione tu zostały w zasadzie wszystkie elementy czyniące często nieznośnym los poszukiwaczy złota w australijskich kopalniach w XIX wieku: brak jakiegokolwiek pewności natrafienia na zasobne złoża, długotrwałe bezowocne poszukiwania, trudne warunki klimatyczne i bytowe, zdanie na własne siły, często doskwierająca samotność. Podróż w głąb Gippslandu nie tylko zdaje się niwelować wszystkie negatywne skutki dotychczasowych doświadczeń, lecz także wprowadza inny wariant australijskiej legendy:

ruszyłem w głąb Gippslandu – mego Gippslandu – alpejskiego, lesistego, pełnego rzek i jezior, ryb, kangurów i dzikich wołów, roślin z jadalnymi korzeniami i owocami, złota i wody do płukania go, gdzie każdy mógł wydrzeć naturze środki utrzymania, jeżeli miał ręce i zmysły.

*Pani Jeziora, s. 138*

Australia jest w tym opisie krajem wszelkich możliwości, jej nieprzebrane bogactwa naturalne stanowią obietnicę dostatniej przyszłości dla każdego, kto ma odwagę wziąć swój los we własne ręce. Bycie zdanym wyłącznie na siebie nie wiąże się tym razem z poczuciem osamotnienia i braku oparcia, przeciwnie, staje się podstawą optymistycznego uświadomienia sobie własnych możliwości<sup>5</sup>. Dzięki temu narrator opowiadania może powiedzieć, że staje się „zdrowszy, weselszy, pewniejszy siebie z każdą minutą” (s. 138). Identyfikuje się jednocześnie z mieszkańcami tej ziemi. Wspominałam już wcześniej o przywiązaniu, jakim darzy on ów kraj, o braku poczucia obcości czy niezrozumienia tego miejsca na ziemi. O tym, jak bardzo bliskie są opowiadającemu ideały ludzi tu żyjących, świadczy fakt, że dwukrotnie w dalszej części tekstu określa siebie mianem Australijczyka – za każdym razem identyfi-

---

<sup>5</sup> Jest to zgodne ze sposobem, w jaki Australijczycy często postrzegają własną historię. Jak zauważa Adam Jamrozik, w podzielanym dość powszechnie odczuciu, pozytywnymi bohaterami historii Australii są pionierzy postrzegani właśnie jako ci, którzy zmagają się z groźną i niebezpieczną przyrodą, próbując ją sobie podporządkować. Por. A. JAMROZIK: *The chains of colonial inheritance. Searching for identity in a subservient nation*. Sydney 2004, s. 9.

kując się właśnie z wartościami, które dałoby się może trochę nie-  
zgrabnie opisać jako „szorstkość, twardość, siła”. Pierwsze z tych  
wyznań brzmi następująco:

Zabiwszy żmiję z satysfakcją Australczyka (każdy z nas byłby  
zmarnował dzień cały i zapłacił w dodatku za przyjemność  
polowania na węża), przenieśliśmy swoją główną kwaterę do  
rudery.

*Pani Jeziora, s. 143*

Nieco ostrożniejsze sformułowanie o „satysfakcji Australczyka”,  
które można by zrozumieć jedynie jako rodzaj porównania do satys-  
fakcji odczuwanej przez mieszkańców kontynentu w podobnej sy-  
tuacji, uzupełnione zostaje jednoznacznym utożsamieniem się z tą  
grupą („każdy z nas” postąpiłby tak samo). Wyznanie to ukazuje  
człowieka świetnie przystosowanego do życia w Australii, znającego  
zagrożenia tego ładu i nieodczuwającego wobec nich lęku, człowie-  
ka, dla którego polowanie na uciążliwe, ale i niebezpieczne gady  
jest rodzajem „ekstremalnego sportu”<sup>6</sup>. Nieco dalej, opowiadając  
o swoim spotkaniu z innym wędrowcem, narrator zauważa:

Byłem jednak zbyt dobrym Australczykiem, bym go badał  
o narodowość, jak dawno opuścił Europę, dlaczego tu przy-  
był itp. Umiałem pilnować swoich spraw i nie wtykać nosa  
w nie swoje.

*Pani Jeziora, s. 145*

Tym, co pozwala narratorowi zidentyfikować się jako Australij-  
czyk, jest pewien zespół cech uważanych za pozytywne. Należą do  
nich szacunek dla cudzej odrębności, brak nadmiernej wylewności

---

<sup>6</sup> W swoich wspomnieniach odnotował Wiśniowski, jak wielką odrazę odczu-  
wał z początku on sam (jak i każdy nowo przybyły do Australii Europejczyk) na  
widok powszechnie tam występujących węży. Dopiero po dłuższym pobycie nie  
tylko zdołał oswoić się z tą specyfiką, lecz także z upodobaniem zaczął polować  
na tych przedstawicieli miejscowej fauny. Por. S. WIŚNIEWSKI: *Dziesięć lat w Austra-  
lii...*, T. 1, s. 61–62.



i ciekawości, pewna szorstkość w obejściu, niewykluczająca jednak owocnej współpracy, a nawet wzajemnej sympatii. W opisaney w dalszej części opowiadania historii wzajemnych relacji narratora i spotkanego przez niego wędrowca, Waleriana, dałoby się odnaleźć ślady tego, co w Australii nosi dumną nazwę *mateship* – męskiego braterstwa<sup>7</sup>.

Nietrudno zauważyć, że australijska legenda w obu swoich aspektach – pozytywnym i negatywnym – jest legendą zdecydowanie „męską”. Zarówno niszczący, stawiający wysokie wymagania fizyczne i psychiczne, nieprzyjazny świat kopalń oraz stwarzający liczne zagrożenia busz, jak i optymistycznie postrzegana ziemia, którą trzeba własnym wysiłkiem uczynić sobie poddaną, wydają się światem zaprojektowanym dla mężczyzn, którzy z tego typu wyzwaniami będą w stanie się zmierzyć (w pierwszym wypadku) i z takich doświadczeń czerpać satysfakcję (w drugim). Historia białego osadnictwa w Australii zdaje się do pewnego stopnia uzasadniać taki wniosek. Wśród skazańców wywożonych do australijskiej kolonii karnej dominowali mężczyźni. Jak podaje Clark: „W 1828 roku w Nowej Południowej Walii na 36598 mieszkańców było 16442 skazańców i tylko 1544 skazane kobiety. W Ziemi Van Diemena na 20265 mieszkańców było 16442 skazanych i zaledwie 725 skazanych kobiet. Wszystkie społeczeństwa kolonialne w swej wczesnej historii wytworzyły coś szczególnego w stosunkach między płciami”<sup>8</sup>.

W czasie gorączki złota obserwowano analogiczną tendencję: na złotonośne pola udawali się właściwie wyłącznie mężczyźni, bo profesja kopacza nie była odpowiednia dla kobiet. Nie oznacza to, że przedstawicielki płci pięknej nie mogły się okazać przydatne w osadach górniczych, wszakże jedynie w charakterze „personelu pomocniczego”. Skromna i pracowita żona, towarzysząca mężowi w jego pogoni za marzeniami o bogactwie, sama była „na wagę

---

<sup>7</sup> *Mateship* stanowi istotny element australijskiej tożsamości, bardzo ważny w charakterystyce postawy między innymi buszmena. Por. R. WHITE: *Inventing Australia. Images and identity 1688–1980*. Sydney–Boston–London 1981, s. 154–155.

<sup>8</sup> M. CLARK: *Historia Australii*. Przeł. K. BAŻYŃSKA-CHOJNACKA, P. CHOJNACKI. Warszawa–Gdańsk 2004, s. 62.

złota". Przejmując wszystkie obowiązki związane z prowadzeniem „gospodarstwa”, nie tylko odciążała męża, umożliwiając mu wydajniejszą pracę; jeśli zajmowała się gotowaniem i aprowizacją dla całej grupy górników, z którymi ów się stowarzyszył, wówczas szanse na to, że grupa ta wypracuje większy zysk, rosły. W początkowym okresie istnienia osad górniczych ich populacja była w przeważającej części rodzaju męskiego, co poświadcza na przykład Seweryn Korzeliński w swoich wspomnieniach. W *Opisie podróży...* odnotował on nieliczne przykłady obecności kobiet na złotonośnych polach Wiktorii. Żony pracowite i gospodarne, stanowiące skarb górnika, nie są jednak wzmiankowane na kartach wspomnień często. Jeśli autor spotyka w kopalniach kobiety, to zazwyczaj są one kłótlive, leniwe i nie stronią od kieliszka. Wszystko to uzasadnia tylko smutną diagnozę Korzelińskiego:

O! Już to w Australii śliczne towarzystwo, tak co do kobiet, jak i mężczyzn; warci są jedni drugich<sup>9</sup>.

Znaleźli się oczywiście tacy, którzy w owej „kulturze samotnych mężczyzn” widzieli źródło zagrożeń i moralnego upadku. Niestrudzoną orędowniczką instytucji małżeństwa, dostrzegającą także w trudnych realiach osad górniczych miejsce dla dobrych i skromnych żon, które wywrzeć miały lepszy wpływ na moralność kopaczy niż kaznodzieja czy nauczyciel, była Caroline Chisholm<sup>10</sup>. Aby zrealizować swój cel, czyli powiększyć liczbę kobiet przebywających w koloniach i spopularyzować zawieranie tam małżeństw, dama ta zorganizowała cały system poszukiwania „ochotniczek” w Anglii, przewożenia ich do Australii i wysyłania do kopalń w celach matrymonialnych, w czym pośredniczył też zarząd kolonii. O procederze tym, nie bez ironii, wspomina Korzeliński:

posyła je setkami do kopalń, oszczędzając górnikom czasu i kosztów udawania się po żony do stołecznego miasta. [...]

<sup>9</sup> S. KORZELIŃSKI: *Opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 1856*. Oprac. A. MAUERSBERGER. T. 1–2. Warszawa 1954 – T. 2, s. 84.

<sup>10</sup> G. HOCKING: *Gold*. Rowville 2006, s. 73.

W miasteczku Castel Maine każdemu, kto by chciał wziąć kobietę, a okazał, że posiada dziesięć funtów, mają dawać posag składający się z drugich dziesięciu funtów, namiotu i dwóch blanketów. Z posagiem takim można by pracować. Wszak niejeden z nas bez grosza kopać zaczął, ale któż tam pójdzie po taką żonę posażną? Pijak, deportowany lub gorszy od obudwóch – buszrendżer<sup>11</sup>.

Motywacje skłaniające niektórych poszukiwaczy złota do wstępowania w takie związki małżeńskie są jedynie finansowe, trudno się zatem dziwić, że – jak relacjonuje dalej Korzeliński – kojarzone w ten sposób pary rozpadają się szybko i nierzadko w dramatycznych okolicznościach (kobiety porzucane są przez – niedoszłych czasem – mężów, kiedy tylko posag zostanie roztrwoniony). I choć „ochotniczki” te nie zawsze są niewinnymi ofiarami zdemoralizowanych górników, gdyż wśród rekrutowanych przez Caroline Chisholm pań sporą grupę stanowiły osoby z marginesu, które już w rodzimej Anglii nie przestrzegały nader bacznie nakazów moralnych, to jednak zdarzały się także ubogie i uczciwe dziewczęta najzwyczajniej oszukane roztaczanymi przed nimi mirażami dostatniego i szczęśliwego życia w Australii<sup>12</sup>.

Mimo całej oczywistości faktu, że osady górnicze nie były najbardziej dogodnym miejscem dla przedstawicielek płci pięknej, szczególnie zaś tych najwrażliwszych i najdelikatniejszych z nich, kopaczom poszukującym szczęścia na złotonośnych polach Wiktorii towarzyszyło marzenie o takim kobiecym ideale (i to w wersji nie „żona dobra i skromna”, ale „bogini”). Uległ mu Seweryn Korzeliński, mimo świetnej orientacji w realiach kopalń i całego zapasu ironii, którym dysponował. A jednak o pierwszym spotkaniu

---

<sup>11</sup> S. KORZELIŃSKI: *Opis podróży...*, T. 2, s. 83.

<sup>12</sup> Wiśniowski w swoich wspomnieniach odnotował, że w czasach, kiedy on przebywał w Australii, a więc w latach sześćdziesiątych XIX wieku, obyczaj wysyłania z Europy córek, aby postarały się tam o mężów, był bardzo rozpowszechniony. Równie częste były jednak nadal przypadki poszukiwania w tym odległym kraju szczęścia przez kobiety „lekkich obyczajów”. Por. S. WIŚNIEWSKI: *Dziesięć lat w Australii...*, T. 1, s. 170–172.

z panią Gayerową, Polką z pochodzenia, która już wkrótce potwierdzić miała zasadność jak najgorszego mniemania o przedstawicielkach płci pięknej towarzyszących górnikom, pisze autor australijskich wspomnień tak:

Widząc damę, oczywiście, jako grzeczny człowiek, zerwałem się na nogi, spodziewając się, że przecie to musi być osoba posiadająca cokolwiek duszy, bo jakżeby kobieta z natury bojaźliwa i do rodzinnego kraju przywiązana, zdecydować się mogła przebywać morza, jeżeliby ją nie popędziła ciekawość nabycia jakichś wiadomości, egzaltacja lub przywiązanie mocne do męża. [...] ciekawość moja bardziej jeszcze zaostrzoną była poznać ptaszka, który w noc ciemną blaskiem ognia przyciągniony, leciał... Może skrzydła przypalił sobie albo szukał czułego jakiego serca, by wylać uczucia i troski swoje. Nic z tego wszystkiego; ptaszek przyniósł rynkę z łojem, z którego wyrabiał kiepskie żółte świece i sprzedawał je dla prywatnej swojej satysfakcji. [...] wstawszy chciałem przywitać ją komplementem: – Bardzo mi przyjemnie... – nie dała mi skończyć frazesu [...]: – I mnie przyjemnie, ale nie bardzo, bobym sa wolała spać, a tu mi się łój psuje [...]. Co pan wstaje, nich pan sa leży i ja siędę, nim się łój roztopi<sup>13</sup>.

Rozczarowująca powierzchowność i zachowanie pani Gayerowej kompromitują nie tylko tę konkretną przedstawicielkę płci pięknej, która okazała się pozbawiona jakichkolwiek walorów płci tej tradycyjnie przypisywanych. Uderzają także w samo marzenie o ideale kobiety – pięknej, szlachetnej i wyjątkowej, dla której – wiedział o tym przecież Korzeliński aż nadto dobrze – miejsca w australijskich kopalniach złota w tym czasie nie było. Podsumowuje zatem autor *Opisu...* to nocne spotkanie następująco:

Rozgniewany, nie wiedzieć dlaczego, jak gdyby koniecznie w Australii gdzieś z tumanów czarnej nocy wystąpić miała

---

<sup>13</sup> S. KORZELIŃSKI: *Opis podróży...*, T. 1, s. 192.

nimfa jaka z lutnią! Te pokazują się tylko wybranym i poetom. A cóż dla profanów? BRUDNA BABA. Nie można się jednak obronić od uczucia niechęci, jeżeli kto w oczekiwaniu zawiedzionym zostanie<sup>14</sup>.

Przyznając rację owej „brudnej babie”, która więcej zapewne osiągnąć mogła na złotonośnych polach Wiktorii niż nimfa z lutnią, nie wyrzeka się jednak Korzeliński swojego marzenia o ideale kobiety, wcieleniu cnót wszelakich.

Odpowiedzią na marzenie Korzelińskiego o owej „nimfie z lutnią” wyłaniającej się z mroków australijskiej nocy jest tytułowa Pani Jeziora z opowiadania Sygurda Wiśniowskiego. Jej zjawienie się na wyspie, w założonej przez zbiegłych skazańców osadzie o wiele mówiącej nazwie Desperacja, Wiśniowski opisuje w następujący sposób:

Aż tu wyszła z ciemności kobieta, jakby spadła z nieba lub ziemia ją wydała... a jaka kobieta!

*Pani Jeziora*, s. 150

O ile jej nieziemska uroda była zapewne tworem spragnionej kobiecej obecności wyobraźni mieszkańców osady, o tyle „anielski” charakter bohaterki potwierdziły późniejsze wydarzenia. Kreacja Pani Jeziora nawiązuje do właściwie wszystkich opisanych wcześniej sposobów myślenia o kobiecej obecności na nieprzyjaznych i nie do końca oswojonych terenach Australii. Kobieta ta – niezwykle prawa i pobożna – jest niejako wcieleniem przekonania o tym, że dobra i uczciwa przedstawicielka płci pięknej może wywrzeć na zatwardziałych grzeszników bardziej zbawienny wpływ niż najlepszy nawet kaznodzieja. Jej pozytywne oddziaływanie na męską społeczność Desperacji jest jakby powtórzeniem argumentów tych orędowników małżeństw kopaczy, którzy w czasach intensywnych poszukiwań złotego kruszcu głosili przekonanie o zbawiennym wpływie takich więzi. Wprawdzie opowiadana tu historia rozegrać

---

<sup>14</sup> Ibidem, s. 193.

się miała jeszcze przed wybuchem gorączki złota w Australii, ale moment relacjonowania wydarzeń (usytuowany w roku 1867), a nade wszystko moment powstania utworu<sup>15</sup> nie wykluczają takiego kontekstu.

Na mieszkańców osady bohaterka wywiera pozytywny wpływ. Dzięki niej (a raczej dla niej) rezygnują oni z zachowań, które mogłyby ją urazić lub których ona nie pochwala, budują kaplicę, uczęszczają do niej, a pieczę nad nią sprawuje ten spośród nich, który również za sprawą Pani Jeziora przypominał sobie, że był niegdyś księdzem. Te zmiany są możliwe dlatego, że akurat bohaterka opowiadania Wiśniowskiego należy do tych naprawdę uczciwych i dobrych przedstawicielek płci pięknej. Do Australii trafiła wprawdzie jako skazana, jednak z tego, czego dowiadujemy się o jej przeszłości, wynika, że nie popełniła zarzucanych jej czynów. Przeciwnie, padła ofiarą fałszywej filantropii możnych.

Na zbiegu typowo australijskich uwarunkowań (zdominowane przez mężczyzn społeczeństwo, surowe warunki życia, byli skazańcy, wśród których są zarówno zepsuci do szpiku kości złoczyńcy, jak i niewinne ofiary cudzej obojętności oraz słabości systemu sprawiedliwości, nieracjonalne marzenie o „nimfie z lutnią” wywołanej się z mroków australijskiej nocy) sytuje Wiśniowski historię w romantycznym, ale i romansowym stylu. Sięga tu bowiem po ważne romantyczne tematy. Historia Desperacji nie jest dowodem na cudowną przemianę gromady byłych skazańców w prawych i szlachetnych przedstawicieli rodzaju ludzkiego. Przeciwnie, autora interesuje opowieść o ludziach, którzy w imię marzenia, ideału skłonni są – przynajmniej do pewnego momentu – postępować wbrew sobie i podporządkowywać się regułom, w które nie wierzą. Nie jest tak, że pod wpływem Pani Jeziora złoczyńcy odkrywają w sobie dobre cechy. Przeciwnie, wkrótce owa pobożność i poczciwość zaczną im ciążyć. Autora opowiadania wydaje się fascynować raczej człowiecza skłonność do podążania za nierealnym, wykreowanym przez siebie marzeniem. Uczucie, jakim mężczyźni z Desperacji obdarzają Panią Jeziora, jest całkowicie bezinteresow-

---

<sup>15</sup> Nowełę drukowano w „Kurierze Warszawskim” w roku 1879.

ne, nie zakłada możliwości nawiązania jakiejś bliższej damsko-męskiej relacji, jego istotę stanowi natomiast wyrzeczenie się obiektu uczuć, dzięki czemu możliwa jest całkowita idealizacja wybranki. Pani Jeziora nie jest bowiem w istocie w odczuciu wielbiących ją mężczyzn realną kobietą, ale konstrukcją utworzoną z ich pragnień i marzeń. Dzieje się to niejako wbrew woli bohaterki i bez jej udziału. W momencie, kiedy ów ideał ujawnia swą kobiecość, kiedy zwyczajnie i po ludzku zakochuje się w jednym z reprezentantów lokalnej społeczności, prowokuje wielkie rozczarowanie wszystkich pozostałych. Przede wszystkim dlatego, że Pani Jeziora wymyka się w tym momencie ich idealizacyjnym i kreacyjnym zabiegom, nie spełnia już pokładanych w niej nadziei, nie może dłużej odzwierciedlać najgłębiej skrywanych męskich pragnień. Wyrzuty kierowane pod adresem Pani Jeziora za to, że okazała się kobietą, a nie świętą, tak podsumuje jeden z jej dotychczasowych wyznawców:

przekonał się, że nie jesteś lepsza od nas, istota jak my, z ciała i krwi, i namiętności, a nie żaden anioł. Teraz tylko gotujemy się do walki, kto podejmie ten obraz cudny, ale nie cudowny, co spadł z wysokości, gdzieśmy go chcieli utrzymać.

*Pani Jeziora, s. 173*

Problem konfliktu pomiędzy marzeniami a rzeczywistością, nieprzystawalności ideału do wymogów codziennej egzystencji, idealizacja obiektu uczuć, przypisywanie mu raczej własnych pragnień niż dostrzeganie jego cech realnych to ważne tematy romantycznej literatury. Tutaj podjęte na nowo, przeniesione w ekstremalne warunki geograficzne i socjologiczne, zyskują nowe, interesujące opracowanie.

W opowiadaniu podjęty zostaje jeszcze jeden ważny romantyczny temat – miłości. Mężczyzna, w którym zakochana jest Pani Jeziora, mimo jej dramatycznego wyznania przełamującego kobiecą dumę i wstyd, odrzuca to uczucie, gdyż jest zakochany w innej. Ani odległość, ani wzruszające i całkowite oddanie nieszczęsnej kobie-



ty, która jest gotowa dla swojego wybranka poświęcić wszystko, nie są w stanie sprawić, żeby on przestał kochać tamtą. Choć Pani Jeziora ofiarowała mężczyźnie szczere uczucie i spokojną, normalną egzystencję, on wołał „się szamotać, upadać, znów porywać, wątpić, rozpaczać, przeklinać!” (*Pani Jeziora*, s. 180). Tak bliska romantykom koncepcja miłości prawdziwej<sup>16</sup> – nawet jeśli okupiona jest ona nieszczęściem – została tutaj jednak podważona. Dalsze losy mężczyzny dowodzą, że ukochana go zdradziła. On sam zaś po latach wrócił w miejsce, gdzie stała niegdyś osada, aby modlić się na grobie Pani Jeziora. Brak w utworze jakiegokolwiek komentarza, oceny postawy bohatera, z opowiedzianej tu historii wynika jednak krytyczna wersja miłosnego, romantycznego mitu. Wielkie uniesienie okazuje się pomyłką. W historii tej można by widzieć kolejną wariację na temat rozdźwięku pomiędzy ideałem a rzeczywistością: mężczyzna dla miłosnego ideału, na który wykreował swoją kochankę, odrzuca proste, szczere i autentyczne uczucie Pani Jeziora. I choć kostium australijski, obsadzenie w głównych rolach byłych skazańców oraz umieszczenie zasadniczej części akcji w osadzie Desperacja mocno zacierają te związki, to jednak uważna lektura ujawnia w opowiedzianej tu historii wątek dla romantyzmu ważny. Na dodatek krytyczna ocena tego aspektu miłości, który każe zamykać oczy na świat i patrzeć wyłącznie w stworzony na miarę własnych pragnień i potrzeb obraz, obecna była także w literaturze tamtej epoki. Motyw taki pojawia się w *Alastorze* Shelleya, gdzie ukazująca się młodzieńcowi w jego snach tajemnicza piękność, będąca w istocie jedynie projekcją jego marzeń, nie pozwala mu dostrzec uczucia, jakim darzy go prosta arabska dziewczyna. Podobnie w *Nie-Boskiej komedii*: Mąż porzuca Żonę, podążając za ideałem, który istnieje wyłącznie w jego rozpo-

---

<sup>16</sup> Nie można, rzecz jasna, mówić w przypadku tego opowiadania o pełnej realizacji koncepcji miłości romantycznej, gdyż koncepcja ta jest znacznie bardziej złożona, obejmuje takie elementy, jak bliźniaczość dusz, przeznaczenie ich sobie przez Boga przed narodzinami, umożliwienie poznania siebie, drugiego człowieka i świata. Por. M. PIWIŃSKA: *Posłowie*. W: EADEM: *Miłość romantyczna*. Kraków–Wrocław 1984; EADEM: *Złe wychowanie: fragmenty romantycznej biografii*. Warszawa 1981, s. 292–312.



etyzowanej wyobraźni. Także w *Dziadów części I* odnaleźć możemy ślady podobnego myślenia – w historii zakłętego młodzieńca, który woli zamienić się w kamień niż odwrócić wzrok od zwierciadła i powrócić do świata żywych. To wszystko są oczywiście wielkie teksty romantyczne, a problem niebezpieczeństw tkwiących w takim rozumieniu miłości, która każe kreować wizerunek kochanki zgodnie z własnymi najgłębszymi pragnieniami, bez liczenia się z wymogami rzeczywistości, przybiera w tych utworach kształt motywu „kuszenia samym sobą”. Wiśniowski ten wielki temat minioniej epoki tłumaczy na język konkretów, sytuuje w miejscu, gdzie – wbrew pozorom – taki konflikt marzeń i rzeczywistości istnieje – wpisuje w historię o zdradzie i odrzuceniu. A jednak w sensie antropologicznym nie zubaża wcale romantycznego wątku. Dramat człowieka, który pragnie więcej, potrafi poświęcić wszystko w pogoni za ideałem i ponosi klęskę, jest tak samo poruszający. A wobec braku komentarza czy jakiegokolwiek próby ujednoznaczniającego podsumowania, zakończenie pozostaje romantycznie otwarte, a pytanie o to, czy samo dążenie do takiego celu wystarczy, aby uzasadnić ludzkie istnienie, nie znajduje odpowiedzi.

Zupełnie inny wizerunek kobiety odmalowany został w opowiadaniu *Światelka w ciemnym kraju*. Choć Gracja Busel również pojawia się w utworze wśród uwag konstatających rzadką obecność przedstawicielek płci pięknej na kontynencie australijskim, z dala od miast i wszelkich wygod, to jednak w niczym nie przypomina eterycznego tworu w typie Pani Jeziora. Przeciwnie, Gracja jest energiczna, praktyczna, odważna, gotowa stawić czoła wszelkim przeciwnościom losu. Nie bez powodu Wiśniowski przedstawia ją czytelnikowi w momencie szczególnym, kiedy mieszkańcy podupadającej osady górniczej na brzegu zatoki bezskutecznie próbują ratować pasażerów i załogę tonącego okrętu. Jak pisze autor:

W tej chwili zjawiała się na skale kobieta na koniu, którego dosiadała nie na kształt amazonki, lecz po męsku, jak nieraz czynią wychowanki puszczy australijskich. Nawet zajęcie się losem tonącej załogi nie mogło powstrzymać górników od przeciągłych spojrzeń na tę istotę. Nie dziw, bo oprócz niej

i Papuanek nie zdarzyło się im często widzieć kobiety. Amazonka, aczkolwiek ubrana z niedbałością cechującą mieszkańców okolicy, z włosiem wilgotnym od deszczu i rozwianym, cerą ogorzałą i powierzchownością wpółdziką, zasługiwała jeszcze na ciekawe a gorętsze spojrzenia: była młodą, żwawą, nieszpętną. Niebawem kazała podziwiać w sobie cenniejsze jeszcze przymioty.

*Światelka w ciemnym kraju, s. 189*

Już ten pierwszy opis zdradza zasadę, której podporządkowana będzie kreacja wizerunku tej postaci, mianowicie pokazywanie tych cech Gracji, które oddalają ją od tradycyjnie (czyli po europejsku) pojmowanego kobiecego wzorca, i eksponowanie tych, które zbliżają bohaterkę do wzorca męskiego. Panna Busel nie jeździ zatem konno w sposób typowy dla Europejek w tym czasie, a dosiada swego wierzchowca po męsku, nie dba przesadnie o ubiór, a nawet zachowuje w tym względzie zupełnie „niekobiecą” niedbałość. W dalszej części opowiadania wyjdzie na jaw, że także przymioty charakteru Gracji: odwaga i pomysłowość w ratowaniu życia rozbitków, nie tylko są takiego rodzaju, że nie powstydziliby się ich mężczyźni, lecz wręcz przewyższają zdolności męskiej populacji górniczej osady w tym względzie. Choć kopacze nie należą ani do ludzi strachliwych, ani słabych, żaden z nich nie wpadł na pomysł i nie poważał się na to, aby na końskim grzbiecie podpłynąć do tonących.

Gracja Busel, odznaczona za swój niezwykle czyn przez władze kolonii, to po prostu dziewczica-bohater. Przywołuję Mickiewiczowską formułę z wiersza o Emilii Plater nie bez powodu. Kobiety-bohaterki (bo trzeba o nich mówić w kontekście twórczości Mickiewicza w liczbie mnogiej) obrazowały właśnie przekroczenie funkcji i miejsca przewidzianego dla kobiety, wyraźnie zajmowały terytorium zastrzeżone dla mężczyzn. W utworach przyjmowało to często formę przebrania (kobieta ukrywała się w męskim stroju, maskowała swą tożsamość), w istocie jednak wszystkie te zabiegi prezentują przemianę mentalną i kulturową, która dokonała się w wieku XIX w sposobie myślenia „o powinnościach kobiet”. Dyskusja o naturalnych predyspozycjach kobiet, ich moralności i miej-

scu, jakie powinny zajmować w życiu społecznym, podjęta z wielkim wigorem przez oświeceniowych myślicieli, zapoczątkowała długi i powolny proces przemian w postrzeganiu praw i obowiązków przedstawicielek płci pięknej nie tylko w sferze prywatnej, lecz także w szeroko rozumianym życiu publicznym<sup>17</sup>. I choć idea „obywatelstwa” kobiet była tą, która budziła najtrwalszy chyba opór opinii publicznej w większości europejskich krajów, również ona od końca wieku XVIII drażyła europejską kulturę<sup>18</sup>. W Polsce myślenie o kobietach w kategorii współobywatelek, które cierpią na równi z mężczyznami z powodu utraty niepodległości ojczyzny, ale też mają obowiązek przyczynić się do jej odzyskania, pojawiło się stosunkowo wcześnie. Już w odezwach Kościuszki czy Molskiego kobiety określane są mianem współobywatelek, a tradycyjne zajęcia, przewidziane dla kobiet w czasach wojen czy rewolucji, jak opieka nad rannymi, szycie mundurów, robienie bandaży dla wojska, pokazane są tutaj jako niezwyklej wagi obowiązki obywatelskie, od których wypełnienia zależy powodzenie wolnościowej misji<sup>19</sup>. Tworząc wizerunek dziewiętnastowiecznej bohaterki, Emilii Plater, i wykorzystując do tego celu grę męskiego oraz kobiecego wzorca, utrwala Mickiewicz proces przemian kulturowych, które rzeczywiście miały w tym czasie miejsce. Podobnie rozumieć musimy historię Grażyny. Choć opisane wydarzenia rozgrywają się w średniowieczu, to jednak dylemat tytułowej bohaterki utworu nie jest średniowieczny. Wahanie pomiędzy obowiązkiem wierności wobec męża i obowiązkiem posłuszeństwa nakazowi patriotycznemu w kulturze średniowiecznej byłoby oczywiście niemożliwe, gdyż nakaz patriotyczny po prostu kobiety nie dotyczył<sup>20</sup>. Dylemat Grażyny jest zatem w takim samym stopniu odzwiercied-

---

<sup>17</sup> A.R. KLEINBAUM: *Women in the age of light*. In: *Becoming visible: Women in European history*. Eds. R. BRIDENTHAL, C. KNOOZ. Boston 1977.

<sup>18</sup> R. GRAHAM: *Loaves and liberty: Women in the French revolution*. In: *Becoming visible...*

<sup>19</sup> S. WALCZEWSKA: *Damy, rycerze, feministki. Kobiety dyskurs emancypacyjny w Polsce*. Kraków 1999, s. 41–45.

<sup>20</sup> M. JANION: *Kobieta – Rycerz*. W: EADEM: *Kobiety i duch inności*. Warszawa 1996, s. 83–89.

leniem współczesnych Mickiewiczowi przemian w rozumieniu roli i obowiązków kobiety, jak kreacja Emilii Plater.

W charakterystyce Gracji Busel sięgnął Wiśniowski po znak kobiety-bohatera, a opowiadanie swoje zbudował, wykorzystując ów chwyt gry kobiecym i męskim wzorem, z tą wszakże istotną różnicą, że konstrukcja ta jest tutaj całkowicie pozbawiona swoich pierwotnych „patriotycznych” sensów. Ich miejsce zajmuje bowiem kontekst australijski, w którym takie ukształtowanie głównej bohaterki ma inną motywację i znaczenie. Począwszy jednak od pierwszego opisu, autor wyraźnie kreuje wizerunek Gracji, podkreślając te cechy, które nie tyle nie mieszczą się w modelu „sentymentalnej panienki” (jak pisze Wiśniowski: „Gracja nie była sentymentalną panienką, lecz pracowitą, praktyczną córką puszczy i twardego społeczeństwa” – *Światelka w ciemnym kraju*, s. 202), ile w Australii uchodziły za najwyższe przymioty mężczyzny. Panna Busel zatem świetnie jeździ konno i znakomicie zna okolicę, nawet jej niebezpieczne czy trudno dostępne miejsca, jest pracowita, a zarazem ma wielki szacunek dla pracy innych, szczególnie zaś dla tego, kto:

Walczył o byt niezawisły bronią pioniera – siekierą.

*Światelka w ciemnym kraju*, s. 201

Jest to bohaterka odważna, uczciwa i praktyczna – także w miłości.

W scenie spotkania z mężczyzną, którego Gracja darzy odwzajemnionym uczuciem, owo przełamanie kobiecego wzorca zachowania jest szczególnie widoczne. Już sam fakt, że panna Busel – wbrew obyczajom i konwencji – sama odwiedza młodzieńca w jego domu, należy uznać za wyjątkowy. Mając do przekazania smutną wieść o swoim wyjeździe, a co za tym idzie, o rozstaniu, być może na zawsze, Gracja próbuje zmotywować mężczyznę nie tylko do jednoznacznych deklaracji, ale wręcz do działania. Z jednej strony młodzieniec taktowny, powściągliwy, posługujący się ogólnymi deklaracjami i starający się nie nadwyreżyc zanadto konwencjonalnej ramy obowiązującej w kontaktach damsko-męskich, z drugiej strony zdeterminowana, energiczna panna Busel. Wiśniowski pisze:

O, gdyby była mężczyzną, mogłaby przemówić pierwsza, zmusić go do wyznania! Postanowiła przyspieszyć rozwiązanie.

*Światelka w ciemnym kraju, s. 206*

Gracja ma świadomość ograniczeń narzucanych kobiecie, ale jednak – równie świadomie – je przekracza. W tej scenie to ona jest stroną aktywną, inicjującą wyznania, wymuszającą decyzje, łamiącą konwenanse i rozczarowaną tym, że jej wybranek zdolny jest tylko do – dość nieśmiałego zresztą – „kocham” i jednego pocałunku, skoro:

W kraju tak szerokim, w społeczeństwie nie dbającym o pozory i zwyczaje, gdzie młodej, zdrowej parze przyszloby łatwo zniknąć, pobrać się, zdobyć byt – mogli uciec, a ucieczka tego rodzaju nikogo by nie zgorszyła.

*Światelka w ciemnym kraju, s. 206–207*

Gracja jest gotowa uciec z ukochanym, porzucić rodzinę i zacząć życie gdzieś w Australii, zarabiać na byt ciężką fizyczną pracą. Inicjując – nawet jedynie w sferze planów – taką ucieczkę, panna Busel wyraźnie przejmuje męską rolę, podczas kiedy wybranek kobiety zadowala się sentymentalnymi wyznaniem i ogólnymi obietnicami bez większych szans na spełnienie.

Warto zauważyć, że wszystkie zalety Gracji Busel składają się na modelowy wizerunek białego Australijczyka z tego okresu: męstwo, siła, odporność na warunki klimatyczne, zdolność do ciężkiej pracy, poleganie na sobie – to cechy, w które musieli być wyposażeni zarówno pionierzy wydzierający tej ziemi kolejne jej tajemnice, jak i buszmeni czy poszukiwacze złota<sup>21</sup>. Kreacja Gracji dowo-

---

<sup>21</sup> Warto dodać, że odporność, gibkość i tężyzna fizyczna zostały w opowiadaniu wprost określone jako charakterystyczne cechy, którymi poszczycić się mogła australijska młodzież. Widzieć w tym można zaprzeczenie pokutujących w XIX wieku w społeczeństwie australijskim obaw o to, czy „brytyjska rasa” nie uległa w trudnym klimacie antypodów swoistej degeneracji i fizycznemu osłabieniu (por. R. WHITE: *Inventing Australia...*, s. 66–72). Zdaniem Richarda White’a, taki sposób myślenia sprawiał na przykład, że mecze krykieta pomiędzy australijskimi i an-

dzi, że jest w Australii miejsce dla kobiety, która nie może być wprawdzie „nimfą z lutnią”, ale też nie musi być „brudną babą”. Do kraju tego znakomicie pasuje kobieta realizująca męski wzorzec, odznaczająca się najważniejszymi męskimi zaletami, w chwilach szczególnych zdolna do skorzystania z tych zalet w sposób lepszy, niż czyni to niejeden mężczyzna (zawstydziła wszak panna Busel górników z osady w zatoce, wykazując się pomysłowością, opanowaniem, odwagą podczas ratowania rozbitków; zawstydzić wybranka tej kobiety powinna jej determinacja, gotowość do złamania wszystkich zasad i podjęcia każdego ryzyka w celu zapewnienia sobie szczęśliwej przyszłości). Wiśniowski przyznaje, że takie przedstawicielki płci pięknej spotkać można było na kontynencie australijskim rzadko, utrwała jednak w swoim opowiadaniu moment rodzenia się nowego ideału kobiety; wzorzec już nie odzwierciedlał przywiezionych z Europy marzeń o idealnej, poetycznej, delikatnej i wrażliwej „nimfie z lutnią”, ale był zaadaptowany do surowych realiów życia w tym kraju, podkreślano konieczność wykształcenia w kobiecie cech, które wcześniej pozwoliły białym Australijczykom płci męskiej na podbój tego kontynentu.

W jednym tylko kreacja Gracji Busel nie różni się od tradycyjnego ujmowania kobiet, szczególnie bohaterek miłosnych historii, w literaturze – Gracja jest, oczywiście, piękna. Prezentując jej portret, Wiśniowski dba jednak o to, aby nie idealizować postaci:

---

gielskimi zespołami od roku 1874 traktowane były jako rodzaj testu, w którym zwycięstwo drużyn z antypodów miało stanowić dowód, że obawy o osłabienie i degenerację „angielskiej rasy” były bezpodstawne (ibidem, s. 72). Znaczenie takich sukcesów mogło być interpretowane również jako dowód na to, że Australijczycy w niczym nie ustępują Anglikom i nie mogą być traktowani z lekceważeniem jako potomkowie dawnych skazańców zasiedlający odległe rubieże Imperium (w takich kategoriach interpretuje krykietową wiktoryę Australijczyków z roku 1882 Agata MAĆKÓW: *The ashes: how cricket strengthened Australian identity*. In: *Australia. Identity, memory and destiny*. Eds. S. NICIEJA, R.W. WOLNY. Opole 2008, s. 79). Obawy o kondycję białych mieszkańców antypodów odnotował również Wiśniowski w swoich wspomnieniach: „Pierwsze pokolenie Australijczyków z rodziców europejskich odznacza się wzrostem i regularnymi rysami. Lecz dzieci ich wątleją i wracają do mierności europejskiej” (S. WIŚNIEWSKI: *Dziesięć lat w Australii...*, T. 1, s. 193).

Gracja była milutką z tym uśmiechem. Prawda, że jej twarz szpeciły drobne piegi; pochodziły one tylko z narażania się na piekielny klimat, bo jej pełna szyja zaświeciła rozkoszną białością, gdy szal z niej opadł. Zresztą była Gracja niskiego wzrostu; jej ręce i nogi moglibyśmy krytykować, ale oko zatrzymywało się raczej na rozwiniętej kształtnie nadobnej postaci, której nie psuła skromna, lekka sukienka.

*Światelka w ciemnym kraju*, s. 202–203

Ideał, którego warunków panna Busel nie spełnia, jest jeszcze ideałem europejskim (oczekiwanie białej cery w australijskim buszu nie mogło być tworem miejscowych wyobrażeń), ale mimo tych uchybień bohaterka sprawia przyjemność patrzącemu na nią mężczyźnie, w czym widzieć można jeden z tradycyjnie rozumianych obowiązków kobiety. Zasłużyła ona nawet na komplement, iż „zdałaby się na dobry model, tylko że Australia nie miała artystów i nie potrzebowała modelek” (*Światelka w ciemnym kraju*, s. 203). Sąd ten trzeba zakwestionować, gdyż w drugiej połowie XIX wieku Australia miała już swoich malarzy, choć faktycznie portrety kobiece nie należały do głównego nurtu ich artystycznych zainteresowań. Jak zauważają autorzy wprowadzenia do zbiorów sztuki australijskiej zgromadzonych w Galerii Narodowej w Canberze: „Australijski krajobraz zdominował naszą historię, mitologię i sztukę”<sup>22</sup>. Najbardziej znani australijscy malarze tego okresu – Tom Roberts, Arthur Streeton i Charles Conder – na swoich obrazach uwiecznili przede wszystkim niezwykle pejzaże tego kraju. Nie oznacza to, oczywiście, że nie znajdziemy w twórczości tych artystów portretów przedstawicielek płci pięknej, ale jeśli są takie portrety, to zazwyczaj ukazują kobiety w dość konwencjonalnych ujęciach; na podstawie tych obrazów trudno byłoby wnioskować o ewentualnej niezwykłości modelek. Przykładem może być choćby obraz *Practicing the Minuet (Miss Hilda Spong)*. Gdyby nie wskazówka, kim jest bohaterka tego obrazu, w upozowanej kobiecie wykonującej menuetową figurę trudno byłoby się domyślić ówczes-

<sup>22</sup> *An introduction to the National Gallery of Australia*. Canberra 1992, s. 10.



nej gwiazdy teatralnej, pierwszej australijskiej aktorki, która podbiła londyńskie sceny, fascynując przy okazji swoją lekko skandalizującą biografią. Zdziałał tu zapewne mechanizm podobny do tego, za którego sprawą możemy się czuć rozczarowani, spoglądając na portrety przedstawiające wielkich romantycznych artystów. Z płócien w najlepszym razie patrzą w dal melancholijnie upozowani młodzieńcy (Mickiewicz na Judahu skale), zazwyczaj zaś prezentują się publiczności szacowni obywatele, nierzadko w otoczeniu wzorcowych rodzin. Portretowanie tego, co niezwykle, bywa bowiem ryzykowne. Grozi niezrozumieniem ze strony odbiorców, naznaczeniem portretowanych „na wieki” emocjami, namiętnościami, gestami, które zdarzały się modelom rzadko, w szczególnych okolicznościach i wymykały się jednoznacznym interpretacjom<sup>23</sup>. Być może z analogicznego powodu australijskie portrety kobiece z tego czasu są tak „uładzone”, a przez to mało interesujące.

Uwagę o braku w Australii malarzy i braku zapotrzebowania na modelki dla nich z punktu widzenia historii sztuki należy nazwać chybioną. Gdyby jednak owo „wymykanie się” Gracji Busel obrazowi czy rysunkowi potraktować metaforycznie, to być może dałoby się tu zobaczyć kolejną wariację na temat główny. Nie o brak malarzy czy brak zainteresowania portretami kobiecymi tutaj chodzi, ale o brak odpowiednich konwencji, które pozwoliłyby utrwalić na płótnie (a może też w literaturze) wizerunek tej „praktycznej córki puszczy i twardego społeczeństwa”. To bowiem ani dama, ani dziewczyna o smutnych oczach. Po prostu dziewczyna-bogater, czyli kobieta-pionier. Tym, co wydaje się szczególnie ciekawe w obu omawianych tutaj opowiadaniach Sygurda Wiśniowskiego, jest właśnie próba zastosowania znanych literackich konwencji do opisu kobiet umieszczanych w egzotycznych, australijskich realiach

---

<sup>23</sup> Jak przypomina Alina Kowalczykowa, płótno rzadko i z trudem utrwała momenty, kiedy artyści „nad poziomy wylatują”, ocierając się o szaleństwo. Zresztą te momenty niezwykłego uniesienia, nadludzkiego wyężenia władz psychicznych znacznie lepiej wyglądają w literaturze niż w malarstwie, gdzie zatrzymane na wieczność, tracą charakter krótkich chwil natchnienia i niebezpiecznie zaciera się granica pomiędzy romantycznym szaleństwem a zwykłym pomieszaniem zmysłów. A. KOWALCZYKOWA: *Świadek autoportretu*. Warszawa 2008, s. 77–83.



i konfrontowanych z sytuacjami, których wzorce owe w swym tradycyjnym kształcie nie obejmowały. W efekcie otrzymujemy teksty, w których autor operuje z pozoru dobrze znanymi kategoriami, te jednak – wykorzystane w nowy sposób, zaopatrzone w całkiem inne motywacje – zyskują nowe znaczenia, swoje „pośmiertne”, poromantyczne życie. W nowym świecie.

## Rozdział IV

# Wylądowaliśmy w Australii<sup>1</sup>

Lech Paszkowski podaje, że najprawdopodobniej pierwszym Polakiem, który „postawił nogę” na australijskiej ziemi, był Ksawery Karnicki<sup>2</sup>. Miało to miejsce u schyłku XVIII wieku. Od tamtej pory nasi rodacy regularnie pojawiali się – w różnych ilościach i w różnym charakterze – w odległym kraju pod Krzyżem Południa. Część Polaków przybywała z zamiarem osiedlenia się tu na stałe – powodowana względami natury ekonomicznej lub politycznej. Początki emigracji z Polski do Australii na większą skalę można sytuować w latach 1838–1839, kiedy dociera tam najpierw grupa osadników z Ziemi Lubuskiej i ze Śląska, a później 130 osób z Poznańskiego<sup>3</sup>. Sytuacja ludzi, którzy mniej lub bardziej dobrowolnie decydowali się na porzucenie swojej ojczyzny i dostosowanie się do nowych (z perspektywy polskiej czy europejskiej odbieranych często jako skrajnie odmienne) warunków, była, oczywiście, szczególnie, dlatego właśnie w literackich świadectwach emigrantów polskich w Australii poszukiwać można ciekawych wizerunków „kraju w dole globusa”.

---

<sup>1</sup> W tytule tego rozdziału parafrazuje formułę Egona Erwina Kisch (por. E.E. KISCH: *Wylądowałem w Australii*. Tłum. Z. PETERSOWA. Warszawa 1952).

<sup>2</sup> L. PASZKOWSKI: *Polacy w Australii i Oceanii 1790–1940*. Z przedmową J. ZUB-RZYCKIEGO. Londyn 1962, s. 21.

<sup>3</sup> Ibidem, s. 24.

## Kobieta

Teresa Podemska-Abt wyjechała do Australii w latach osiemdziesiątych XX wieku, w czasie stanu wojennego. Można więc decyzję tę podsumować słowami Seweryna Korzelińskiego: to „wstrząśnienia polityczne” skłoniły poetkę do tak radykalnej życiowej zmiany. W wierszach z tomu *Żywe sny*<sup>4</sup> wśród wielu innych ważnych tematów (takich jak miłość, przemijanie, kobiecość) autorka podejmuje także wątek emigracyjny, niejednokrotnie teksty te stanowią zapis swoistego balansowania na granicy dwóch kultur, tradycji, języków, które to doświadczenie wydaje się w tym kontekście fundamentalne.

Wśród wierszy Teresy Podemskiej-Abt odnaleźć można takie, w których podejmowane są kwestie związane z emigracją w sposób ogólny, podkreśla się uniwersalne problemy towarzyszące wszystkim decydującym się na taki krok. Za przykład może tu posłużyć utwór *Mit emigracyjny* – w baśniowej formie nawiązujący do najbardziej podstawowych doświadczeń emigracyjnych. Zapisane wielkimi literami Bieda, Tęsknota i Rozpacz, Praca, Życzliwość i Przyjaźń, Zawiść, Samotność i Nadzieja nie tylko składają się na katalog najistotniejszych przeżyć, ale stanowią wręcz alegorie stanów emocjonalnych i sytuacji życiowych, które mieszczą się w formule „emigracja”<sup>5</sup>. Wyłaniający się z wiersza stosunek do „emi-

---

<sup>4</sup> T. PODEMSKA-ABT: *Żywe sny*. Kraków 2002. Wszystkie wiersze z tego tomu cytować będę z tego wydania, po cytatach podaję numery stron.

<sup>5</sup> O tym, że są to doświadczenia wspólne wszystkim emigrantom pod Krzyżem Południa, przekonuje lektura utworów poetów pochodzących z innych krajów, którzy zwracają uwagę na podobne kwestie. W wierszu wywodzącego się z Łotwy Janisa SAKUROVSA pt. *Moje doświadczenia emigranta* (*Billabong. Poezja australijska*. Zebrała i przetłumaczyła L. AMBER. Warszawa 2001, s. 167) znajduje się analogiczne wyliczenie stanów emocjonalnych i procesów, którym poddawani byli emigranci (okupowanie, emigrowanie, nominowanie, identyfikowanie, rejestrowanie, szczepienie, badanie, przetransportowanie, zaokrętownie, oczekiwanie, wyokrętownie, zakwaterowanie, przydzielenie, dyskryminowanie, kompensowanie, edukowanie, asymilowanie, naturalizowanie). Dzięki wyróżnieniu graficznemu (litera drukowana) określenia te ulegają swoistemu uogólnieniu, stają się symbolicznym wyrazem kolejnych etapów emigracyjnej egzystencji. Choć w wierszu

gracyjnego mitu” jest dość niejednoznaczny. Wprawdzie nieco przeważają zjawiska negatywne, jednak pojawiają się w finale wiersza Nadzieja, którą osoba mówiąca prosi, by „odprowadziła ją do domu”, wydaje się pozytywnie zabarwiać wymowę utworu. Ów finałowy „dom” nabiera przy tym znamion niejednoznaczności – może tu bowiem chodzić zarówno o nadzieję na powrót do domu, tego pierwotnego, porzuconego na szlaku emigracyjnej tułaczki, jak i o odnalezienie nowego domu, który w tym obcym świecie pozwoli poczuć się znów jak u siebie.

Tego typu dwuznaczność, silne osadzenie w kontekście rodzimym, przy jednoczesnej próbie oswojenia i „zamieszkania” nowej przestrzeni geograficznej oraz kulturowej, zauważalna jest w większości wierszy z tomu *Żywe sny* podejmujących emigracyjny wątek<sup>6</sup>. Teksty te nie mają już tak ogólnego charakteru i bardziej niż na przekazanie uniwersalnych prawd nastawione są na zapis konkretnego doświadczenia, w którym ową oswajaną i stopniowo zagarnianą przestrzeń stanowi właśnie Australia. Wspomniane na wstępie balansowanie pomiędzy dwiema sferami przybiera w tych wierszach różne formy. W *Styczniowym pozdrowieniu* poetka ekspozuje rozdzźwięk pomiędzy przestrzeniami polską i australijską oraz ich nieprzystawalność. Wykorzystując jedną z najbardziej oczywistych różnic pomiędzy Polską a Australią, różnicę dotyczącą pór roku (Boże Narodzenie, które jest w naszym kraju świętem zimowym, wypada w samym środku australijskiego lata)<sup>7</sup>, poetka buduje

---

wyraźnie dochodzi do głosu typowe dla tego autora poczucie humoru i zmysł satyryczny, trudno nie zauważyć, że wyłaniająca się z tego tekstu wizja emigracyjnego losu również nie jest przesadnie radosna.

<sup>6</sup> Warto w tym miejscu zauważyć, że badacze zjawisk związanych z emigracją w procesie adaptacji do nowych warunków życia wskazują kilka – różnie emocjonalnie nacechowanych – faz. Pojawia się tu początkowa fascynacja, później następuje etap trudności, często prowadzących do stanu wyczerpania, a wreszcie próba ich przezwyciężenia i dopasowania się do nowych warunków życia (odpowiednie klasyfikacje przytacza Ewa LIPIŃSKA: *Polskość w Australii. O dwujęzyczności, edukacji i problemach adaptacyjnych Polaków na antypodach*. Kraków 2013, s. 18). Emocje utrwalałe w twórczości poetki wydają się wpisywać w tego typu schemat.

<sup>7</sup> Odwrotność ta jest zresztą uderzająca dla Europejczyków w ogóle. W książce *We came to Australia* angielskiego autora Thomasa Jenkinsa, pomyślanej jako

je obraz dwóch odmiennych, kontrastowo z sobą zestawionych przestrzeni, które wydają się tu swoim całkowitym i nienegocjowalnym zaprzeczeniem, niedającym nadziei na jakiekolwiek miejsca wspólne. Wrażenie nieprzystawalności tych przestrzeni pogłębia dwudzielnosc wiersza. Pierwsze dwie strofy stanowią w zasadzie zamkniętą całość, podporządkowaną formie ekfrastycznej (wypełnia je bowiem w całości opis świątecznej pocztówki przedstawiającej zimowy pejzaż). Podobnie zamknięty charakter ma druga część (obejmująca ostatnią strofę wiersza), w której naszkicowany został (w żaden sposób nienawiązujący do wcześniejszego obrazu) australijski ogród w środku lata. Zestawienie tych dwóch wizerunków – skrajnie odmiennych – sprawia wrażenie niemal absurdalne (co wpisuje się w pewien sposób w tradycję przedstawiania Australii – nie tylko w piśmiennictwie polskim – jako kraju zaskakującego Europejczyka swoją odmiennością), a w każdym razie każe postrzegać jako absurdalne wszelkie wysiłki pogodzenia z sobą tych dwóch kontekstów (polskiego i australijskiego).

Nieco inaczej jest w wierszu *Do Australii*, gdzie miejsce wyraźnego rozgraniczenia dwóch ważnych dla osoby mówiącej przestrzeni zajmuje ich specyficzna interferencja. Uzasadnia ją wymowa całego wiersza, który ma charakter prośby skierowanej do „nowej ojczyzny” o to, aby pozwoliła ona zapomnieć o tęsknocie i poczuciu wykorzenienia. Ciekawszy jednak od konstrukcji całości jest sposób wykreowania w utworze wizerunku „kraju w dole globusa”. Składają się na ten wizerunek najbardziej charakterystyczne ele-

---

rodzaj przewodnika dla jego rodaków myślących o emigracji na antypody, bardzo mocno został zaakcentowany ten właśnie element. Święta Bożego Narodzenia wypadające w środku lata, obchodzone w pełnym słońcu, którego intensywność szczególnie na nienawykłych do niego Brytyjczykach robi wielkie wrażenie, są odczuwane jako coś dziwnego, niezgodnego z przyzwyczajeniami. Ten „zgrzyt” zaznacza się także na poziomie języka. Opisując moment spotkania z nieznaną sobie wcześniej parą, autor zauważa: „Breaking the ice (a ridiculous metaphor, on that day!) I made some joke” (T. JENKINS: *We came to Australia*. London 1969, s. 118). Metafora „przełamywania lodów” (w języku ojczystym w oczywisty sposób używana na określenie sytuacji, w których dochodzi do nawiązania pierwszego kontaktu z nieznanymi wcześniej osobami) wydaje się szczególnie nie na miejscu w opisanych warunkach pogodowych.

menty australijskiego pejzażu, nie tylko nawiązujące do obiegowych wyobrażeń na temat tej ziemi, lecz także trafnie wskazujące te przykłady australijskiej specyfiki, które muszą się wydać szczególnie uderzające (bo nowe i niespotykane wcześniej) przybyszowi z Europy. „Świegot białosrebrnych drzew” dotyczy eukaliptusów, które tracąc korę, odsłaniają jasne i gładkie pnie, a ich koloru nie da się opisać trafniejszym epitetem niż „białosrebrny”; „bek łysych wzgórz” przypomina o ważnym bogactwie tego kontynentu, zbudowanego – niemal dosłownie – na owczym grzbiecie; „zapach buszu i pustynne echo wiatrów” przywołują charakterystyczne rysy *outbacku*, a „różowe refleksje cieni o zmierzchaniu” wydobywają z krajobrazu element dla cudzoziemca najbardziej chyba zaskakujący, czyli niesamowite nasycenie barw o zachodzie słońca, kiedy to ziemia przyjmuje różne odcienie różu i czerwieni. Użyte tutaj przez poetkę słowo „refleksje” (zamiast słowa „refleksy”, które odnosiłoby się jednoznacznie do gry cieni) przenosi ten rejestr charakterystycznych cech australijskiej przestrzeni w sferę innego rodzaju doświadczeń: osobistych przeżyć, refleksji dotyczących zapewne własnej obecności w tym „nowym, wspaniałym świecie”. Obok fragmentów stanowiących próbę uchwycenia australijskiej specyfiki pojawiają się w tym wierszu te zdradzające pierwotny kontekst mentalny i kulturowy, z którego „przyszła” osoba mówiąca. Otwierające utwór sformułowanie „Podaruj mi miejsce w dolinie legendy” (s. 15) uderza swą dwuznacznością. Z jednej strony bowiem „dolina legendy” kojarzyć się musi z istotnym dla rdzennych mieszkańców kontynentu konceptem, który w języku angielskim określa się mianem *Dreamtime*. W zaproponowanym przez poetkę określeniu pobrzmiewa ów Czas Snu, Marzenia, który jednocześnie dla przybyszów spoza aborygeńskiej kultury jest często po prostu zbiorem mitów i legend, gdyż tylko tak potrafią oni przełożyć tę niezwykłą koncepcję na bliskie sobie kategorie. Ten bardzo ważny element australijskiej odmienności, ściśle związany z kulturą pierwotnych mieszkańców kontynentu, zostaje tutaj przywołany za pomocą terminu bliskiego osobie mówiącej, bo wywiedzionego także z jej pierwotnego, rodzimego doświadczenia. Podobnie jest w finale pierwszej strofy, gdzie umieszczona jest na-

stępująca prośba skierowana do Australii: „dołóż wianek ze złotych kłosów twych nieb” (s. 15). Możemy w tej metaforze zobaczyć fragment australijskiego pejzażu, zatrzymaną w kadrze rozległą przestrzeń z błękitnym, bezchmurnym i bezkresnym niebem, jednak sam sposób jej określenia wyraźnie osadzony jest w tradycji rodzimej (wianek ze złotych kłosów zbóż). To balansowanie pomiędzy dwoma kontekstami może być zarówno śladem rozdarcia, pęknięcia, jakiego doświadcza osoba mówiąca w wierszu, jak i zapisem próby przezwyciężenia tego rozdarcia, połączenia owych dwóch, jakże odmiennych, sfer w jedną całość.

O tym, że wysiłek zamieszkiwania nowej przestrzeni, jej zagarniania i oswajania, jest ważnym elementem kondycji emigranta, przekonuje wiersz *Korzenie*. Utwór znów wyraźnie rozpada się na dwie części. Pierwsza – zbudowana wokół dwóch zasadniczych pytań: „gdzie jest mój kraj?”, „gdzie jest mój dom?”, eksponuje oddalenie, dystans oddzielający osobę mówiącą od owych przywoływanych tu wartości. W części drugiej pojawia się pytanie: „gdzie ma rodzina?”, na które pada inna odpowiedź: „jest wszak tutaj ze mną”. To, co w wierszu Teresy Podemskiej-Abt wydaje się jednak najciekawsze, to nie tyle sam proces pokonywania owej przestrzeni oddzielającej polską emigrantkę w Australii od jej „korzeni”, ile kontekst, który proces ten umożliwia. A jest nim kultura rdzennych mieszkańców kontynentu; paradoksalnie, nie zwyczaje i styl życia „białej Australii”, przynajmniej pozornie mniej się różniące od przyzwyczajzeń przywiezionych z ojczyzny, ale właśnie tradycje ludności tubylczej, mimo swej (w kontekście omawianego wiersza trzeba by znów powiedzieć: pozornej) odmienności. W finałowej partii utworu czytamy:

Pośród aborygeńskich barw  
szukamy przodków  
wspólnych zjaw.

s. 19

Nie chodzi tu zapewne o istotną bliskość jakiegoś konkretnego elementu tubylczej kultury i tradycji przez osobę mówiącą w wier-

szu identyfikowanej jako rodzima, ale raczej o pewien aspekt uniwersalnego ludzkiego doświadczenia, które odkryte w aborygeńskich wierzeniach daje poczucie ciągłości, oparcia, osłabia wrażenie obcości i osamotnienia.

Wyrazem takiego przewycięzania australijskiej obcości, triumfu owej tendencji do osławiania i zamieszkiwania nowej przestrzeni może być także wiersz *Wędrowka*. W pierwszej strofie emigracja pokazana jest jeszcze z ironicznym dystansem, dekonstruującym pozorne blaski tułaczego losu. Poetka pisze:

Przyjechaliśmy za Ocean po Życie  
jakby za mało go było w domu

s. 5

Ironicznie demaskuje w ten sposób przyczyny decyzji o wyjeździe, nadając im znamiona absurdu, gorzkiej pomyłki. Podobnie w drugiej strofie, określenie emigracyjnej tułaczki mianem „szlaku obłąkania” ma zdecydowanie negatywne konotacje. Dopiero w kolejnej części australijska przestrzeń okazuje się tym, co przynosi ukojenie, pogodzenie z sobą, pozwala odnaleźć nadzieję i odzyskać siły witalne. Co ważne, dzieje się tak za sprawą australijskiej przyrody, której surowy i często przerażający charakter ma (paradoksalnie) moc odnawiania utraconych sił, dodawania energii i niemalże przywracania do życia. Ostatni wers utworu: „Ogień uwalnia strachem śmierci spętane istnienie”, jest przede wszystkim nawiązaniem do charakterystycznego dla niektórych roślin tego kontynentu zjawiska: podczas pożarów buszu skorupki owoców pękają i w ten sposób uwalniane są nasiona, które później mogą wykiełkować<sup>8</sup>. To specyficzne zjawisko, które w pewnym sensie łączy sprzeczności (niszczący i niebezpieczny żywioł staje się zaczątkiem nowego życia), a może tylko – postrzegając rzecz z kulturowego punktu widzenia – ujawnia ambiwalencję symboliki

---

<sup>8</sup> Specyfikę tego zjawiska utrwalił w tytule swej książki Marek TOMALIK: *Australia. Gdzie kwiaty rodzą się z ognia*. Kraków 2011. O pracy tej obszernie piszę w kolejnym rozdziale.



ognia (żywiołu oznaczającego zarówno śmierć i zniszczenie, jak i kojarzonego z życiem i energią witalną<sup>9</sup>), tutaj odniesione zostaje do osobistego doświadczenia. Surowość australijskiej przyrody, niszcząca moc emigracyjnego doświadczenia wyzwala nowe siły, daje nadzieję na odrodzenie.

Wizerunek Australii w wierszach Teresy Podemskiej-Abt szkicowany jest zazwyczaj kilkoma wyrazistymi kreskami. Składają się nań najbardziej charakterystyczne elementy pejzażu, fauny i flory, te, które – jak już pisałam – muszą robić niezwykle wrażenie na nieprzygotowanym na tego typu doznania „europejskim” oku. Nieco inaczej jest w przypadku utworów pozostających w kręgu inspiracji kulturą i wierzeniami rdzennych mieszkańców kontynentu. Ta sfera doświadczeń, które ukazane zostają często jako klucz do zrozumienia i oswojenia australijskiej odmienności, zobrazowana została albo za pomocą zróżnicowanych elementów bogatej aborygeńskiej tradycji, albo za pomocą związanych z nimi i eksponowanych przez poetkę walorów ideowych. Z pierwszym typem odniesień spotkać się można w wierszu *Kraj tęczowego węża*. Już sam tytuł ujawnia przyjętą tutaj strategię. Określenie Australii przez nawiązanie do jednego z najważniejszych bohaterów aborygeńskich mitów stworzenia<sup>10</sup> jednoznacznie wskazuje, w jaki sposób postrzegany będzie ten kontynent. Wiersz został w całości utkany z elementów zaczerpniętych z podań lub ze znaków kultury materialnej plemion tubylczych. Po kolei przywołane tu zostały: opowieść o stworzeniu jeziora Eyre (uobecniiona w imieniu Wilkundy), o tym, dlaczego Blood-sucker lizard nie ma zębów (mit Berrimuna), dlaczego pies dingo skazany jest na towarzystwo ludzi, historia krwawego konfliktu, którego bohaterami byli wymienieni w tekście Wala Niebieski Język i Taipan, czy o Łzach Tintargee, jak aborygeni nazywają mające lecznicze właściwości trawy, które zgodnie z wierzeniami tubylców po raz pierwszy wyrosły nad źródłem powstałym z łez wylanych przez dziewczynę rozdzieloną

---

<sup>9</sup> Por. G. BACHELARD: *Wyobrażenia poetycka: wybór pism*. Wyboru dokonał H. CHUDAK. Przeł. H. CHUDAK, A. TATARKIEWICZ. Przedmowa J. BŁOŃSKI. Warszawa 1975, s. 35–45.

<sup>10</sup> Por. MUDROOROO: *Aboriginal mythology*. London 1994, s. 141.

ze swym ukochanym. Wspomniane w wierszu elementy australijskiego pejzażu tym razem również ukazane zostają przez pryzmat wierzeń tubylców. Pojawia się zatem Nambung – tym słowem, które w języku krajowców oznacza tyle, co „kręty, meandrowaty”, nazwana została rzeka w Australii Zachodniej i rozciągający się wokół tej rzeki park narodowy. Przywołany został ponadto jeden z najbardziej rozpoznawalnych dla Australii elementów – skała Uluru, bardzo ważne święte miejsce aborygenów. Choć dziś dla wielu odwiedzających ten odległy kontynent skała ta stanowi po prostu jedną z atrakcji turystycznych, w wierszu eksponuje się jedynie tradycyjne znaczenia przypisywane przez tubylców temu wyjątkowemu miejscu, a czyni się to za pomocą mitu o rodzie Kunia, który w czasach stworzenia przybył w ten rejon.

Nagromadzenie imion i nazw zaczerpniętych z języków tubylczych nieprzygotowanemu odbiorcy musi się wydać egzotyczne, a może nawet nieczytelne. Jedynie *didjeridu* i *corroboree* mogą tu brzmieć znajomo. Tradycyjne instrumenty muzyczne używane przez rdzennych mieszkańców kontynentu, podobnie jak ceremonialne tańce obrzędowe, stały się już dość rozpoznawalnymi elementami aborygeńskiej kultury. Imiona bohaterów poszczególnych opowieści są jednak znane nielicznym, szczególnie zainteresowanym tym zagadnieniem. W przypadku Teresy Podemskiej-Abt odwołanie się do takich akurat mitów i przytoczenie w tym krótkim wierszu nie tylko imion aborygeńskich bohaterów, lecz także czytelnych nawiązań do reprezentowanych przez nich historii wydaje się gestem podwójnie nacechowanym.

Z jednej strony bowiem kreuje poetka wizerunek Australii jako kraju, w którym wierzenia tubylcze są żywe i doświadczane w zetknięciu ze wszystkimi przyrodniczymi fenomenami. Najpełniej podkreślone to zostało w finale wiersza:

w krainie Karory  
bezmiar australijskiego marzenia  
zapiera dech.

s. 92

Australia jest tutaj konsekwentnie przedstawiana jako kraj „na-  
leżący” do aborygeńskich przodków, wyśpiewany w ich pieśniach  
i wypełniony duchową treścią zapisaną w tubylczych obrzędach,  
muzyce oraz opowieściach. Deklarowany tu zachwyt nad „bezmia-  
rem australijskiego marzenia” stanowi czytelne odesłanie do angi-  
elskiego terminu *Dreamtime* (Czas Marzeń) charakteryzującego, na co  
zwracałam już uwagę, w sposób raczej umowny specyfikę wierzeń  
rdzennych mieszkańców kontynentu. W zastosowanym przez poet-  
kę określeniu zauważyć można ciekawą grę. Nawiązuje autorka do  
angielskiego terminu, rozpowszechnionego w myśleniu białych lu-  
dzi o fenomenie kultury aborygeńskiej, dystansuje się jednak od tej  
formuły w pewien sposób, nie tylko wykorzystując dwuznaczność  
zestawienia „australjskie marzenie” (ewokującego jednocześnie  
skojarzenia z „amerykańskim snem”, czyli społeczno-narodowym  
etosem zakładającym „ułożenie sobie życia” i samorealizację,  
a więc wartości jak najdalsze kulturze rdzennych Australijczyków),  
lecz także wpisując to określenie w ramę eksponującą jego „zapie-  
rający w piersiach dech” charakter. Człowiek, który wobec sug-  
stywności, mocy i bogactwa tubylczych wierzeń może się zdobyć  
jedynie na ów pozawerbalny akt zachwytu, jakim jest obserwowa-  
nie z zapartym tchem tego, co ma się wokół siebie, ujawnia „ge-  
niusza podziwu, zrozumienia” zbliżający go do przedstawicieli innej  
kultury, w pewnym sensie odkrywa ową subtelą granicę oddzie-  
lającą samego obserwatora od pełnego zidentyfikowania się z tym  
niezwykłym systemem i stanem mentalnym. Stąd w wierszu aluzja  
do angielskiego *Dreamtime*, a nie jednego z tubylczych słów najtraf-  
niej przecież nazywających tę koncepcję. Podobnym zabiegiem po-  
służyła się poetka także wcześniej, przywołując w swym wierszu  
termin *corroboree*, będący przekształconą „angielską” wersją orygi-  
nalnej aborygeńskiej nazwy. Być może w chwytach tych doszukać  
się można subtelnie zaznaczonego dystansu, który zresztą wynika  
z głębokiego namysłu nad kulturą rdzennych mieszkańców konty-  
nentu i gruntownej znajomości tejże. Tylko takie podejście uchro-  
nić może przed czynieniem zbyt łatwych analogii i upraszczającym  
przekonaniem, że wszystko się rozumiało i stało się częścią tej  
niezwykłej całości.

Drugim powodem nasycenia wiersza oryginalnymi nazwami tubylczymi, nadającymi mu walor egzotyki, może być próba wpisania utworu w szerszy korpus tekstów – w tym także (już niepoetyckich) prac samej autorki. Zamieszczone w utworze znaki w postaci imion bohaterów i dość enigmatyczne nawiązania do „opowiadanych” przez nich historii mogą być zachętą do podjęcia lekturowej wędrówki przez kontynent australijski szlakami wyznaczonymi przez aborygeńskich przodków. Najbliższym kontekstem może być antologia twórczości australijskich tubylców opracowana przez samą Teresę Podemską-Abt. Wszystkie przywoływane w wierszu opowieści zostały zamieszczone w tym zbiorze<sup>11</sup>.

Jak już nadmieniałam, poetka wykorzystuje nawiązania do kultury rdzennych mieszkańców Australii także w sposób mniej dosłowny, a zatem nie w celu zbudowania wizerunku tej kultury z elementów dla niej charakterystycznych (jak w wierszu *Kraj tęczyowego węża*), ale pokazując własne, osobiste doświadczenie, które z kontaktu z wierzeniami ludności tubylczej wynikało. Dzieje się tak na przykład w wierszu *Mój las w parę lat później*. Jedynym bezpośrednim odesłaniem do tradycji aborygeńskiej jest tu przywołanie w pierwszym wersie nazwy lasu w okolicy Adelajdy. W języku tubylczym nazwa ta brzmi: Kupito. Przywołanie tego kontekstu ma jednak istotne znaczenie dla kształtu całego utworu. Przyjęta przez osobę mówiącą w wierszu perspektywa jest bowiem naznaczona niejako tubylczymi racjami i wymusza istotne przewartościowania w („europejskim”) światopoglądzie. Z tej perspektywy europejska cywilizacja jawi się jako barbarzyńska, znaczone ciągłymi podbojami, których logika wydaje się absurdalna, a chronologia nieistotna. Myślenie takie postrzegane jest w wierszu jako wyzwalające, co zostało podkreślone przez specyficzne ukształtowanie przestrzeni. Las Kupito można swobodnie przemierzać bez obawy, że człowiek natknie się na jakiegokolwiek tabliczki zakazujące wstępu, miejsce wojska (maskującego swą obecność krzakami) zajmują

---

<sup>11</sup> T. PODEMSKA-ABT: *Niepisane ścieżki. Mity i legendy plemion australijskich*. W: *Świat tubylców australijskich. Antologia literatury aborygeńskiej*. Oprac. T. PODEMSKA-ABT. Kraków 2003.

teraz chowające się w zaroślach kangury – zmilitaryzowany aspekt europejskiej cywilizacji zastąpiony zostaje triumfem australijskiej natury.

Kultura aborygeńska nie tylko staje się w tym wierszu niezbędnym kontekstem dokonania istotnych życiowych i światopoglądowych przewartościowań, lecz także pozwala przezwyciężyć poczucie obcości, które musiało być udziałem emigranta. Dowodów na to szukać można w finale wiersza, gdzie czytamy:

razem liczymy kangury  
które także mają akcent  
kiedy mówią po australijsku.

s. 41

Akcent – charakterystyczny znak emigrantów – zostaje tu metaforycznie przypisany zwierzętom stanowiącym najbardziej rozpoznawany emblemat Australii. Nawiązuje tym poetka znów do wierzeń aborygenów, wedle których straszliwy huragan przywiał kangury do Australii – rzekomo z okolicznych wysp, gdzie żyły wcześniej. W tak ukształtowanym zakończeniu można widzieć żartobliwą dekonstrukcję motywu emigranta, podważenie tego fundamentalnego – jak można by sądzić – podziału na „stąd” i „stamtąd”, który w Australii wydaje się nie mieć sensu. Prawdopodobnie refleksja taka (budowana na podstawie aborygeńskiego mitu) nakłada się tutaj na rzeczywiste doświadczenie emigranta, który pod Krzyżem Południa dostrzega wielość kultur, narodowości, języków, czego symbolicznym wyrazem może być fakt, że niemal każdy członek tej społeczności mówi po angielsku z jakimś akcentem. Wspominał o tym fenomenie Jacek Kaczmarski: „to jest jedyny kraj, gdzie ktoś, kto mówi angielskim z własnym, jakimś tam akcentem, nie jest traktowany jak obcy, bo tam każdy mówi z własnym akcentem”<sup>12</sup>.

---

<sup>12</sup> Jacek Kaczmarski w rozmowie z Anną Napiórkowską w III Programie Polskiego Radia, w audycji „Sekrety – Konkrety”, wrzesień 1999. Pozyskano z: [www.kaczmarski.art.pl/tworczosc/epika/zapowiedzi/plaza.php](http://www.kaczmarski.art.pl/tworczosc/epika/zapowiedzi/plaza.php) (30.07.2013).

W twórczości Teresy Podemskiej-Abt kultura aborygenów staje się kluczem do zrozumienia nowej, obcej przestrzeni, ułatwia wrosnięcie w „kraj w dole globusa”, odnalezienie miejsca dla siebie. Warto zauważyć, że wyłaniająca się z wierszy poetki opowieść o przezwyciężaniu emigracyjnego rozdarcia ma pewne znamiona uniwersalności: choć takie „pogodzenie się” z nowym miejscem pobytu bywa przez emigrantów osiągane na różne sposoby, jest jednak zawsze etapem koniecznym, aby przybysze mogli z sukcesem kształtować swoją przyszłość w nowym kraju. Mieczysław Sprengel w pracy poświęconej polskim emigrantom w Australii zauważył, że istnieje konieczność odnalezienia równowagi pomiędzy wspomnieniami, kultywowaniem własnej, „przywiezionej” tożsamości narodowej a umiejętnością życia się z Australią i włączenia w jej kulturę<sup>13</sup> (jakkolwiek jest ona definiowana czy pojmowana). Postawy przeciwne, polegające często na izolowaniu się od miejscowej kultury, podkreślaniu własnej wyższości i inności<sup>14</sup>, prowadzą zazwyczaj do osobistych dramatów. Sytuacje modelowe to takie, w których ową równowagę udaje się osiągnąć. Kluczem do zrozumienia „kraju w dole globusa” mogą być – jak w analizowanym przypadku – kultura rdzennych mieszkańców Australii, ale także względy praktyczne czy ekonomiczne. Ten ostatni przykład sportretował w swojej powieści Jurek Zielonka:

Marta uświadomiła sobie, że ze wszystkich znanych jej tutaj polskich emigrantów Anderson jest najbardziej dostrojony do życia w tym kraju [...]. Większość, do której sama się zaliczała, zdawała się mozolnie dźwigać swą polskość jak niepotrzebną narośl, która nie dawała nic poza poczuciem ciągłości z jakimś odległym poprzednim „ja”<sup>15</sup>.

Szczęśliwy finał emigracyjnych historii polega bowiem na umiejętnym zintegrowaniu się z miejscową wielokulturową społeczno-

<sup>13</sup> M. SPRENGEL: *Emigracja polska w Australii w latach 1980–2000*. Toruń 2004, s. 61.

<sup>14</sup> O postawie takiej pisze na przykład F. KROTOWICZ: *Za wielkie morza, na brzeg daleki*. W: *Polska – Australia, dwie ojczyzny!* Warszawa 1997, s. 104.

<sup>15</sup> J. ZIELONKA: *Antypody*. Warszawa 1998, s. 145–146.

ścią<sup>16</sup>, a mówiąc znów językiem poezji: na zdolności udzielenia pozytywnej odpowiedzi na pytanie, czy funkcjonując pomiędzy owym „tam” i „tu”,

kontynenty tracę czy podwajam?  
języki gubię czy znajduję?<sup>17</sup>

## Męczyzna

Jacek Kaczmarek przyjechał do Australii wraz z rodziną w sierpniu 1995. Nie był to pierwszy kraj na szlaku emigracyjnej tułaczki poety, ani – jak miało się okazać – port docelowy. Być może „pobyt stały” po prostu nie leżał w charakterze Kaczmareka, bo – jak pisze Jadwiga Sawicka – „Bardowie byli wędrowcami. Z bezdomności uczynili zasadę, formę protestu i sposób na życie. Wędrowka – stara metafora ludzkiego bytowania – została przez nich twórczo podjęta”<sup>18</sup>. Choć taka wędrowna perspektywa może usuwać nieco z pola widzenia kwestie związane z koniecznością zakorzenienia się, zmagania z owym – opisywanym w przypadku Teresy Podemskiej-Abt – rozdarciem, daje bez wątpienia możliwość wglądu w specyfikę „kraju w dole globusa” i przedstawienia jej w napisanych w tamtym miejscu i czasie dziełach. Jacek Kaczmarek Australią był zafascynowany, pragnął ją odkrywać, była ona dla niego miejscem zaspokajającym potrzebę wolności i obiec-

---

<sup>16</sup> Strategia integracyjna nie rodzi niebezpieczeństwa utraty poczucia tożsamości i odrębności, polega bowiem na umiejętności zachowania równowagi, to „rodzaj kulturowego równouprawnienia, wiąże się [...] przede wszystkim ze zniesieniem prymatu kultury dominującej w stosunku do kultur mniejszościowych, osłabieniem kulturowego etnocentryzmu na rzecz dialogu i spotkania wielu kultur w jednym społeczeństwie”. D. ŁALAK: „Swoi” i „Obcy” w perspektywie antropologiczno-społecznej. W: *Migracja, uchodźstwo, wielokulturowość. Zderzenie kultur we współczesnym świecie*. Red. D. ŁALAK. Warszawa 2007, s. 113.

<sup>17</sup> L. AMBER: *Lot z Australii do Europy*. W: EADEM: *Geografia pamięci i inne wiersze*. Olštyn 2010, s. 80.

<sup>18</sup> J. SAWICKA: *Bardowie*. W: *Zostały jeszcze pieśni... Jacek Kaczmarek wobec tradycji*. Red. K. GAJDA, M. TRACZYK. Kraków 2010, s. 19.



jącym niezwykłą przygodę<sup>19</sup>. Jednocześnie z czasem coraz częściej porzucał ten kraj na dłużej, aby wyjeżdżać do Polski; w końcu odwrócił porządek: to do Australii bard w pewnym momencie zaczął „wpadać”, przyjeżdżać na kilka tygodni, w starym kraju toczył się natomiast główny nurt życia poety<sup>20</sup>.

Jeden z utworów, w których Kaczmarek podjął wątek australijski, stanowi powieść zatytułowana *Plaża dla psów*<sup>21</sup>. Zaznaczyć trzeba od razu, że choć zawarty w niej wizerunek antypodów jest ciekawy i wart zrekonstruowania, nie znajduje się jednak w centrum uwagi autora. Naszkicowane tu wyraziście, choć kilkoma zaledwie rysami, realia przyrodnicze, społeczne, kulturowe stanowią jedynie tło rozważań dotyczących z jednej strony zawiłych losów ludzkich napiętnowanych wstrząsami politycznymi, z drugiej – analizy charakterów, emocji, autodestrukcyjnych skłonności przejawianych przez wszystkich właściwie bohaterów tej powieści. I tak jak żaden z ludzi występujących na kartach tej książki nie wzbudza szczególnej sympatii, tak i obraz kraju, który połączył losy postaci tragicznym i paradoksalnym zarazem węzłem, pozbawiony został elementów budzących zachwyt czy fascynację.

Konstruując obraz Australii, Kaczmarek sięga w zasadzie po te elementy, które najczęściej odnaleźć można w relacjach na temat tego kraju-kontynentu. Nie może tu zatem zabraknąć eukaliptusów zrzucających korę, kangurów stanowiących narodowy emblemat, domów usytuowanych nad morzem, wielkich, spalonych słońcem przestrzeni *outbacku*. Elementy te nie składają się jednak w całość, która wzbudzałaby fascynację, ukazywała kuszącą odmienność „kraju w dole globusa”. Przeciwnie, każdy z nich opisany został w taki spo-

<sup>19</sup> K. GAJDA: *To moja droga. Biografia Jacka Kaczmareka*. Wrocław 2009, s. 274.

<sup>20</sup> Ibidem, s. 325.

<sup>21</sup> Decyduje się na omówienie akurat tego utworu z kilku powodów. Przede wszystkim twórczość prozatorska Jacka Kaczmareka jest mniej znana i poświęcono jej mniej uwagi niż utworom poetyckim, także tym powstałym w czasie pobytu poety w Australii. *Plaża dla psów* wydaje się powieścią ważną dla omawianego w tej książce zagadnienia także dlatego, że – jak przypomina Krzysztof Gajda – „Stanowi sumę jego [Kaczmareka – M.B.] doświadczeń i zasłyszanych historii rozmaitych ludzi, tworzących to wielonarodowościowe środowisko”. K. GAJDA: *To moja droga...*, s. 302.



sób, aby wydobyć aspekt negatywny tego elementu, obnażyć jakąś słabość, wywołać niechęć. I tak domy położone w pobliżu oceanu, choć oferują mieszkańcom piękne widoki, odpowiedzialne są również za znacznie mniej przyjemne wrażenia zapachowe, wynikające z faktu, że plaże są dla mieszkańców miasta ulubionym miejscem spacerów z psami. Męska wyprawa po australijskich bezdrożach nie przeradza się ani w kolekcjonowanie zachwycających widoków, ani w doświadczanie fenomenu *mateship*, naznaczona jest natomiast wieloma kangurzymi trupami, osadami w środku „niczego” skazanymi na zagładę i polowaniem, które kończy się poczuciem niesmaku i zażenowania, kiedy ofiarą rozemocjonowanego myśliwego staje się kangurzyca nosząca w torbie swoje młode.

Australia z powieści Kaczmarskiego na pewno nie jest rajem na ziemi, oazą fantastycznej przyrody, miejscem zachwycającym swoją egzotyką. Społeczność zamieszkująca ten kraj również nie została przez autora przedstawiona w sposób wyidealizowany czy bezkrytyczny. Choć bezpośrednich wzmianek dotyczących Australijczyków, ich mentalności i stylu życia nie jest w tej powieści wiele, te, które są, pokrywają się z obserwacjami poczynionymi przez innych Polaków piszących o kraju pod Krzyżem Południa. Autor odnotowuje na przykład specyficzny stosunek Australijczyków do kobiet, prowadzący się w zasadzie do tego, że mężczyźni traktują swoje partnerki jak (nieco innych) kumpli<sup>22</sup>, w innym zaś miejscu przytacza dość dwuznaczną dla płci pięknej uwagę, że:

W Australii [...] nikt nie wstydzi się być brzydkim<sup>23</sup>.

<sup>22</sup> Podobne spostrzeżenia poczynił Marek Tomalik, o czym pisze w swojej ostatniej książce o Australii (por. M. TOMALIK: *Lady Australia*. Gliwice 2013, s. 24–26). W powieści Jurka Zielonki pt. *Antypody* również odnaleźć można podobną konstatację dotyczącą specyficznych damsko-męskich relacji. Jedna z bohaterek kwituje zachowanie Polaka, który pomaga jej nieść ciężki karton, słowami: „Takie rycerskości u naszych mężczyzn się nie spotyka” (J. ZIELONKA: *Antypody...*, s. 148). Być może fakt, że Australijczycy traktują kobiety jak „kumpli”, ma związek z historycznie ukształtowanym ideałem kobiety zdolnej przetrwać w tym „męskim” kraju (por. uwagi na temat kreacji Gracji Busel w rozdziale poprzednim).

<sup>23</sup> J. KACZMARSKI: *Plaża dla psów*. Warszawa 1998, s. 124. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania, po cytatach podaje numery stron.

Charakterystyczny jest również fragment poświęcony wizerunkowi przyjaznych, pogodnych i serdecznych Australijczyków, o których główny bohater powieści wypowiada się następująco:

Uśmiechają się do ciebie, do innych, do siebie nawzajem. Ale spójrz na ich twarze, kiedy są sami. To są zmęczone twarze. Smutne albo znudzone. Życzą ci miłego dnia, bo jeśli twój będzie niemiły, to istnieje duża możliwość, że i ich się spieszy. Pomagają? Z nudów i bez zobowiązań. Może to jest właśnie szczęście.

s. 85

Z fragmentu tego, podobnie jak z zamieszczonego dalej opisu życzliwego, ale powierzchownego wsparcia, jakiego chętnie udzieliliby zrozpaczonemu *mate* australijscy przypadkowi towarzysze w jednym z pubów, wyłania się obraz społeczeństwa, w którym uprzejmość zastąpić ma wszelkie autentyczne międzyludzkie więzi. Warto zauważyć, że taki wizerunek Australii nie jest pomysłem wyłącznie Jacka Kaczmarskiego. Wystarczy przywołać utrzymany w bardzo podobnym tonie wiersz emigracyjnej poetki Ludwiki Amber pod tytułem *Odległość do sąsiada*:

Na Boże Narodzenie dowiedziałam się  
ze świątecznej kartki  
jak ma na imię ich dziecko  
Gdybym poprosiła o pomoc  
przyszliby do mnie  
Może to już wiele jak na Metropolię?  
[...]  
Rozmawiamy o pożarach buszu w Sydney  
Kiedy potrzeba pomagamy sobie  
Może to wystarczy na początek  
trzeciego tysiąclecia?<sup>24</sup>

---

<sup>24</sup> L. AMBER: *Odległość do sąsiada*. W: EADEM: *Australijska zima i inne wiersze*. Poznań 2005, s. 80.

Dostrzec tu można ten sam charakterystyczny rys: powierzchowność wszelkich kontaktów, które – choć tak poprawne – pozbawione są głębszego zaangażowania emocjonalnego. Uderzająca jest zbieżność cytowanych tekstów – w obu mamy do czynienia z podobnymi próbami zrozumienia tego fenomenu i podobnie powątpiewającą diagnozą („może to jest właśnie szczęście”, „może to wystarczy”). Jedyna różnica polegałaby tutaj na tym, że Ludwika Amber w finale swojego wiersza wydaje się sugerować, iż opisywane zjawisko jest być może znakiem czasu, a nie kolorytem lokalnym Australii.

Przywołuję rozsiane na kartach *Plaży dla psów* informacje na temat australijskiej specyfiki, aby zaznaczyć, iż konstruowany w powieści obraz nie jest kreacją pozbawioną oparcia w konkretnych obserwacjach. Nie ulega jednak wątpliwości, że bardziej niż szkicowaniem wizerunku „kraju w dole globusa” zajmuje się Kaczmarowski tworzeniem opowieści o ludziach zmagających się z sobą, ze swoimi emocjami, z innymi ludźmi, lecz także z historią czy polityką. W tej opowieści Australia odgrywa istotną rolę przede wszystkim jako symbol oddalenia, gwarancja niezbędnego dystansu, z którego spojrzeć można na swe wcześniejsze dokonania, ale też miejsce ucieczki, do którego przybywają wszyscy pragnący odpoczynku od własnego życia. Otwiera się tutaj zresztą pole do ujęć bardzo indywidualnych, do wielu subiektywnych interpretacji. Dla głównego bohatera – Iana Fokusa – to przestrzeń ucieczki przed osaczającym go domowym, uporządkowanym i poddanym opiece wzorowej żony życiem rodzinnym. Usytuowana na końcu świata Australia z jej wymagającym klimatem i budzącymi przerażenie okazami fauny dawała gwarancję uwolnienia się od żony:

wymyśliłem sobie drogę pośrednią. Życie obok życia, czyli Australię. Wiedziałem, że moja żona za żadne skarby nie zdecyduje się na przeprowadzkę, a babka ją poprze. Za dużo tu węży, jaszczurek i pajaków, powodzi i pożarów buszu, a dziura ozonowa i słońce nigdy nie schodzące z nieba gwarantują Dawidowi jak nic raka skóry.

Australijska „inność” funkcjonuje tu na zasadzie zabezpieczenia – stanowi barierę, która skutecznie zniechęca partnerkę bohatera do przeprowadzki, a tym samym oferuje mu upragnioną wolność<sup>25</sup>. Wszystkie wymienione tu elementy owej australijskiej specyfiki zostały pokazane w sposób eksponujący ich negatywne aspekty. Nawet słońce – będące zazwyczaj symbolem pogody ducha, optymizmu i radości mieszkańców „kraju w dole globusa”<sup>26</sup> – tutaj sprowadzone zostało do podwyższonego ryzyka zachorowania na raka skóry.

Z innych powodów Australia wydaje się idealnym wyborem uciekającemu przed swoją przeszłością Ivanowi – Rosjaninowi represjonowanemu we własnym kraju:

W Rosji rzecz jasna wszyscy wierzą w Boga. Wzywają Go nawet po to, żeby pomógł im kupić śledzie i wódkę. Ale usłyszeć Go można tylko w samotności i upokorzeniu. Nie wiem, jak doszło do tego, że nauczyłem się rozmawiać z Nim w Pustce, a Pustka kojarzyła mi się z Australią. Ziemia, której tak naprawdę chyba nie ma, musi być blisko Boga. Ziemia zesłańców. Żadne tam palmy, plaże dla psów, zasilek dla bezro-

---

<sup>25</sup> W bardzo podobny sposób przedstawiona została kwestia oddalenia tego kontynentu od Europy w przywoływanej już w tym rozdziale powieści Zielonki. Tam wprawdzie żona jednego z bohaterów, Romka, zdecydowała się na emigrację wraz z mężem, ale tak kobieta wspomina ową decyzję: „skóra straciła już swą dawną aksamitną gładkość, a tu i ówdzie pojawiły się piegi i brązowe skazy. Tak! Wszystko przez to tutejsze słońce! Nie powinna była dać się wywieźć do tego przekłętą kraju. Czy to jej wina, że w pierwszej chwili pomylił jej się z Austrią, która wydawała się być gdzieś niedaleko?” (J. ZIELONKA: *Antypody...*, s. 23). W cytowanym fragmencie pojawiają się takie same jak w powieści Kaczmarek element: tym, co przeraża kobiety w pomyśle emigracji do Australii, jest jej odległość od Europy, a symbol tego kraju – słońce – w obu przypadkach postrzega się nie przez metaforyczne sensy, jakie ewokuje (optymizm, pogodność i wygodne życie mieszkańców kontynentu), ale praktyczne negatywne konsekwencje (zła kondycja skóry). W innym miejscu swej powieści Zielonka pokaże też ową zawsze słoneczną australijską pogodę jako czynnik wpływający na monotonię życia i potęgający nudę innej z bohaterek jego utworu (por. *ibidem*, s. 16–17).

<sup>26</sup> Zwraca na to uwagę Marek HALTOF: *Kino australijskie. O ekranowej konstrukcji Antypodów*. Gdańsk 2005, s. 88.

botnych... Ziemia upokorzonych. Żaden Zachód, gdzie Bóg jest partnerem w interesach, mało wiarygodnym, ale który partner jest wiarygodny w interesach? Południe, Terra Australis, południe, czyli południk, czyli Pion! Czysta linia wzwyż!

s. 183–184

Znów charakterystyczny element decydujący o odmienności „kraju w dole globusa” od europejskiej rzeczywistości – ogromne otwarte, puste przestrzenie Australii – poddany tu zostaje specyficznej, bardzo osobistej interpretacji. Pustka jest tym, co umożliwia kontakt z Absolutem. Dla Ivana Australia nie stanowi miejsca ucieczki przed represjami, przestrzeni wolności i dobrobytu, ale symbol pustki, w której nawiązać można autentyczny kontakt z Bogiem. Oczywiście, z powieści Kaczmarskiego jasno wynika, że niezależnie od motywacji, które każą bohaterom uciekać aż na koniec świata, ich historie kończą się tragicznie, skoro prawdziwa ucieczka (od własnych ograniczeń, win, błędów) jest niemożliwa<sup>27</sup>.

Za jeden z ważniejszych rysów australijskiego społeczeństwa uchwyconych w *Plaży dla psów* uznać należy jego wielokulturowość. Opisani przez Kaczmarskiego bohaterowie reprezentują emigrantów z różnych krajów świata. Nie przypadkiem w tytule powieści autor eksponuje właśnie „plażę” – jeden z symboli australijskiej kultury. Chwyt ten ma na celu nie tylko swoistą dekonstrukcję wizerunku Australii jako raju na ziemi (poprzez wspomniane już przywołanie owego negatywnego aspektu życia na wybrzeżu – pięknemu widokowi towarzyszą nie tak piękne wrażenia zapachowe), jest także nawiązaniem do ważnego australijskiego znaku. John Pilger tak komentuje ten fenomen australijskiej (publicznej, a nie prywatnej) plaży: „panuje tu powszechne przekonanie o wzajemnej tolerancji i duchu równości, która zaczy-

---

<sup>27</sup> Warto na marginesie zauważyć, że jednym z ważnych, ale najmniej zbadanych przez specjalistów (bo często przez ankietowanych ukrywanych lub nie-uświadamianych) motywów emigracji jest właśnie chęć ucieczki od dotychczasowego życia, od problemów, zbudowania lub znalezienia nowej tożsamości. Por. E. LIPIŃSKA: *Polskość w Australii...*, s. 12.

na się na stopniach deptaku. Nie chcę robić z tego wielkiej sprawy, ale cudzoziemcy, szczególnie Amerykanie, zachwycają się tym”<sup>28</sup>. Plaża opisana przez Pilgera nie jest jednak symbolem jednoznacznym, nie obejmuje on bowiem całej prawdy o Australii, nie ma w tym znaku miejsca dla tych, których owa tolerancyjna społeczność zdecydowała się nie dostrzegać, czyli dla przedstawicieli ludności tubylczej. Podobnie niejednoznaczna jest plaża Kaczmareckiego. Stykają się na niej emigranci z różnych krajów, kultur, systemów – i już sam ten fakt kreuje obraz wielokulturowego społeczeństwa, w którym możliwe jest spotkanie (i pojednanie) Polaka, Rosjanina oraz Francuza w towarzystwie Niemca. Dramatyczny finał powieści, który także rozegra się na plaży, do pewnego stopnia dekonstruuje jednak możliwość pozytywnej interpretacji owego znaku. Plaża okaże się bowiem także przestrzenią, w której zatriumfuje brak przystosowania, nieumiejętność znalezienia swojego miejsca w świecie, osobisty dramat większości bohaterów utworu.

Elementem składowym australijskiej społeczności uwzględnionym w powieści Kaczmareckiego jest też obraz Polonii, symbolizowanej tu przez bywalców klubu Wolność. Zdominowana przez przedstawicieli starszego pokolenia, przechowujących wizerunek „dawnej Polski” z czasów ich młodości, pełna wzajemnych pretensji, łatwa do skłócenia, podejrzliwa wobec nowo przybyłych wspólnota została tu wyraźnie poddana krytyce. Wady tej wspólnoty najpełniej dochodzą do głosu w scenie, w której najbardziej wpływowi przedstawiciele polonijnego środowiska wydają negatywny sąd o niedawno przybyłym do Australii rodaku (głównym bohaterze powieści), ujawniając przy tym swoje kompleksy, zazdrość, poczucie zagrożenia. Warto przywołać tutaj dłuższy fragment toczącej się w tej sprawie dyskusji:

– I nasz nowy nabytek, pan Fokus, nie jest lepszy! – postukał palcem w gazetę. – Proszę bardzo! „Płomień pojednania! Polak, Rosjanin i Francuz podają sobie ręce nad zgłiszczami

---

<sup>28</sup> J. PILGER: *A secret country*. London–Melbourne–Sydney 1990, s. 13.

Kremla na australijskiej plaży. Happening dobrej woli i wzajemnego przebaczenia!”. I tu jeszcze przypis odautorski: „Jako Niemiec z pochodzenia mogę się jedynie skromnie podpisać pod tą akcją, która nie wynikała przecież z czczej zabawy, ale – pragnę wierzyć – z naszego australijskiego poczucia wielokulturowości!”. I oczywiście zdjęcie! Tak się dba o swoje interesy!

– Nie widzę w tym nic złego – obruszył się profesor. – Czytałem tę wzmiankę i uważam, że to niezły pomysł.

– Pojednanie z Rosjaninem? Z przedstawicielem najbardziej zbrodniczego narodu na tej planecie? Kto upoważnił pana Fokusa do takich kroków w naszym imieniu? Co to za stwarzanie faktów dokonanych? Czy po to miliony Polaków gniły w łagrach?

– Zbrodniczy był system, nie naród – upierał się profesor, raczej chyba z nawyku niż z przekonania, że ktokolwiek się z nim zgodzi. – A ten Rosjanin to pewnie też emigrant, więc raczej bliźni w nieszczęściu.

– Zajmijmy się naszym, polskim nieszczęściem – grzmiał Józef Wola – zanim zaczniemy współczuć innym!

s. 325

Widać tu wyraźnie, że ów przywołany w prasowej wzmiance duch australijskiej wielokulturowości nie wywarł jednak zbawienego wpływu na zamkniętą, ksenofobiczną, pielęgnującą historyczne antypatie wspólnotę, której członkowie nie potrafią się porozumieć w kwestii zakupu sprzętu nagłaśniającego dla swojego klubu, natomiast prawie bez sprzeciwu (nie licząc wątego protestu profesora socjologii) jednoczą się we wspólnej nienawiści. Na tym tle owe polsko-rosyjskie kontakty plażowe – początkowo pełne rezerwy i obciążone wzajemną nieufnością, stereotypami, ale mimo to prowadzące do dialogu, pojednania, a w końcu zwyczajnej ludzkiej przyjaźni – nabierają istotnego, pozytywnego sensu.

Przy okazji warto wspomnieć, że prezentowane przez Ivana poglądy na temat charakteru narodowego Polaków (poglądy, które nie doczekały się w powieści jednoznacznego podważenia czy iro-



nicznego zakwestionowania) każą w krytyczny sposób spojrzeć nie tylko na przedstawicieli Polonii, którym australijski duch wielokulturowości pozostał obcy, lecz także na Polaków w ogóle, również tych, od których bohatera-emigranta dzieli odległość mierzona w tysiącach kilometrów. Ocena, wygłoszona w powieści przez Rosjanina Ivana, nie jest bowiem pozbawiona słuszności:

To, co mnie u was, Polaków, najbardziej drażni, to to, że jesteście tacy niekonsekwentni i niefrasobliwi. Wierzycie w Boga, a skarżycie się na los, który wam zesłał. Nie zgadzacie się z tym losem, ale obwiniecie innych, nie siebie. To przecież sprzeczne z istotą chrześcijaństwa. Ale jak już znajdziecie winnego, to ani mu nie wymierzacie kary, ani mu nie przebaczacie. Bo to właśnie winny jest wam potrzebny, niejako na zapas, na wszelki wypadek, na przyszłe porażki. Życie ambicją wielkości, powołujecie się na historię, ale nie przyglądacie się własnym małościom, które wam blokują drogę do wielkości. Wystarczą wam słowa, zadowalają ceremonie. Pozwalacie się uważać za romantyków, a w rzeczywistości jesteście bardzo praktyczni w niezadawaniu sobie trudu, nieprzemęczaniu się w pracy nad sobą.

s. 168

W tej pobłażliwości dla swoich wad, szukaniu winnego, ale też nieumiejętności wyjścia poza doznane krzywdy – czy to przez rozprawienie się z winnymi owych krzywd, czy to przebaczenie im – dostrzec można bez trudu wyraziste rysy mentalne bywalców klubu Wolność. Józef Wola domagający się, aby Polacy pamiętali przede wszystkim o własnym nieszczęściu, apeluje do tak właśnie rozumianego „narodowego ducha”. Jednocześnie diagnozę tę potraktować można szerzej i doszukać się w niej pewnych charakterystycznych cech określających Polaków w ogóle. Australijski dystans, skupienie w emigracyjnej wspólnotcie jak w soczewce pewnych charakterystycznych zachowań i ich spetryfikowanie w formie, w jakiej zaistniały niegdyś, w momencie opuszczenia kraju, pozwalają z pełną mocą wskazać słabości Polaków, którym



przeszłość tak bardzo zagradza drogę do przyszłości<sup>29</sup>. Wydaje się, że nigdzie nie może to być wyraźniej widoczne niż pod Krzyżem Południa, w społeczności młodej, nieukształtowanej do końca, formującej się w toku międzykulturowych konfrontacji i transgresji. Zamknięta i ograniczona wzniesionymi przez polonijną wspólnotę ścianami przestrzeni klubu Wolność i plaża nad oceanem tworzą tu wyrazisty kontrast.

Tego rodzaju ujęcie krytyczne życia Polonii w Australii pojawia się zresztą nie tylko w tekście Kaczmarek. Zazdrość, wzajemne nieporozumienia przy jednoczesnych deklaracjach patriotycznych i utrwalaniu dawnego, zapamiętanego z młodości obrazu ojczyzny pojawiają się w pisarstwie innych autorów znających emigracyjne realia. Wystarczy dla porównania przywołać satyryczny *Bal Andrzeja Gawrońskiego*, gdzie tytułowe wydarzenie w Domu Polskim staje się okazją do wymiany wzajemnych złośliwości:

Prezesowa z słodką miną  
(Lisy pachną naftaliną),  
Suknia żółta już niemodna  
(szepce Wisia: „Pewnie z Grodna!”)

– zainicjowania nowych, ekscytujących plotek na temat rodaków:

Marzy w duchu, patrząc wszędzie:  
„Ile plotek jutro będzie!”

---

<sup>29</sup> Adam Jamrozik sformułował w jednej ze swych książek następującą regułę: „Wszystkie społeczeństwa mają swoje historie; wszystkie społeczeństwa mają także swoje mity. Historie i mity są ważne, ponieważ to one nadają znaczenie teraźniejszości i czasami wskazują drogę w przyszłość. Jednakże historie i mity mogą się także stać kajdanami, uzależniającymi myślenie ludzi od przeszłości, starych dobrych czasów albo »złotego wieku«; ograniczającymi lub wręcz uniemożliwiającymi dostrzeżenie zmian w otaczającym świecie, i powstrzymującymi ich – jako jednostki i jako społeczeństwo – od wpływania na kulturowe przemiany, co jest niezbędne, aby mogli żyć swoim własnym życiem i w pełni wykorzystać swoje możliwości”. A. JAMROZIK: *Social change and cultural transformation in Australia*. Cambridge 1995, s. 37. Ta ogólna reguła dotycząca wszystkich społeczeństw wydaje się szczególnie trafnie określać opisaną tu sytuację.

– i złożenia kilku patriotycznych deklaracji bez pokrycia:

Wzdycha pani więc niejedna:  
„Biedna nasza Polska, biedna”  
I pudruje sobie nosek,  
Na wzmocnienie biorąc proszek<sup>30</sup>.

Największe znaczenie ma jednak dominujący w całym wierszu obraz starości. Emigranci z Polski także tutaj pokazani zostali nie tylko jako ci, którzy noszą niemodne ubrania i nie mają już tej kondycji co dawniej, ale przede wszystkim jako grupa osób pogrążonych w jałowych wspomnieniach z przeszłości – przeszłości nieistniejącej, kultywowanej na zasadzie najdroższej pamiątki, świętości bez żadnego rzeczywistego znaczenia.

## Dziecko

W *Życiu do góry nogami* Jacek Kaczmarek spisyuje wspomnienia ośmioletniej córki, która opowiada o swoich wrażeniach z przeprowadzki do Australii. Książka jest wspólnym dziełem ojca i córki: bajeczki wymyśliła Patrycja, fragmenty poświęcone życiu rodziny na antypodach są autorstwa Jacka Kaczmarek<sup>31</sup>. Wprowadzenie dziecięcego narratora wymusza jednak znaczącą zmianę perspektywy: miejsce rozważań dotyczących problemów kulturowych, tożsamościowych, oceny polskiej i australijskiej mentalności zajmuje teraz perspektywa niejako „domowa”. Dla dziecka istotne są drobne codzienne sprawy, które przekładają się na relacje w rodzinie. Australijska odmienność, choć zbudowana z tych samych, często w tej książce wymienianych elementów (odległość od Europy, odwrotność pór roku, egzotyczne zwierzęta), jest tutaj pokazywana przez pryzmat zamieszkania, jakie wywołać może w życiu polskiej

---

<sup>30</sup> A. GAWROŃSKI: *Bal*. W: *Zielona zima. Antologia poezji i prozy polskiej w Australii*. Wybór, wstęp i oprac. L. AMBER. Lublin 1997, s. 120–123.

<sup>31</sup> K. GAJDA: *To moja droga...*, s. 273.

rodziny, eksponuje się wymiar praktyczny tej odmienności, a nie symboliczny<sup>32</sup>. Spójrzmy na kilka przykładów.

Dominująca w myśleniu o Australii większości autorów, którzy podjęli próbę opisanie tego miejsca, refleksja o dystansie dzielącym ten kraj od Polski i Europy w książce *Życie do góry nogami* ukazana została w nieoczekiwanie konkretny i humorystyczny sposób:

Zaczęło się od rachunku za telefon. Z Australii jest strasznie daleko do całego świata, no i do Polski też, a przecież z okazji świąt Bożego Narodzenia trzeba pozdrowić rodzinę i wszystkich przyjaciół. Normalnie wysyła się kartki świąteczne [...]. Mamusia kupiła nawet mnóstwo ślicznych kartek z kangurami poprzebieranymi za Świętych Mikołajów, z palmami przystrojonymi jak choinki i ze strusiami emu niosącymi prezenty dla dzieci, ale żadnej nie wysłała. Myślała, że tatuś wypisze te życzenia, w końcu to on jest u nas od pisania, a tatuś myślał, że robi to mamusia. Musieliśmy więc do wszystkich dzwonić. [...] Bardzo lubię rozmawiać przez telefon, więc każdemu wszystko dokładnie opowiadałam. [...] Strasznie było wesoło! Więc kiedy rodzice zniknęli gdzieś w ogrodzie, zadzwoniłam jeszcze do Magdy w Szczawie, i do Marchewki w Warszawie, i do Aleksandra w Monachium, i wszystkim złożyłam życzenia i opowiedziałam, jak to jest w Australii. Ale się zdziwili!

Tatuś też się zdziwił, kiedy zobaczył rachunek za telefon, a mamusia się przeraziła<sup>33</sup>.

---

<sup>32</sup> I znów odnotować trzeba, że jest to element potwierdzony niejako w badaniach nad emigracją, z których wynika, że „Do około 12. roku życia [...] zaznacza się silne związanie dzieci z rodzicami, uznawanie ich autorytetu, podporządkowanie się ich woli i uzależnienie od nich. Osoby, które na obczyźnie się urodziły lub przyjechały w wieku niemowlęcym lub przedszkolnym, przeważnie od razu akceptują otaczającą je rzeczywistość. Również te, które pamiętają poprzednie życie, mogą nie zauważać znaczących zmian – poza utratą tego, co było znane, bliskie, czyli na przykład: własnego pokoju, kącika, zabawek, psa, przedszkola, dziadków itp.”. E. LIPiŃSKA: *Polskość w Australii...*, s. 39. Podobna perspektywa wylania się z rekonstruowanych w książce doświadczeń ośmioletniej narratorki.

<sup>33</sup> J. KACZMARSKI, P. VOLNY: *Życie do góry nogami*. Warszawa 2004, s. 48–49. Wszystkie cytaty z utworu pochodzą z tego wydania, po cytatach podaje numery stron.

Postrzegane z perspektywy dziecka oddalenie australijskiego kontynentu od dawnego życia, dawnych, pozostawionych w Europie przyjaciół zostaje tutaj przedstawione za pomocą bardzo wyrazistego konkrety: wysokiego rachunku za telefon. Dziecięcy narrator pozwala niejako uniknąć konieczności snucia bardziej filozoficznych refleksji na temat kondycji emigranta, tęsknoty do dawnego życia czy poczucia osamotnienia. Dla szybko i dość entuzjastycznie adaptującego się do nowych warunków dziecka owa odległość dzieląca nowy dom od starego ma wyłącznie praktyczne konsekwencje.

Powtarzający się równie często w literaturze motyw odwrotności pór roku, który bywał wyzyskiwany symbolicznie, w celu podkreślenia obcości, odmienności przeżyć, które stają się udziałem emigrantów i podróżników, kreujący wrażenie inności, dziwności „kraju w dole globusa”, tutaj również relacjonowany jest w sposób pozbawiony jakiegokolwiek komentarza, sprowadzony do dość rzeczowego opisu, powiązanego z dostępnymi dziecku obserwacjami. Czytamy zatem:

Babcia przyjechała do nas w marcu, czyli jak już była u nas jesień, a mimo to skarżyła się, że jest za gorąco. Mówiliśmy jej, że w lutym to było gorąco, przez tydzień co najmniej czterdzieści stopni, a od marca jest po prostu przyjemnie ciepło. To zresztą widać po psach. W styczniu Sun w ogóle nie chciał wychodzić na spacer, tylko leżał w cieniu i dyszał albo gonił węża do podlewania ogrodu, żeby się napić. A od nastania jesieni obaj z Rolmopsem sami się proszą co wieczór o wyprowadzenie.

s. 92

Niejako „zaburzony” w porównaniu z polskim porządek pór roku został tu zaledwie odnotowany za pomocą pozbawionej jakiegokolwiek komentarza wzmianki o początku jesieni przypadającym na marzec, natomiast właściwym przedmiotem zainteresowania staje się owa jesienna pogoda, dla przybyłej z Polski babci wiążąca się ze zbyt wysoką temperaturą. Odmienność australijskiego klima-

tu, który zapewne uznać by trzeba za dość wymagający, z wysokimi temperaturami bez wątpienia dającymi się we znaki przyjeźdnym, tutaj ukazana została w lakonicznej wzmiance o babci, której jest w tym klimacie za gorąco, i rzeczowej informacji dotyczącej zachowania zwierząt domowych.

Kwestią w oczywisty sposób zajmującą i fascynującą dziecko jest odmienność australijskiej fauny. Poza fragmentami ujawniającymi zaciekawienie miejscowymi zwierzętami znajdują się tutaj, rzecz jasna, również uwagi praktyczne – fakt, że niektóre ze zwierząt są jadowite, a zatem stanowią zagrożenie dla zdrowia i bezpieczeństwa ludzi oraz psów czy kotów, zostaje odnotowany w kilku anegdotach z jadowitymi pajakami czy węzami w rolach głównych. Anegdoty te zdradzają różnicę perspektyw świata dziecka i świata dorosłych. To, co małej Patrycji wydaje się jedynie mniej lub bardziej barwną przygodą, u dorosłych budzi niepokój, prowokuje do podjęcia konkretnych działań (reakcja cioci Ewy na ugryzienie psa przez jaszczurkę lub węza) bądź wywołuje strach (panika mamy po ucieczce jadowitego pajaka). Nie wszyscy przedstawiciele miejscowej fauny budzą obawy:

Potem chcieliśmy jeszcze mieć zdjęcie z koalą, ale pani, która opiekowała się koalami, powiedziała, że do tego trzeba być dorosłym. Więc poprosiłam moją mamę, żeby wzięła koalę na ręce, a ja stanę obok. Mama się trochę dziwiła, bo do tego trzeba założyć specjalną kamizelkę, podobno żeby się nie dać podrapać. Ale potem pogłaskała nawet koalę, który wyglądał tak, jakby specjalnie go to nie obchodziło. Mama chyba się obraziła, bo powiedziała potem, że miś śmierdzi. One cały czas siedzą na drzewach i śpią. Zupełnie jak tatuś, kiedy wracał z występów.

Niedługo potem okazało się, że Maja i ja mamy wszy, a mamusia kleszcze.

s. 15

Dziecięca perspektywa, choć podważa wiarygodność pocztówkowych wizerunków sympatycznych misiów, wprowadzając znacznie

mniej „medialne” elementy, skupia się znowu na praktycznej stronie doświadczanych fenomenów. Brak tutaj jakichkolwiek ogólniejszych ocen, dziecięcy narrator nie chce (i nie musi) zmierzać do skonstruowania czytelnego, podporządkowanego wyrazistym regułom obrazu kontynentu australijskiego. Zadowolona się natomiast migawkami, pojedynczymi kadrami z życia w nowym kraju.

Tytuł omawianej książki, *Życie do góry nogami*, wydaje się nawiązywać do rozpowszechnionej w refleksji o Australii (nie tylko wśród Polaków) tradycji ujmowania tego miejsca na ziemi jako sumy zaprzeczeń i odwrotności względem tego, co znane z codziennego europejskiego doświadczenia. Myślenie takie ma bardzo długą tradycję, gdyż – jak przypomina Lucjan Wolanowski – „Od niepamiętnych czasów uczeni w piśmie zastanawiali się, czy może być jakiś zamieszkały ląd w dole globusa”<sup>34</sup>, gdzie ludzie chodziliby głowami w dół. Metaforycznie formuła ta podkreślać ma odmienny porządek, całkowicie sprzeczny z wcześniejszym rytmem życia na antypodach. Wbrew jednak owemu tytułowi książki Jacka Kaczmarskiego i Patrycji Volny, wcale nie wyłania się z tego utworu taki właśnie, zaskakujący swoją specyfiką obraz życia codziennego polskiej rodziny na tym odległym kontynencie. Przywoływane przez dziecięcą narratorkę przykłady „lokalnego kolorytu” nie tylko nie zajmują uprzywilejowanej pozycji, ale – jak starałam się pokazać – relacjonowane są bez zdumienia, jako elementy codziennej egzystencji. Bardziej niż ich możliwe symboliczne znaczenia interesują bowiem autorkę tych spostrzeżeń konsekwencje, jakie dla domowników mogą z owych faktów wynikać (płacz mamy, zdenerwowanie taty). Lokalne specjalności, które serwuje emigrantom nowa, australijska ojczyzna, są przede wszystkim wyzwaniem dla członków rodziny, testem łączącej ich więzi. Nie ukrywa się tutaj, że jest to rodzina specyficzna: dla taty-artysty, którego relacje z żoną i dzieckiem nie są wzorcowe, wyjazd na antypody miał być swoistym remedium na brak czasu dla rodziny i wieczną nerwowość towarzyszącą ich życiu. Opisanie w książce *Życie do góry noga-*

---

<sup>34</sup> L. WOLANOWSKI: *Ani diabeł, ani głębina. Dzieje odkryć Australii opowiedziane ludzom, którym się bardzo spieszy*. Warszawa 1987, s. 10.

mi sceny australijskie dowodzą, że zamysł ten nie do końca udało się zrealizować. Gdy będziemy doszukiwać się w utworze informacji autobiograficznych, zauważymy, że Kaczmarek nie idealizuje relacji rodzinnych, nie próbuje stworzyć wizerunku wzorowego ojca-artysty, który ma wystarczająco dużo czasu oraz cierpliwości dla dziecka, a żonie zapewnia poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa. Taką skłonność Kaczmareka do swoistej samokrytyki można by zresztą dostrzec i w innych jego utworach. Wykreowany w powieści *Autoportret z kanałią* niejednoznaczny portret sobowtóra (a raczej sobowtórów) artysty uwzględniał przecież zarzuty, które kierowano przeciwko samemu autorowi<sup>35</sup>. Oczywiście w przypadku *Życia do góry nogami* ów krytyczny wydźwięk łagodzony jest humorem, będącym konsekwencją wprowadzenia dziecięcego narratora. Perspektywa ośmioletniej córki, która nie analizuje opisywanych zjawisk, nie dostrzega ich złożonych uwarunkowań, ale też nie ocenia, a jedynie po swojemu, dziecięco, naiwnie i często zabawnie tłumaczy, sprawia, że owe mankamenty życia rodzinnego schodzą niejako na plan dalszy.

Dla interesującego mnie w tej pracy zagadnienia, czyli wizerunku Australii, zastosowany w książce *Życie do góry nogami* chwyt narracyjny ma znaczenie fundamentalne. Jak już wspominałam, inność „kraju w dole globusa” sprowadzona została w tej powieści do opisu praktycznych konsekwencji, jakie owe niezwykle fenomeny powodują w codziennym życiu. Potencjalne trudności, które z funkcjonowania w tych nowych warunkach wynikają, są związane nie tyle z innością i egzotyką samego miejsca, ile z nerwowymi reakcjami dorosłych (jadowite pająki, silne wiatry czy lekcje nurkowania męża pogłębiają stany lękowe mamy, która „i tak boi się wszystkiego”, a wysokie rachunki telefoniczne czy równie wysokie mandaty za przekroczenie szybkości, egzekwowane w Australii z bezwzględą skrupulatnością, wyraźnie psują humor tacie). Paradoksalnie więc, mimo wszelkich odmienności, odnotowanych w tekście i anonswanych tytułem książki, życie w Australii w tym najistot-

---

<sup>35</sup> Por. E. KRETKOWSKA: *Oko w oko z sobowtorem. „Autoportret z kanałią” Jacka Kaczmareka w ujęciu psychoanalitycznym*. W: *Zostały jeszcze pieśni...*, s. 294–297.



niejszym – domowym, rodzinnym – sensie nie różni się aż tak bardzo od życia w Europie. Drobne sukcesy przeplatają się z klótniami i sytuacjami stresującymi, momenty satysfakcji z obawami o przyszłość, beztraska zabawa z codziennymi kłopotami. Także w tej historii Australia miała być w pewnym sensie miejscem ucieczki, przestrzenia, która daje dystans do dawnego życia (w tym przypadku oznacza to: życia wypełnionego pracą, w którym brakuje czasu na sprawy najważniejsze). Ale również tym razem plan zawodzi. Po części dlatego, że:

Tata i mama mówili nieraz, że w Australii będzie się żyło spokojnie, bo tu nikt się nie śpieszy, że będziemy mieli na wszystko czas i wreszcie uda się nam być tylko dla siebie. A tymczasem nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek byli tacy zajęci jak właśnie w Australii. Wokół domu i w ogrodzie cały czas jest coś do zrobienia. Trzeba grabić, kopać, przesadzać, przycinać, naprawiać, no i przede wszystkim sprzątać.

s. 76

Konieczność zorganizowania życia od nowa w całkowicie odmiennych warunkach okazuje się zajęciem nad wyraz absorbującym. Nie sposób jednak nie odnieść przy okazji wrażenia, że jeżeli Australia nie wydaje się w opowieści Jacka Kaczmarskiego i Patrycji Volny krajem, w którym ludzie żyją spokojnie, bez zbędnych stresów, może to wynikać nie tylko ze specyfiki samego kraju, lecz także z „bagażu”, który przywieźli z sobą przybysze zza oceanu.

\* \* \*

Większość przywołanych w tym rozdziale obrazów Australii naskicowanych przez polskich emigrantów została zbudowana z podobnych elementów, które obecne są również w relacjach podróżniczych czy innych literackich wizerunkach „kraju w dole globusa” tworzonych przez autorów, którym nie da się przypisać statusu emigranta. I tutaj Australia odsłania swą odmienność, jawi się jako



kraj budzący często zdumienie czy niedowierzanie, jednak na plan pierwszy tym razem wysuwa się konieczność podjęcia próby przełamania tej obcości, oswojenia nowej przestrzeni, a przynajmniej opis sposobu, w jaki poszczególni przybysze próbują sobie z nią radzić w codziennym życiu. Przyjęcie emigracyjnej perspektywy może też sprawić, że (jak ma to miejsce w twórczości Jacka Kaczmareckiego) Australia, nie przestając być miejscem egzotycznym, staje się jednocześnie przestrzenią, która wydobywa i podkreśla ludzkie emocje, obawy, cechy charakteru – takie same zawsze, niezależnie od tego, pod jakim niebem dochodzą do głosu.

## Rozdział V

# Australia we współczesnej literaturze podróżniczej

Zupełnie inaczej niż emigranci spoglądali na Australię ci, którzy przybyli na ten odległy ląd na czas określony – z nadzieją przeżycia niezwyklej przygody i poznania jego odmienności. Wydaje się oczywiste, że w relacjach tych podróżników dominować będzie nastawienie na możliwie wierne i barwne opisanie obserwowanych zjawisk. O ile rzetelność przedstawienia wiąże się z rozbudowaną warstwą informacyjną, o tyle wymóg atrakcyjności dla czytelnika otwiera przestrzeń osobistych autorskich interpretacji (czy wręcz kreacji), które wydają się szczególnie interesujące z punktu widzenia podjętego w tej publikacji tematu. Nie ulega również wątpliwości, że to właśnie literatura podróżnicza w największym stopniu odpowiedzialna jest za budowanie w zbiorowej świadomości Polaków wizerunku Australii i choćby z tego powodu zasługuje, aby bliżej przyjrzeć się najważniejszym tekstom, które można zaliczyć do tej grupy.

### Australia przede wszystkim

W roku 1968 w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” opublikowana została książka Lucjana Wolanowskiego pt. *Pocztą do Nigdy-Nigdy*.

*Reporter w kraju koali i białego człowieka*. Od momentu ukazania się w Krakowie sto lat wcześniej *Opisu podróży do Australii i pobytu tamże od 1852 do 1856 roku* Seweryna Korzelińskiego było to pierwsze tak obszerne przedstawienie australijskiej specyfiki poczynione w języku polskim. Książka Wolanowskiego cieszyła się dużą popularnością, doczekała się pięciu – uzupełnionych i przejranych – wydań (ostatnie w 1989 roku), była również tłumaczona na kilka języków obcych. Australii poświęcił ten autor także inne książki: *Min-Min. Mała opowieść o wielkim lądzie*; *Ląd, który przestał być plotką*; *Ani diabeł, ani głęбина*. *Dzieje odkryć Australii opowiedziane ludziom, którym się bardzo spieszy*, ponato pozostawioną w rękopisie pracę *Nieznana Australia: rzeczywistość przekracza fantazję*<sup>1</sup>. Choć podróżował po całym świecie i opublikował wiele niezwykłych relacji z najróżniejszych jego zakątków, Australia zajmowała w pracy i życiu Wolanowskiego miejsce szczególne. Jako reportażysta specjalizował się właśnie w tym rejonie świata<sup>2</sup>, prywatnie natomiast wspominał:

Choć 8 razy byłem w Australii, chociaż poświęciłem jej 3 książki, to jednak chyba najchętniej znów polecałbym do tego „kraju ponad 5 tysięcy lotnisk” [...]. Polecałbym, bo tam

---

<sup>1</sup> Zajmuję się szerzej trzema spośród wymienionych tu prac. Z oczywistych względów nie poświęcam uwagi *Nieznanej Australii* – książka ta dotąd nie została opublikowana. *Min-Min* dostarcza natomiast w moim przekonaniu mniej atrakcyjnego materiału do analizy niż pozostałe zbiory australijskich opowieści Wolanowskiego zarówno ze względu na swoje niewielkie rozmiary, jak i bardzo eklektyczny charakter. W książce tej zgromadził autor kilka podstawowych informacji z historii Australii, wybrane ciekawostki na temat specyfiki tego kraju, na koniec dorzucił kilka aborygeńskich legend i garść danych statystycznych. W efekcie udało mu się stworzyć coś na kształt wizytówki lub reklamówki „kraju na dole globusa”. Sformułowana w zakończeniu zachęta do odwiedzenia tego miejsca na ziemi potwierdza zarówno fascynację autora tym krajem-kontynentem, jak i chęć przekazania owego entuzjazmu czytelnikom (por. L. WOLANOWSKI: *Min-Min. Mała opowieść o wielkim lądzie*. Warszawa 1977).

<sup>2</sup> Autor wspomina o tym w wywiadach. Zob. *Wywiady z Lucjanem Wolanowskim 1959–1989*. Zebrał i opracował M. KUBIK. W: *Wokół reportażu podróżniczego*. T. 3: *Lucjan Wolanowski (1920–2006)*. *Studia – szkice – materiały*. Red. D. ROTT, M. KUBIK. Katowice 2009.

w Sydney mieszka moja córka farmaceutka, bo tam zawsze zdarzyć się może coś nieoczekiwanego<sup>3</sup>.

Pisarstwo Wolanowskiego może budzić (i budzi) wśród znawców sporo wątpliwości genologicznych. Trudno jednoznacznie zaklasyfikować jego teksty sytuujące się na granicy reportażu, powieści i felietonu<sup>4</sup>. Sam autor uważał się chyba przede wszystkim za reportera. W wywiadzie poświęconym swoim australijskim reportażom wymienił ich charakterystyczne cechy. Stwierdził:

Nie mam ambicji ani kwalifikacji do pisania dzieł naukowych. Żyję anegdotą, staram się pokazać to, co zwykle się nazywać „the human side of the story”, czyli ludzką stroną opowieści<sup>5</sup>.

Choć reportaże Wolanowskiego są niezwykle erudycyjne, prezentują bogatą wiedzę na temat każdego opisywanego fenomenu, dla autora najważniejsza była umiejętność operowania anegdotą. W ciekawy, zabawny, lekki sposób przekazywał wiedzę o kraju, który nie tylko dla Polaka pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku był ziemią nieznana. Wolanowski deklaruje bowiem:

Zaryzykuję stwierdzenie, iż pokazuję mym Czytelnikom Australię, której przeciętny Australijczyk sam nigdy w życiu nie ogląda. I może nie będzie oglądał nigdy, jako że ja pływałem z australijską flotą wielorybniczą, a wielorybnictwo jest teraz w Australii zakazane. Przeciętny Australijczyk nie popłynie na statku obsługującym latarnie morskie na wysepkach Morza Koralowego, jako że nie zabiera on pasażerów. [...]

---

<sup>3</sup> Cyt. za: A. TUMIALIS: *Podróże Wolanowskiego. Cztery razy dookoła świata*. „Gazeta Uniwersytecka UŚ” 2006, kwiecień (dodatek specjalny), s. 7.

<sup>4</sup> O gatunkowej specyfice tej twórczości pisze Anna WOŹNIAKOWSKA: *Globtroter, rasowy reporter, koneser bumerangów. Lucjan Wolanowski w oczach krytyków*. W: *Wokół reportażu podróżniczego...*, T. 3, s. 127–130.

<sup>5</sup> *Nawiedzony Australię*. „Bumerang. Biuletyn Towarzystwa Polska – Australia” 1989, nr 1. Podaje za: *Wywiady z Lucjanem Wolanowskim 1959–1989...*, s. 219.

Latałem z Królewską Służbą Latającego Doktora, rozwoziłem pocztę w Krainie Nigdy-Nigdy, byłem w kopalni złota i w wielkich kopalniach rudy żelaznej. Przeciętny Australijczyk nie pojedzie na Wyspę Czwartek, ani na wyspę Norfolk, bo to jest bardzo daleko od miast na południu Australii<sup>6</sup>.

Każdy reportaż nastawiony jest na przekaz konkretnych informacji, stanowić ma rodzaj sprawozdania z wydarzeń, których piszący był świadkiem, w których bezpośrednio uczestniczył lub na których temat zgromadził wystarczająco dużo dokumentów czy relacji, żeby móc owe wydarzenia wiarygodnie przedstawić<sup>7</sup>. Zasada ta dotyczy również reportażu podróżniczego<sup>8</sup>. Nie ulega wątpliwości, że teksty zgromadzone w tomach *Pocztą do Nigdy-Nigdy* i *Ląd, który przestał być plotką* w pełni wpisują się w taki schemat. Reporter nie tylko stara się uczestniczyć w rozmaitych przedsięwzięciach, doświadczyć i zrelacjonować z autopsji różnego rodzaju australijskie fenomeny, lecz także skrupulatnie zbiera opinie mieszkających tam ludzi, zapoznaje się z dostępnymi dokumentami, pracami naukowymi, rocznikami statystycznymi, aby tym lepiej skonstruować pełniejszy, bardziej adekwatny obraz „kraju w dole globusa”. W książce *Ani diabeł, ani głęбина*, mającej nieco inny charakter niż dwie wcześniej wymienione, bo koncentrującej się wyłącznie na dziejach odkryć tego kontynentu, autor z konieczności ogranicza się do relacji tworzonej na podstawie zachowanych dokumentów i różnorodnych wielojęzycznych opracowań. Aby zrelacjonować zdarzenia, których sam nie widział, Wolanowski sięga po metodę „logicznej fantazji”; tłumaczy tę metodę w innym miejscu:

staram się możliwie wiernie przedstawić wydarzenia, których nie oglądałem, tak jak gdybym był ich świadkiem. A więc, choć nie byłem na słynnym procesie „męczenników z Tol-

---

<sup>6</sup> Ibidem.

<sup>7</sup> M. WOJTAK: *Analiza gatunków prasowych*. Lublin 2010, s. 122.

<sup>8</sup> A. REJTER: *Kształtowanie się gatunku reportażu podróżniczego w perspektywie stylistycznej i pragmatycznej*. Katowice 2000, s. 59.

puddle" w 1833 roku, to opierając się na źródłach, staram się przedstawić to wydarzenie jak gdyby z ławy prasowej<sup>9</sup>.

Wizerunek „kraju w dole globusa” wyłaniający się z prac Lucjana Wolanowskiego jest zatem wizerunkiem złożonym, chciałoby się powiedzieć: kompletnym, autora interesuje bowiem wszystko: historia i teraźniejszość, przyroda i bogactwa naturalne, ludność tubylcza i wielokulturowe społeczeństwo współczesnej Australii, sprawy „wagi państwowej” i styl życia mieszkańców (jak deklaruje reporter: „aby dowiedzieć się czegoś o dalekim kraju, trzeba się wybrać kilka razy po zakupy z panią domu”<sup>10</sup>).

Oczywiste jest, że ze względu na tak całościowe ujęcie problematyki australijskiej część zawartych w książkach Wolanowskiego informacji musiała się przeterminować, ponieważ od czasu, kiedy autor ten zaczął pisać o Australii, w tym kraju i jego społeczeństwie zaszły liczne zmiany. Dostrzegał to zresztą reporter i wprowadzał modyfikacje oraz uaktualnienia w następnych wydaniach *Pocztę do Nigdy-Nigdy* czy też podejmował podobne wątki w swojej kolejnej pracy, *Lądzie, który przestał być plotką*, przedstawiając je jednak w nowy, podyktowany zmienionymi okolicznościami sposób. Dla prowadzonych tutaj rozważań ciekawsze są jednak dwie kwestie: na ile prezentowane przez Wolanowskiego relacje mają charakter komentarza, tłumaczącego we właściwy reporterowi sposób australijskie fenomeny, i jak mocno wpisana jest w te opowieści sama postać narratora, czy jest tutaj eksponowana, czy wręcz przeciwnie: znika za bogactwem przekazywanych czytelnikowi treści. Te dwa zagadnienia łączą się z sobą i można je sprowadzić do pytania o to, czy w omawianych pracach mamy do czynienia z „Australią Wolanowskiego” (specyficzną konstrukcją powołaną do życia na bazie faktów, obserwacji i wiedzy, ale przefiltrowaną przez osobiste przekonania, preferencje i wrażliwość piszącego), czy też z „Australią jako taką” (czyli próbą możliwie wiernego od-

<sup>9</sup> L. WOLANOWSKI: *Ląd, który przestał być plotką*. Warszawa 1983, s. 10–11. Podobną strategię stosuje Wolanowski we wszystkich swoich australijskich książkach.

<sup>10</sup> Ibidem, s. 275.

tworzenia wizerunku „kraju w dole globusa”, takiego, jaki było dane poznać podróżnikowi).

Podczas poszukiwania odpowiedzi na pytanie o pozycję, jaką zajmuje w tekście narrator, warto się przyjrzeć inicjalnym fragmentom australijskich opowieści Wolanowskiego, tropiąc w nich znaki zapowiadające realizowaną przez niego strategię. W najpełniejszym, poszerzonym wydaniu *Poczty do Nigdy-Nigdy* z roku 1978 początek opowieści ukształtowany został w sposób bardzo charakterystyczny. Pierwszy rozdział poprzedzony jest niejako niewielkim fragmentem ukazującym obrazek gdzieś z głębi Australii: spokojny poranek z feerią barw, okrzykami papug i wymienionymi „z imienia” charakterystycznymi miejscowymi zwierzętami (kangur, emu) w pewnym momencie zostaje zakłócony dźwiękiem silnika niewielkiego samolotu:

To teraz już bywalec tych stron, to leci POCZTA DO NIGDY-NIGDY<sup>11</sup>.

W ten sposób autor nie tylko wyjaśnia tytuł swej książki, lecz także dokonuje bardzo istotnej hierarchizacji. Australia jako przedmiot tej opowieści zostaje wysunięta na plan pierwszy, natomiast wszelkie zabiegi autoprezentacyjne, choć wyraźnie widoczne w rozdziale pierwszym, odgrywają tu rolę służebną wobec celu nadrzędnego, jakim jest przekazanie bogatego i barwnego wizerunku „kraju w dole globusa”. Postać reportera, choć mocno zaznaczona w tekście, nigdy nie staje się zresztą celem opisu samym w sobie – pojawia się zazwyczaj, aby uwiarygodnić czy uatrakcyjnić opowieść. Wprowadzenie autora do tekstu służyć ma również zbudowaniu relacji z czytelnikiem, do którego często i chętnie będzie się reporter zwracał – zawsze w celu ożywienia zainteresowania odbiorcy, nigdy po to, aby odsunąć na plan dalszy relację z dalekiego kraju.

*Ląd, który przestał być płotką* otwiera następujący passus:

---

<sup>11</sup> L. WOLANOWSKI: *Pocztą do Nigdy-Nigdy. Reporter w kraju koali i białego człowieka*. Warszawa 1978, s. 10.

Już w roku 150 p.n.e. astronom Hipparch z Nikei uczył, że doskonała równowaga, w jakiej znajduje się kula ziemską, wymaga, aby masy lądu na półkuli północnej miały swój odpowiednik na półkuli południowej. Wyobrażano sobie, że istnieje nieznany kontynent południowy, terra australis incognita. Za czasów Haruna al-Raszyda opowiadali żeglarze arabscy o przedziwnych stworzeniach na dalekim lądzie, które noszą swe dzieci w torbach. [...] Wszystko, co do XVII stulecia Europa wiedziała o Australii, opierało się na domysłach i pogłoskach. Teraz, gdy XXI wiek jest już niemal za progiem, posłuchajcie, proszę, opowieści o tym dalekim kraju. Oto jest ląd, który przestał być plotką<sup>12</sup>.

Widać wyraźnie, że na pierwszy plan znów wysuwa się tutaj poznawany kontynent, dopiero w końcowym fragmencie cytowanego tekstu pojawia się odbiorca (wprowadzony za pomocą czasownika w drugiej osobie liczby mnogiej trybu rozkazującego: „posłuchajcie”). Nadawca natomiast w ogóle nie zostaje bezpośrednio ujawniony, funkcjonuje niejako domyślnie jako autor owego przekazu skierowanego do czytelnika. Wnioskując na podstawie tego inicjalnego fragmentu książki, prezentowane w niej relacje zaliczyć by można do typu nastawionego na „uwypuklenie przedmiotu podróży” – relacja pomiędzy nadawcą a odbiorcą znajduje się „na drugim planie w stosunku do przedmiotu podróży”<sup>13</sup>. Wprawdzie już wstępny fragment pierwszego rozdziału wydaje się nieco zmieniać te proporcje – więcej miejsca zajmuje tu bowiem właśnie podkreślanie (i budowanie) relacji nadawczo-odbiorczej – w dalszym ciągu trudno jednak uznać ją za dominującą i odsuwającą na plan dalszy sam przedmiot opisu. Zacytujmy dwa pierwsze akapity:

Od „abalone” do „zygophyllaceae”. Brzmi to interesująco, prawda? Taka jest oferta, którą przedstawia swym czytelnik-

---

<sup>12</sup> L. WOLANOWSKI: *Ląd, który przestał być plotką...*, s. 7.

<sup>13</sup> Por. typologia przedstawiona w pracy Artura REJTERA: *Kształtowanie się gatunku reportażu...*, s. 50, 55.



kom encyklopedia australijska. Pierwsze jej hasło to jadalny mięczak mający opalizującą skorupkę. Ostatnie zaś, na którym można złamać język, to odmiana rosnących na pustyni traw. Łącznie 2,4 miliona słów napisanych przez 300 autorów, cena 149 dolarów.

U mnie jest taniej. Cena konkurencyjna. Autorem jestem jedynym, no, prawie jedynym, gdyż raz po raz sięgam do wszelkich źródeł, jakie są tylko dostępne. Wybaczcie, ale za te pieniądze nie macie prawa wymagać, abym osobiście studiował paskudne obyczaje australijskich żmij czy też badał wraki spoczywające od stuleci w zdradliwych wodach cieśniny Torresa. Na pewno też nie ma w tej książce 2,4 miliona słów. Jest natomiast słowo honoru autora, iż starał się, jak mógł, aby było ciekawe i do czytania<sup>14</sup>.

Znów na początku Australia: przywołana tutaj bezpośrednio – dzięki nazwom charakterystycznym dla australijskiej fauny i flory – i pośrednio – przez odesłanie do encyklopedii katalogującej te niezwykłości. Dopiero w drugim akapicie zaznacza swą obecność autor, wypowiadając się w pierwszej osobie, warto jednak podkreślić, że jego „wprowadzeniu” towarzyszy tutaj zwrot do czytelnika. Ten charakterystyczny zabieg ma podkreślać, że tym, co szczególnie istotne dla Wolanowskiego, jest nie eksponowanie osoby reportera, jego subiektywnego sposobu postrzegania doświadczanych fenomenów, ale właśnie nastawienie na swoistą interakcję z odbiorcą. Autor pragnie adresata zainteresować, pozyskać jego uwagę, oczarować go, a może także uwieść swą opowieścią, która ma być „ciekawa i do czytania”. Budowanie takiej relacji pomiędzy reporterem a czytelnikiem nie stanowi jednak celu samego w sobie, ma ono lepiej służyć przekazaniu (i przyswojeniu) wiadomości o opisywanym kontynencie, którego poznanie i zaprezentowanie pozostaje najważniejszym zadaniem do zrealizowania w tej książce. Stąd też zapewne pochodzi poczyniona w owym rozdziale wstępny deklaracja:

---

<sup>14</sup> L. WOLANOWSKI: *Ląd, który przestał być plotką...*, s. 9.

nie będzie biadolenia na temat, że było mi akurat gorąco czy zimno, gdyż uważam, że czytelnika mało to obchodzi<sup>15</sup>.

Wolanowski obiecuje (i trzyma się danego słowa wytrwale), że nie jego własne przeżycia i odczucia, ale odległy ład na krańcach globu to właściwy temat reporterskiej opowieści. Oczywiście, osoba reportera pozostaje niejako „gwarantem” autentyczności relacji. Jak pisze Wolanowski:

nie mam tutaj innego celu, jak tylko opowiedzieć o tym w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Ja widziałem, ja słyszałem, opowiadano mi, przeczytałem, znalazłem w źródłach<sup>16</sup>.

W żadnym momencie owej relacji reporter nie jest jednak jej przedmiotem.

Podobnie interpretować można strategię zastosowaną w książce *Ani diabeł, ani głęбина*. Inicjalny akapit otwierający pierwszy rozdział tej opowieści poświęcony jest w całości opisowi jednego z australijskich fenomenów (a mianowicie błędnego ognia, który zdaje się unosić nad pustynią). Nadawca ujawnia się dopiero w drugim akapicie – za sprawą jednego tylko zaimka:

Jednakże m n i e zafrapowało wyjaśnienie mniej naukowe<sup>17</sup>.

Reporter zaznacza w ten sposób własne preferencje, skłaniając się raczej ku nienaukowej interpretacji owych błędnych ogników jako ognisk dawnych wędrowców, którzy życiem przypłacili swą pasję poznawczą. Wprowadza co prawda w ten sposób autorskie „ja” w przestrzeń reporterskiej relacji, nie determinuje ono jednak przekazu ani w żaden wyraźny sposób go nie modeluje, skoro to bliższe piszącemu wytłumaczenie pada dopiero po przywołaniu eksplikacji naukowej. Ponownie zatem ustanowiona tu zostaje

<sup>15</sup> Ibidem, s. 31.

<sup>16</sup> Ibidem, s. 31–32.

<sup>17</sup> L. WOLANOWSKI: *Ani diabeł, ani głęбина. Dzieje odkryć Australii opowiedziane ludzom, którym się bardzo spieszy*. Warszawa 1987, s. 8, podkr. – M.B.

(przestrzegana w całej książce) hierarchia, zakładająca pierwszeństwo „przedmiotu podróży” nad osobą podróż ową relacjonującą.

Celem strategii zastosowanej przez Wolanowskiego we wszystkich trzech przywołanych książkach jest możliwie dokładne opisanie Australii, zaprezentowanie jej czytelnikowi w sposób, który pozwoliłby odbiorcy zrozumieć jej odmienność, nie eliminując jednocześnie owego elementu zdumienia i fascynacji krajem całkowicie innym niż wszystko, co przeciętny Polak (czy Europejczyk) zna z codziennego doświadczenia. Kiedy zatem reporter deklaruje na przykład:

Nawet na tle tych mnogich niezwykłości, w które tak obfitują dzieje Australii, opowieści o odkryciu złota w poszczególnych rejonach wielkiego lądu zaliczają się do tych, o których się mawia, że rzeczywistość przekracza najbujniejszą fantazję<sup>18</sup>

– lub:

To dziwny kraj, ta Australia!<sup>19</sup>

– nie tyle ujawnia tak swoje prywatne emocje czy też pragnie uporządkować relację z australijskiej podróży własnemu sposobowi myślenia o świecie, ile chce wzbudzić zainteresowanie czytelnika, wywołać u niego zdziwienie, które zresztą w toku dalszej lektury zazwyczaj zanika za sprawą bogatych eksplikacji, czerpanych z wszystkich dostępnych źródeł i precyzyjnie przekazywanych szczegółowych informacji. Stefan Kozicki, na długo przed ukazaniem się australijskich książek Wolanowskiego, charakteryzując jego strategię reportażową, komentując zbiór jego tekstów o Polsce Ludowej, zauważył, że cechą wyróżniającą sposób pisania tego autora jest „retrospekcja historyczna, osadzanie współczesnych faktów społecznych, ekonomicznych czy nawet losów jednostki na tle historii lat ubiegłych, na tle bogatej, mozolnie wyszperanej dokumentacji archiwalnej”<sup>20</sup>. Wydaje się, że ten rys reporterskiego

<sup>18</sup> L. WOLANOWSKI: *Pocztą do Nigdy-Nigdy...*, s. 585.

<sup>19</sup> Ibidem, s. 111.

<sup>20</sup> S. KOZICKI: *Przeważnie o reportażu*. „Nowa Kultura” 1954, nr 29–30, s. 11.

warsztatu Wolanowskiego nie zanika w jego książkach podróżniczych. Aby wytłumaczyć zjawiska odmienne, ciekawe, trudne do zrozumienia, autor sięga po bardzo różnorodne źródła, chętnie osadza też opisywane fenomeny na szerokim, dobrze zrekonstruowanym tle historycznym, czyniąc przeszłość nie tylko przedmiotem „archeologicznego” zainteresowania, lecz także kluczem do zrozumienia teraźniejszości. Mimo tych wysiłków i imponującego zasobu zgromadzonych i przekazanych czytelnikowi informacji, nie ulega ani pokusie pouczenia odbiorcy, który nie wie tego, co wie autor<sup>21</sup>, ani łatwemu złudzeniu, że poznał i zrozumiał Australię<sup>22</sup>. Ten dystans do siebie i własnej narracji czyni lekturę książki Wolanowskiego atrakcyjną dla czytelnika, ale też wzbudza zaufanie do reportera, który uczciwie oznacza w swej relacji miejsca niepewne, wątpliwe, nie do końca jasne dla niego samego.

Mimo tego, że australijskie reportaże nastawione są przede wszystkim na przekaz informacji o tym kraju, myliłby się ten, kto spodziewałby się w tych książkach wyłącznie opisów poszczególnych miejsc, zwierząt czy roślin albo opowiadania o zdarzeniach, których piszący był świadkiem lub uczestnikiem. W książkach Wolanowskiego rozważania często wykraczają poza „czystą” charakterystykę Australii i próbę zarysowania pewnych uniwersalnych kwestii dotyczących tego niezwykłego miejsca. Zazwyczaj przeradzają się w rodzaj komentarza: „nadawca w y j a ś n i a zaobserwowane podczas podróży zjawiska, różnice kulturowe”<sup>23</sup>. We fragmentach tych często dochodzi do głosu bardziej osobista, autorska perspektywa, to właśnie doświadczenia reportera, jego indywidualny styl myślenia i łączenia faktów decydują bowiem o charakterze owego komentarza. Kiedy zatem zauważa Wolanowski:

<sup>21</sup> „Wyobrażam sobie, że nikt nie lubi, gdy go ktoś poufale klepie po plecach i powiada: »ja wiem – a ty nie wiesz«. Więc i ja obiecuję, że nie zajmę takiej postawy, tym bardziej, iż jest wiele spraw, które sam nie bardzo pojmuję, a więc ostrożnie muszę je tłumaczyć czytelnikowi”. L. WOLANOWSKI: *Ląd, który przestał być plotką...*, s. 10.

<sup>22</sup> „[...] daleki jestem od twierdzenia, iż z n a m Australię. Zaryzykuję natomiast i rzeknę, że dużo widziałem w Australii”. L. WOLANOWSKI: *Poczta do Nigdy-Nigdy...*, s. 75–76.

<sup>23</sup> A. REJTER: *Kształtowanie się gatunku reportażu...*, s. 113.

Dzieje Australii to dzieje ładu. Wielkie przestrzenie uczyniły z Australijczyków najbardziej latający naród świata, ich filmy czy literatura opiewają samotnie na bezludziu. A przecież tylko co dziesiąty Australijczyk nie mieszka na wybrzeżu. Ich kontynent oblewany jest przez dwa wielkie oceany, a mimo to ich tradycje morskie są ubogie. Statki, które przewożą ich towary w szeroki świat, zbudowane zostały często w stoczniach zagranicznych, załogi rekrutują się przeważnie z narodów Europy. Nieliczni są ci Australijczycy, którzy marzą o bezkresnym oceanie. Młodzi chłopcy, których wabi wielka przygoda, uciekają w busz, a nie do marynarki<sup>24</sup>

– daleko wykracza poza ścisłe relacjonowanie faktów. Dostrzeżenie swoistej zasady odwrócenia porządku nie egzemplifikuje też jedynie powtarzanej przez autora wielokrotnie (nieco żartobliwej i prowokacyjnej) tezy, że „w Australii wszystko jest na odwrót”<sup>25</sup>. Połączenie faktów będące wynikiem zarówno poznania kraju-kontynentu, jak i zdobytej na jego temat wiedzy skłania Wolanowskiego do sformułowania spostrzeżenia, które z jednej strony uwiadamia rozdzźwięk pomiędzy stereotypowym postrzeganiem tego miejsca a jego prawdziwym wizerunkiem, z drugiej zaś stanowić może ciekawy przyczynek do scharakteryzowania australijskiej specyfiki. Co ciekawe, podobną intuicję znaleźć można na przykład w książce Donalda Horne’a *The lucky country – Australia in the sixties*. Autor śledzi w niej analogiczne paradoksy dostrzegane przez niego w australijskim społeczeństwie, choć przeciętni Australijczycy zazwyczaj nie są ich świadomi. Chodzi na przykład o to, że kraj kojarzący się z ciepłym klimatem, pięknymi plażami, a w związku z tym z miłym sposobem spędzania czasu i nastawieniem na przyjemniejsze strony życia stosunkowo długo zachował instytucje z owymi „przyjemnościami” sprzeczne (jak cenzura czy zakaz zawierania zakładów). Podobnie komentuje autor zamiłowanie Australijczyków do spędzania czasu w galeriach, choć w po-

---

<sup>24</sup> L. WOLANOWSKI: *Pocztą do Nigdy-Nigdy...*, s. 475.

<sup>25</sup> Ibidem, s. 329.

równaniu z europejskimi czy amerykańskimi trudno ich zbiory uznać za szczególnie atrakcyjne<sup>26</sup>.

W przywoływanej już wypowiedzi na temat tomu *Przeważnie o ludziach* Stefan Kozicki pisał, że „Wolanowski [...] ocenia reportaże przede wszystkim użytkowo, przede wszystkim od strony jego wartości poznawczych”<sup>27</sup>. To samo powiedzieć można o reportażach australijskich, które są bez wątpienia źródłem ciekawych informacji na temat egzotycznego lądu. Przyjęcie takiej perspektywy nie czyni jednak z książek Wolanowskiego po prostu przewodników turystycznych, dostarczających niezbędnych informacji na temat miejsc, które warto odwiedzić. Autor bowiem nie tylko opisuje owe interesujące (również turystycznie) „atrakcje” Australii, lecz także – jak już wspomniałam – dostarcza obszernych wiadomości na temat historii, teraźniejszości, stylu życia, mentalności, polityki, kultury i właściwie wszystkich możliwych do pomyślenia dziedzin życia czy ludzkiej aktywności. Nastawienie na przedmiot podróży i użyteczność reportażu powoduje, że właśnie walor poznawczy wydaje się najważniejszym aspektem omawianych prac. Natomiast relacja nadawczo-odbiorcza funkcjonująca w tekście (jako odgrywająca rolę służebną wobec tego nadrzędnego celu) ma za zadanie uatrakcyjnić narrację, pozyskać zainteresowanie (a czasem zaangażowanie emocjonalne) czytelnika, skupić jego uwagę. Temu służy wpłatanie przez Wolanowskiego w tekst jego australijskich relacji anegdota czy żarty. Mogą one mieć walor jedynie humorystyczny, czasem jednak dowcipnie obrazują jakieś poczynione przez reportera spostrzeżenie. W takiej funkcji występuje na przykład anegdota o Polaku, który chciał wyjaśnić reporterowi tajniki życia na Nowej Gwinei:

„Nowa Gwineja? To się wyśmienicie składa, świetnie pan trafił, ja to zaraz panu dokładnie wyjaśnię...” Po tym wstępie usłyszałem prawie godzinny wykład na temat Nowej Gwinei. Nie bardzo się to wszystko trzymało kupy, więc zapytałem ro-

<sup>26</sup> D. HORNE: *The lucky country. Australia in the sixties*. Adelaide 1968, s. 39, 78, 79.

<sup>27</sup> S. KOZICKI: *Przeważnie o reportażu...*, s. 11.

daka nieśmiało, kiedy był na Nowej Gwinei. Jak się okazało, sam to nigdy nie był, ale gdy chodził jeszcze do gimnazjum w Aleksandrowie Kujawskim, to tam w siódmej klasie dawnego typu pan od geografii szczegółowo to przerabiał...<sup>28</sup>

Anegdota ta potwierdza sformułowane na wstępie przez autora żartobliwe spostrzeżenie, że „każdy Polak zna się na wszystkim i wie wszystko”. Przy okazji pośrednio potwierdza ważność reportaży opartych na doświadczeniu zdobytym podczas autentycznych wędrówek po odległych lądach.

Uatrakcyjnieniu lektury służą też bez wątpienia tytuły kolejnych rozdziałów i podrozdziałów książek Wolanowskiego. Poza wprowadzeniem w tematykę poruszaną w danej części opowieści owe tytuły zdradzają często poczucie humoru autora i jego skłonność do intertekstualnych gier (na przykład: *To, co zawsze chciałeś wiedzieć o Australii, ale o co wstydziłeś się zapytać*; *Zamknij oczy i myśl o Anglii*; *Wyruszam do Australii, nie opłakujcie mnie*). Przedmiotem intertekstualnych odniesień (nie tylko w tytułach) jest często literatura polska. Na przykład w podrozdziale *Zemsta za mur graniczny* nie tylko samym tytułem czyni autor aluzję do komedii Aleksandra Fredry, lecz także konflikt pomiędzy stanami Wiktoria i Australia Południowa o „słupki graniczne i 54 mile kwadratowe morza”<sup>29</sup> wpisuje w schemat znany z tego właśnie utworu, a sam spór określa jako najdroższą i z największym w dziejach rozmachem zrealizowaną inscenizację sztuki polskiego pisarza.

Odniesienia do polskich kontekstów literackich czy kulturowych służą też często eksplikacji omawianych zagadnień. Kwestie, które w ocenie autora mogłyby budzić niezrozumienie czy opór czytelników, bywają opatrywane odesłaniem do polskiej tradycji, czyli czegoś, co jest odbiorcy bliskie. I tak na przykład informacje o bandzie Neda Kelly’ego i legendzie, jaką owiana jest rabunkowa działalność tej grupy, zostają tu osadzone w odpowiednim kontekście:

---

<sup>28</sup> L. WOLANOWSKI: *Pocztą do Nigdy-Nigdy...*, s. 266.

<sup>29</sup> Ibidem, s. 73.



Każdy naród ma swych bohaterów, działających na wyobraźnię ludu. Są to czasem przywódcy w walce przeciw przemocy, czasem zaś ci, którzy w obliczu niezwykłych przeciwności życiowych przejawili niecodzienne męstwo. W Polsce historyczna postać Janosika przez trzy wieki zapładniała wyobraźnię pieśniarzy i pisarzy. Australia, kraj w dole globusa, zachowała też wiele uwielbienia dla swych rozbójników<sup>30</sup>.

Dzięki takiemu wprowadzeniu historia Neda Kelly'ego i innych postaci tego pokroju nie świadczy o niezrozumiałej skłonności Australijczyków do upamiętniania dokonań przestępców, ale ukazuje dość uniwersalny rys ludzkiej natury, ludzie bowiem z jednej strony darzą sympatią buntujących się przeciwko wszelkiej niesprawiedliwości (nawet jeśli bunt ten realizuje się środkami niezgodnymi z prawem), z drugiej zaś uwielbiają jednostki obdarzone ponadprzeciętną siłą, determinacją, odwagą czy fantazją.

Owa atrakcyjność opowieści – osiągana również poprzez wpłatanie w jej tok anegdot tyleż zabawnych, co niezwykłych, zaskakujących czy wręcz sensacyjnych – wydaje się dobrze zakorzeniona w tradycji formy reportażowej. Jak przypominają autorzy opracowania *Gatunki dziennikarskie. Teoria. Praktyka. Język*: „trzeba pamiętać, że praprzodkiem reportażu była też plotka, wymyślana na miejsce brakującej informacji. Jeśli była prawdopodobna, było na nią zapotrzebowanie. W związku z tym plotka jest uwsteczniczoną formą informacji reportażowej. Zawsze przekaz czegoś o kimś wzbudzał sensację. Tak samo jest z reportażem. Z tym, że reportaż ma informować – z założenia – o rzeczach prawdziwych”<sup>31</sup>. Wolanowski znakomicie wpisuje się w tę strategię, gdy ukazuje australijskie fenomeny w aurze niezwykłości, a nierzadko wręcz sensacji. Przytaczając prawdziwe informacje – na przykład o absurdalnym przepisie, na mocy którego przybywający do Australii imigrant może zostać poproszony o napisanie dyktanda w dowolnym europejskim

---

<sup>30</sup> Ibidem, s. 630.

<sup>31</sup> K. WOLNY-ZAMORZYŃSKI, A. KALISZEWSKI, W. FURMAN: *Gatunki dziennikarskie. Teoria. Praktyka. Język*. Warszawa 2006, s. 58–59.



języku – obudowuje je szczegółami, które wzmacniają niezwykłość, budzą zainteresowanie i emocje czytelnika. W przywołanym przykładzie ów przepis mający na celu ochronę Australii przed napływem „niepożądanych elementów” ukazany zostaje w indywidualnej historii pewnej Irlandki, historii, w której oprócz wielkiej polityki występują elementy ekscytujące dla odbiorcy (a będące też często pożywkami dla plotek), jak romans, zazdrość i zdrada.

W australijskich książkach Lucjana Wolanowskiego wiele jest wypowiedzi o charakterze autotematycznym, zdradzających sposób myślenia autora o praktykowanej przez niego formie reportażu podróżniczego. Wiele z tych wypowiedzi było już cytowanych, na zakończenie chciałabym przywołać jeszcze jeden fragment tego rodzaju. W *Poczcie do Nigdy-Nigdy* zanotował reporter następującą opinię na temat swojego pisarstwa:

To taka gawęda o tym, co widziałem, zaś w gawędzie różne wątki pojawiają się i znikają, wtedy rozmowa jest bardziej ożywiona, bardziej potoczysta<sup>32</sup>.

Porównanie do gawędy należy traktować z daleko posuniętą ostrożnością, nie ulega jednak wątpliwości, że wydobywa ono pewien aspekt reportażu, który prawdopodobnie miał dla autora największe znaczenie. Gawęda to bowiem forma stanowiąca niejako zapis „opowieści mówionej, wygłaszanej w okolicznościach towarzyskich i kierowanej do konkretnych słuchaczy, którzy mogli ingerować w jej tok”<sup>33</sup>. Zarówno sam sposób pisania reportażu Wolanowskiego (język żywy, zbliżony do mowy potocznej, operujący żartem), jak i dbałość o relację z odbiorcą, angażowanie go w toczącą się opowieść, domyslanie się jego reakcji i potencjalnych pytań można by uznać za cechy stylu gawędowego. Czynią one z książek Wolanowskiego nie tylko interesujące źródło wiadomości o Australii, lecz także ciekawą i barwną lekturę.

---

<sup>32</sup> L. WOLANOWSKI: *Pocztą do Nigdy-Nigdy...*, s. 77.

<sup>33</sup> J. LYSZCZYNA: *Gawęda*. W: IDEM: *Literatura polskiego romantyzmu*. Warszawa 2002, s. 82–83.

## W klapkach przez pustynię

Jedną z kategorii najczęściej wymienianych przy okazji opisu australijskich fenomenów było zdumienie, niedowierzanie, podejrzenie, że ma się do czynienia z mistyfikacją. Dotyczy to zwłaszcza relacji dawniejszych. Mark Twain historię Australii postrzegał jako serię oryginalnych i zaskakujących kłamstw<sup>34</sup>. Europejscy naukowcy, którzy oglądali po raz pierwszy skórę dziobaka, nie mogli oprzeć się wrażeniu, że mają do czynienia z oszustwem: „Badacze byli tak zdumieni, że stwierdzili, iż to falsyfikat – dziób i stopy ptaka wodnego zostały przyszyte do skóry innego zwierzęcia”<sup>35</sup>. Można by się spodziewać, że wraz ze wzrostem wiedzy o przyrodniczej, historycznej i kulturowej specyfice południowego łądu ten rodzaj zdumienia z relacji australijskich będzie powoli znikał. Nie bez znaczenia jest też fakt, że we współczesnym świecie podróże lotnicze stały się tak powszechne i dostępne, że pokonanie odległości pomiędzy dowolnym miastem europejskim a Sydney, Perth czy Brisbane nie nastręcza szczególnych trudności. Jeszcze Lucjan Wolanowski rozpoczynał swoją relację z wyprawy na antypody od opisu podróży samolotem, zdradzając wyraźne ślady fascynacji tym niezwykłym środkiem transportu:

Czasem pytają mnie o przygody w powietrzu. Odpowiadam, że nie miałem żadnych, gdybym miał – chyba bym nie mógł już opowiadać... Ale tu mała poprawka: w powietrzu wszystko jest przygodą, czego się nie tkniesz – jest inne, dziwne... Zapewniam Cię, Czytelniku, że to jest ciekawy świat<sup>36</sup>.

Wprawdzie w kolejnym zdaniu czytamy:

Już dziś można bez trudu oblecieć naszą planetę rozkładowymi odrzutowcami w dwie doby<sup>37</sup>

---

<sup>34</sup> M. TWAIN: *Following the Equator*. Hartford, Connecticut 1898 (rozdział XVI).

<sup>35</sup> M.J. ROBERTS, A. ROBERTS: *Dreamtime heritage. Australian Aboriginal myths*. Adelaide 1989, s. 20.

<sup>36</sup> L. WOLANOWSKI: *Pocztą do Nigdy-Nigdy...*, s. 11.

<sup>37</sup> Ibidem.

– jednak owo „bez trudu” dotyczy tutaj raczej faktu, iż dla samolotu odrzutowego pokonanie takiego dystansu w czasie 48 godzin jest czymś absolutnie zwyczajnym. Czytelnikowi, który zechciałby odbyć taką podróż, nie udało by się to chyba tak zupełnie „bez trudu”, o czym pośrednio świadczyć może to, że swoje doświadczenia z samolotami relacjonuje Wolanowski dość szczegółowo, zaznając odbiorcę z detalami będącymi dziś – kiedy transport lotniczy stał się rzeczywiście powszechnie dostępny – już oczywistością. Autor *Pocztą do Nigdy-Nigdy* zatytułował ten rozdział swojej książki cytatem z pieśni, którą według relacji Seweryna Korzelińskiego, śpiewano na jego statku: *Wyruszać do Australii, nie oplakujcie mnie...*<sup>38</sup> Smutek, z jakim musiał się kojarzyć wyjazd na antypody w wieku XIX, jest całkowicie zrozumiały. Taki wyjazd był przecież w tamtym czasie zazwyczaj wyrokiem (w dosłownym i/lub metaforycznym sensie). Przywołując w tytule pierwszego rozdziału ów kontekst, podkreśla Wolanowski różnicę pomiędzy dziewiętnastowiecznymi podróżami do Australii a jego własnymi doświadczeniami. Nie sposób jednak wykluczyć, że czyni tym samym także żartobliwą aluzję do faktu, iż mimo wszystkich zmian, które zaszły, Australia nadal odbierana jest jako odległe, niebezpieczne, obce miejsce.

Na początku drugiej dekady XXI wieku trudno byłoby się spodziewać podobnej sugestii. W dobie Internetu, powszechnych podróży lotniczych do najodleglejszych zakątków globu Australia nie stała się może ulubionym kierunkiem wakacyjnych podróży Polaków, ale z pewnością nie kojarzy się ani z trudną czy wręcz niemożliwą do pokonania odległością, ani z niezwykle niebezpieczeństwami, które spotkać mogą przybyszów w tym egzotycznym kraju. A jednak wydana w 2011 roku przez wydawnictwo National Geographic książką Beaty Pawlikowskiej pt. *Blondynka w Australii*<sup>39</sup> rządzi właśnie kategoria zdziwienia. Australia w relacji podróżniczej

<sup>38</sup> L. WOLANOWSKI: *Pocztą do Nigdy-Nigdy*. Wydanie 5. uzup. Warszawa 1989, s. 10.

<sup>39</sup> Beata Pawlikowska wydała również książkę *Blondynka na Tasmanii* (Warszawa 2011). Książka poświęcona Australii obejmuje zarówno relacje tasmańskie, jak i wspomnienia z podróży po kontynencie.

ki jawi się jako kraj, w którym wszystko jest inaczej, odwrotnie niż w Europie, niezgodnie z porządkiem, do którego przywykła zarówno autorka, jak i jej czytelnicy<sup>40</sup>. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że przynajmniej niektóre z tych „australijskich odwrotności” są wymuszone, skonstruowane jedynie w celu podtrzymania przyjętej przez nią i konsekwentnie w całej książce promowanej tezy o „dziwności” tego kontynentu. Pawlikowska pisze:

tu przecież zawsze wszystko było odwrotnie niż w Europie, prawda? James Cook przyплыł do Australii w 1717<sup>41</sup> roku i ze zdumieniem notował w dzienniku okrętowym, że na tej niezwyklej ziemi zwanej Terra Australis, czyli z łaciny Ziemia Południowa, wszystko jest inaczej.

Łabędzie wcale nie są białe, tylko czarne. Drzewa nigdy nie zrzucają liści, ale za to zrzucają korę. Torbacze kicają, ssaki mają jadowe kolce, a w grudniu i styczniu zaczyna się lato.

Nic dziwnego, że w Wigilię Bożego Narodzenia zamiast czerwonego barszczu Tasmańczycy piją czerwone wino. Szczotki do czyszczenia butelek rosną na krzakach, a nie w fabryce<sup>42</sup>.

Nie sposób zaprzeczyć, że lato przypadające w Australii na te miesiące, które w Europie są zimowe, widok czarnych łabędzi czy eukaliptusów tracących korę zamiast liści może wywoływać wrażenie, że na antypodach wszystko jest „na odwrót”. Pozostałe wymie-

---

<sup>40</sup> Por. B. PAWLIKOWSKA: *Blondynka w Australii*. Warszawa 2011, s. 51, 104, 220, 302–303, 313.

<sup>41</sup> To oczywisty błąd: pierwsza wyprawa Jamesa Cooka na Ocean Spokojny, w trakcie której podróżnik opłynął Nową Zelandię, wschodnie wybrzeże Australii i zbadał Wielką Rafę Koralową, miała miejsce w latach 1768–1771. Dwie kolejne w ten rejon świata w latach 1772–1774 i 1776–1778 (por. S. LESZCZYCKI, M. FLESZAR: *Australia, Oceania, Antarktyka*. Warszawa 1971, s. 11). Pomyłkę tę przeoczono zapewne w korekcie, która w przypadku tej pozycji w ogóle pozostawia wiele do życzenia i należy wyrazić rozczarowanie, że książka wydana pod prestiżowym patronatem National Geographic nie została przygotowana z większą starannością.

<sup>42</sup> B. PAWLIKOWSKA: *Blondynka w Australii...*, s. 51. Wszystkie cytaty z książki pochodzą z tego wydania, po cytatach podaje numery stron.

nione przez autorkę przykłady nie mieszczą się już jednak w tym schemacie. Kicających torbaczy (kangurów) czy ssaków z jadowymi kolcami (dziobaków) nie można postrzegać jako zwierząt będących „odwrotnością” europejskich, a jedynie w kategoriach przyrodniczej specyfiki Australii. Wspomniane przez Pawlikowską gatunki żyją wyłącznie na tym kontynencie i są z całą pewnością wyjątkowe, choć nie ma chyba niczego zaskakującego czy zdumiewającego w tym, że poszczególne kontynenty, a nawet pewne ich regiony, charakteryzują się swoistą fauną czy florą. Równie „udawane” jest „zdziwienie” Pawlikowskiej tym, że Tasmańczycy nie piją w Wigilię czerwonego barszczu: skoro tradycja ta nie jest nawet ogólnoeuropejska, dlaczego mielibyśmy się spodziewać jej ogólnoświatowego zasięgu? Rosnące na drzewach szczotki do czyszczenia butelek należy potraktować, oczywiście, jako żart. Autorka ma na myśli krzew o polskiej nazwie kuflik (po łacinie *Callistemon citrinus*), który swoją angielską nazwę *Crimson Bottlebrush* zawdzięcza podobieństwu, jakie łatwo daje się zauważyć pomiędzy kwiatami krzewu a szczotkami do czyszczenia butelek. Żart ten jest z pewnością całkowicie czytelny, ale jednocześnie jego funkcja może zastanawiać. Podróżniczka zamierza bowiem w tym miejscu, a także w wielu innych partiach książki, zbudować wrażenie dziwności, odmienności kontynentu, nawet przez przytoczenie faktów, które wcale takiego postrzegania Australii nie potwierdzają.

Nie bez powodu w cytowanym fragmencie zamieszczona została wzmianka o relacji Jamesa Cooka. To oczywiste, że wrażenia pierwszych odkrywców południowego lądu musiały pozostawać pod znakiem zdumienia, graniczącego nawet z szokiem. Stawiając stopę na tym nieznanym wcześniej lądzie, jego odkrywczy wkraczali w przestrzeń całkowicie obcą, o której specyfice nie mieli pojęcia, nie wiedzieli zatem nawet, czego mogą się tam spodziewać. Lektura wspomnień eksploratorów jest nad wyraz ciekawa, ale odtworzenie tamtego autentycznego zdumienia, którego oni doświadczali w zetknięciu z fenomenami australijskiej przyrody, to dziś zadanie tyleż niewykonalne, co niepotrzebne. Wydaje się jednak, że taką właśnie próbę podjęła Beata Pawlikowska. Przywołajmy na przykład fragment poświęcony kangurom:

zdzumieni angielscy żeglarze pisali, że żyje tu nieprawdopodobne zwierzę, które ma głowę jak jeleni, ciało wyprostowanego człowieka, szczurzy ogon, a przy tym skacze jak żaba!

Taki właśnie zwierzojelenioczłowiek leżał przede mną na boku. [...] A jego rozciągnięty na ziemi tułów naprawdę wyglądał jak ciało człowieka!

Wyjęłam notatnik i z takim samym zdumieniem, jakie towarzyszyło dawnym odkrywcom, zapisałam, że kangur to naprawdę przedziwne zwierzę, które przypomina skrzyżowanie zająca z... centaurem! Mógłby śmiało występować bez przebrania i charakterystyki w filmach science-fiction.

s. 99

Postępowanie pierwszych odkrywców australijskiego ładu wydaje się jasne – próbują oswoić zdumienie, porównując to nowe zwierzę, którego istnienia nie podejrzewali nawet, do istot im znanych: głowa jelenia, ciało człowieka, szczurzy ogon. Odkrywcy czynią tak samo, jak przywoływani już tutaj naukowcy, którzy widzianego po raz pierwszy dziobaka „rozłożyli” na elementy „składowe” znane im z doświadczenia. Próba odtworzenia tamtej strategii wobec zwierzęcia, którego istnienie jest już dziś elementem wiedzy podstawowej (potwierdza to fakt, iż kangur stał się emblematem Australii, tym samym jego kształt jest dla naszej wyobraźni tak samo „oczywisty” jak jelenia, zająca czy żaby), wydaje się niepotrzebna i nieautentyczna. Jedyne, co zaskakuje w relacji podróżniczki, to jej zdziwienie, trudno wytłumaczalne nawet faktem, że to, co się widzi, zazwyczaj robi większe wrażenie niż to, o czym się tylko wie.

Czemu służy praktykowana przez autorkę strategia gromadzenia wymuszonych „zdziwień”, z których wylaniać ma się wizerunek Australii jako kraju nie tyle odmiennego od europejskich (co byłoby w zasadzie oczywistością), ile raczej stanowiącego odwrotność i zaprzeczenie wszystkiego, co Europejczyk byłby skłonny nazwać „normą”? Wydaje się, że owa strategia jest w książce Beaty Pawlikowskiej podporządkowana dwóm celom. Pierwszy z nich to próba nawiązania do obecnego w piśmiennictwie różnych krajów wizerunku Australii jako miejsca niezwykłego, którego poznawaniu

musi towarzyszyć zdumienie. W relacji współczesnej podróżniczki stanowi to być może także element „marketingowy”, mający uatrakcyjnić jej publikację. Efekt wydaje się jednak daleki od zamierzonego. Z opowieści obficie okraszonej wyrazami zdumienia i deklaracjami, iż „tu wszystko jest na odwrót”, wyłania się dość stereotypowy obraz „kraju w dole globusa”. Pawlikowska charakteryzuje najważniejsze fenomeny przyrodnicze kontynentu, podaje garść informacji na temat historii jego podboju, opowiada o swoich pobytach w miejscach stanowiących swoiste wizytówki Australii (Uluru, Sydney itp.). Zdarza się autorce konstruować swoją relację w sposób, który sugeruje, że udało się polskiej podróżniczce sięgnąć „pod podszewkę rzeczy” i wydobyć jakiś okrucz mała znanej prawdy o ziemi pod Krzyżem Południa. Zazwyczaj jednak owo „odkrycie” okazuje się rozczarowujące. Jak w przypadku słynnej w tym kraju piosenki *Waltzing Matilda*, którą śmiało nazwać można narodową. Australijczycy rozważali nawet uczynienie z niej hymnu państwowego<sup>43</sup>, mimo iż ta znana ballada Patersona opowiada o człowieku, który ukradł owcę, a później wolał się utopić, niż dać pojmać stróżom prawa<sup>44</sup>, co wydaje się niestosowne w przypadku pieśni mającej uświetniać podniosłe i ważne dla państwa uroczystości. Najbardziej znana fraza „Who'll come a-waltzing Matilda with me?” odnosi się po prostu do włóczęgi odbywanej przez głównego bohatera, a „Matylda” to tobołek, który niesie on na plecach: zwinięty w gruby rulon koc niezbędny w buszu jako okrycie czy posłanie. Znajomość pełniej treści ballady Patersona nie jest może powszechna, ale wiedza o tym, że Matylda to nie dziewczyna,

<sup>43</sup> Mając do wyboru trzy pieśni kandydujące do tego zaszczytnego miana: *Advance Australia Fair*, *Waltzing Matilda* i *Song of Australia*, uczestnicy ankiety rozpisaney przez rząd opowiedzieli się wprawdzie za pierwszym z wymienionych utworów, ale *Matylda* zdobyła 19,6% głosów, zajmując zaszczytne drugie miejsce. Kiedy w maju 1977 ponownie przeprowadzono referendum w tej sprawie, zadając obywatelom pytanie o ich preferencje, ponownie zwyciężyła pieśń *Advance Australia Fair*, a utwór *Waltzing Matilda* znalazł się na drugim miejscu, zdobywając jednak znacznie większe poparcie – 28,3% głosów. Por. G. WHITLAM: *The Whitlam Government 1972–1975*. Ringwood–New York 1985, s. 145.

<sup>44</sup> Por. *The works of 'Banjo' Paterson with an introduction and bibliography*. Hertfordshire 1995, s. 207.



a cały utwór nie opowiada historii romansowej, a odwołuje się do ważnego w australijskiej tradycji „czasu pionierów” i równie ważnego gatunku – ballady o buszu, nie wydaje się szczególnie trudna do zdobycia i dla osoby zainteresowanej Australią (a można żywić nadzieję, że autorzy książek poświęconych temu krajowi do takich właśnie należą) stanowi oczywistość. Tymczasem w książce Beaty Pawlikowskiej znajdziemy rozbudowany opis „odkrycia” tej prawdy przez podróżniczkę (dzięki informacji uzyskanej od lokalnego przewodnika) i ogromnego wrażenia, jakie wywarł na niej fakt, że osławiona Matylda nie jest kobietą. Trudno orzec, czy podróżniczka odnotowuje tutaj prawdziwe okoliczności, w których „weszła w posiadanie owej wiedzy”, czy też scena została skonstruowana na potrzeby realizacji strategii zadziwiania i zaskakiwania czytelnika. Niełatwo bowiem uwierzyć, że autorka książki nie zapoznała się z wcześniejszymi polskimi relacjami o Australii – choćby z reportażami Lucjana Wolanowskiego, w których treść pieśni *Waltzing Matilda* została omówiona<sup>45</sup>.

Zaskoczenie Pawlikowskiej wywołuje też skłonność do częstego używania przez Australijczyków wyrażenia „*no worries*”. Ta specyficzna cecha lokalnej „etykiety językowej” rzeczywiście przybyzszom z zewnątrz może się wydać uderzająca. O humorystycznych efektach, jakie wyniknąć mogą z wszechobecności tej formuły w codziennych konwersacjach, pisał Douglas Adams w swojej relacji z pobytu na Hyman Island. Z rozbawieniem odnotował również typową dla kurortu, w którym przebywał, odmianę tego australijskiego „hasła”: „personel nie mówi po prostu »No worries«, kiedy dziękujesz za napełnienie twojego kieliszka od szampana, mówi »No worries at all«”<sup>46</sup>. Pawlikowską bawi i dziwi także określenie *mate*, bez którego nie może się obyć właściwie żadna codzienna konwersacja. Autorka tłumaczy *mate* na język polski jako „koleś”, co zapewne ma oddać efekt humorystyczny, który – w jej przeko-

---

<sup>45</sup> L. WOLANOWSKI: *Pocztą do Nigdy-Nigdy...*, [1978], s. 289–295. Przy okazji sformułowane tu zostały również wątpliwości, czy opowieść o złodzieju owiec spełnia wymogi stawiane hymnowi narodowemu.

<sup>46</sup> D. ADAMS: *Riding the rays*. W: IDEM: *The salmon of doubt*. Foreword by S. FRY. London 2003, s. 51.



naniu – wywołuje owo słówko za każdym razem, gdy zostanie użyte. Rzecz jednak w tym, że kulturowo (a i historycznie) trzeba to tłumaczenie uznać za nie najtrafniejsze. W języku polskim „koleś”, a zatem „kolesiostwo” wywołuje skojarzenia zupełnie innego rodzaju niż australijskie *mate* i *mateship* odnoszące się do jednej z podstawowych wartości kształtujących się w trudnych czasach pionierów<sup>47</sup>, a stanowiących później trwały składnik australijskiej (kłopotliwej<sup>48</sup>) tożsamości. Trzeba chyba uwierzyć autorce, że nie ma świadomości znaczeń związanych z tym pojęciem, kiedy o owej słabości Australijczyków do słówka *mate* pisze:

Ciekawe, skąd się wziął ten zwyczaj.

s. 202

Zdumienie Pawlikowskiej należy tutaj jednak łączyć nie tyle z dziwnością samego zjawiska, ile z nieumiejętnością osadzenia go w odpowiednim kulturowym kontekście, nie może zatem służyć za dowód, iż w Australii wszystko jest zaskakujące. Dodajmy, że do znalezienia odpowiedzi na postawione przez podróżniczkę pytanie wystarczyłaby na przykład lektura wspomnień Sygurda Wiśniowskiego z jego wieloletniego pobytu w Australii. Czytamy tam:

Kopacze złota nigdy prawie nie używają słowa sir, czyli: panie, w rozmowie. Lecz mówią mate, co znaczy: towarzyszu, i okazuje zupełną równość wszystkich stanów na kopalniach<sup>49</sup>.

Czasem próba pokazania innego, zaskakującego właśnie, bo sprzecznego z powszechnymi wyobrażeniami, wizerunku fenome-

---

<sup>47</sup> R. WHITE: *Inventing Australia. Images and identity 1688–1980*. Sydney–Boston–London 1981, s. 154–155. Była już o tym mowa w poprzednich rozdziałach.

<sup>48</sup> Dla Australijczyków kwestia narodowej tożsamości ciągle jest problematyczna, a pytanie: „kim jesteśmy?”, nie straciło, jak dotąd, swej aktualności. Por. A. JAMROZIK: *The chains of colonial inheritance. Searching for identity in a subservient nation*. Sydney 2004, s. 24.

<sup>49</sup> S. WIŚNIEWSKI: *Dziesięć lat w Australii*. T. 2. Lwów 1873, s. 328.

nów rodem „z dołu globusa” przybiera charakter bardzo subiektywnych interpretacji, wymuszających zaskoczenie tam, gdzie go właściwie nie ma. Za przykład może posłużyć opisanie przez autorkę jej spotkanie z misiem koala:

stałam tuż obok puszystego, szarego misia z białymi strzępkami futra na łapkach. Musiałam szczęśliwie trafić na jedną z czterech godzin, których miś nie poświęca na spanie, bo widziałam, że powoli zaczyna odwracać łeppek w moją stronę i już z zachwytem wyciągałam do niego ręce, i już miałam ochotę roztopić się z radości, gdy nagle...

Miś łypnął na mnie okiem. Z paszczy wystawały mu dwa zęby, a czarny podłużny nos nadawał mu wyraz dziwnie złowrogiej dzikości.

Cofnęłam się o krok.

I jeszcze jeden.

Zdarzyło wam się kiedyś pomylić stokrotkę z kaktusem? Pomarańczę z ziemniakiem? Kremowego ptysia z sucharem? Pluszowego misia z dziką bestią? [...]

I to właśnie zdaje się zobaczyłam w jego czarnych oczach. Bezczesny ocean spokojnego braku myśli i emocji. Zawieszenie w trwaniu. Koncentracja na dekoncentracji. Cisza. Pustka. Otchłań. Szok.

Kto chciałby się przytulić do tego brzydala? Skąd wzięły się opowieści o słodkich australijskich koalach? Ze sklepów z pluszowymi zabawkami?

s. 93–94

W dalszej części relacji autorka odpowiada na to pytanie: na reputację słodkich misiów zapracowały młode koale – nie tylko same słodkie i figlarne, lecz także wywołujące wyraz czułości i łagodności na pyskach swoich mamus, podobnych zazwyczaj do aligatorów i dzikich niedźwiedzi z gór (s. 94). Nie podważa to jednak podstawowego sensu wyrażonego w tym fragmencie książki, mianowicie dekonstrukcji mitu o ślicznym i miłym misiu koala. Pomijając budowany na potrzeby „sensacyjnej” narracji sztafaż, obserwację

wyrażoną w tym epizodzie dałoby się sprowadzić do zasadniczo słusznego wniosku, że dzikie zwierzę, nawet jeśli wygląda na miłe, spokojne i apatyczne, a w przeszłości bywało modelem dla producentów maskotek, jest jednak dzikim zwierzęciem, które może nas zaskoczyć gwałtownością swojej reakcji, a nawet niespodziewanie zaatakować. Opisana przez Pawlikowską uduchotworzona scena mogłaby być po prostu inną wersją informacji, jakiej udzielają turystom opiekunowie zwierząt. Ponieważ jednym z ulubionych punktów programu wszystkich odwiedzających Australię jest sfotografowanie się w trakcie głaskania lub trzymania na rękach koali, parki i ogrody zoologiczne oferują taką możliwość. Opiekunowie zwierząt informują jednak turystów, że jeśli koala odwróci głowę i spojrzy im w oczy, wówczas powinni się oni wycofać, gdyż oznacza to, że zwierzę jest niezadowolone czy zdenerwowane. Na tej rozsądnej i w gruncie rzeczy chyba oczywistej dla każdego obserwacji autorka buduje swoją – przynajmniej: zaskakującą – dekonstrukcję koalowego mitu, zgodnie z którą ten symbol Australii ujawnia swoje drugie, groźne oblicze. Bez wątpienia nie sposób odmówić podróżniczce prawa do subiektywnej oceny powierzchowności tego zwierzęcia – jego spojrzenie może się wydawać Pawlikowskiej puste, nos złowroźnie dziki, a dwa żółte zęby nieestetyczne i potencjalnie niebezpieczne. Trudno jednak uznać to subiektywne wrażenie za znaczący fakt, który mógłby położyć kres pozytywnym skojarzeniom, jakie wielu ludziom przychodzą na myśl, kiedy oglądają oni te australijskie torbacze.

Być może takie budowane trochę sztucznie próby zaskoczenia odbiorcy, wywołania wrażenia, że oto uczestniczy on w odkrywaniu głębokiej i „sekretnej” prawdy o południowym kontynencie, są efektem przyjętego przez autorkę założenia, że jej modelowy czytelnik dysponuje jedynie bardzo powierzchowną wiedzą na temat Australii i wszystkie, nawet w swej istocie dość podstawowe informacje, mają dla odbiorcy posmak sięgania „pod podszewkę rzeczy” i obalania stereotypów. Być może dlatego, charakteryzując diabły tasmańskie, za punkt odniesienia przyjmuje autorka kreskówkę wytwórni Warner Bros z cyklu *Looney Tunes* i jednego z jej bohaterów:

W filmie rysunkowym diabeł o imieniu Taz miał wielką paszczę, nienasycony apetyt, gburowaty wygląd i mikroskopijny rozumek. Kiedy był niezadowolony, ryczał tak głośno, że dygotała ziemia.

A tymczasem tuż przede mną diabły miały pocziwe pyski i bystre oczy. Żwawo chrupały jakieś drobne przekąski znalezione w trawie, prawie nie zwracając na mnie uwagi.

s. 104

Trudno poważnie brać pod uwagę fakt, że podróżniczka zabrała z sobą na Tasmanię wyobrażenie diabła wysnute jedynie z amerykańskiej bajki. Szukanie w niej wiernego odwzorowania wyglądu i zachowania tych zwierząt miałoby przecież tyle samo sensu, co poznawanie biologii królika na podstawie przygód Bugsa. Owszem, pewne szczegóły się zgadzają, ale ogólny obraz obu zwierząt należy do zupełnie innego porządku. A zatem to prawda, że diabły tasmańskie mają wyjątkowo silne szczęki i bywają żarłoczne (mikroskopijnego rozumu i gburowatego wyglądu nie warto komentować, bo są to, jak się zdaje, cechy właściwe wielu bohaterom serii *Looney Tunes*). Trudno zatem przyjąć, że Pawlikowska rzeczywiście jest zaskoczona wyglądem diabłów tasmańskich i ich zachowaniem, które tak wyraźnie różni się od „sposobu bycia” rysunkowego Taza. Być może więc zakłada, że jej wychowany w kulturze obrazkowej, poszukujący zazwyczaj krótkich i jasnych informacji, żyjący w wiecznym pośpiechu wymuszającym powierzchowność czytelnik dysponuje takim właśnie uproszczonym wizerunkiem „kraju w dole globusa”, wizerunkiem wymagającym gruntownego sprostowania. Przyjęcie strategii demaskowania, zaskakiwania i burzenia (rzekomych) stereotypów ma być może tę zaletę, że czyni konstruowaną przez autorkę narrację bardziej dynamiczną i atrakcyjną dla odbiorców (a przynajmniej ich części)<sup>50</sup>.

---

<sup>50</sup> Można również przyjąć, że proponowana w książce taktyka jest wynikiem założenia podstawowego, wyrażonego już samym tytułem. *Blondynka w Australii* to być może właśnie opowieść o tym, jak stereotypowa „właścicielka” jasnych włosów, obdarzona „bardzo małym rozumkiem”, odkrywa tajniki „kraju w dole globusa”, wszystkiemu się dziwić i każdą informację postrzegając jako nową i za-

Można jednak również przypuszczać, że udziwnianie obrazu Australii, wymuszanie (własnego i czytelniczego) zdziwienia służyć ma jeszcze jednemu celowi. Stworzenie obrazu Australii jako miejsca, gdzie wszystko jest odwrotnie niż w Polsce, a nawet Europie, kraju zaskakującego swoją odmiennością, skutkuje wykreowaniem pewnego uczucia obcości, dystansu, który dzieli wiecznie dziwiącą się podróżniczkę od australijskiej codzienności. Dystansu, który autorka pragnie pokonać, bo – jak można wnosić z jej refleksji na temat podróżowania zamieszczonych w książce – tak właśnie rozumie jego istotę. Co ciekawe, elementem służącym Pawlikowskiej do osiągnięcia tego celu staje się kultura rdzennych mieszkańców kontynentu. Aborygeńskie wierzenia, tradycje, związek z ziemią – wszystko to pozwala podróżniczkę zakwestionować na chwilę własny sposób myślenia i odrzucić багаż wychowania, wiedzy, kultury. Autorka charakteryzuje to doświadczenie w następujący sposób:

Poczułam zupełnie nową siłę, która mnie wypełnia. Zmienił się mój krok. Stał się bardziej lekki i czujny, przestałam się potykać, trawy mnie już nie chłostały po łydkach, poczułam radość. Ziemia prowadziła mnie sama. Wspinałam się po skałach i pagórkach, przez busz, kolczaste akacje i wysokie trawy. Szłam bez trudu i bez pośpiechu, nie pamiętając już, dokąd idę i po co, aż niespodziewanie stanęłam u stóp jaskini pomalowanej w aborygeńskie znaki.

Usiadłam na ciepłym kamieniu i zamknęłam oczy. Chciałam jeszcze przez chwilę pobyc w tym niezwykłym stanie, odebrać dodatkowe informacje, dostać jeszcze zastrzyk energii, być częścią krajobrazu tak samo jak kamień, na którym siedziałam. Ja byłam Australią, a ona była mną. Rozumiecie?

---

skakującą. Przyjęcie takiej strategii tłumaczyłoby się jednak, jak się zdaje, jedynie względami marketingowymi, chodzić by tutaj miało o zaskoczenie czy rozbawienie czytelnika. Co więcej, poważne traktowanie tytułowej formuły i jej konsekwencji utrudniają te partie książki, w których podróżniczka kreuje siebie na osobę obdarzoną głęboką intuicją, wrażliwością, zdolną do duchowego zjednoczenia z poznawanym kontynentem i jego kulturą. Każe to traktować tytułową „blondynkę” z dystansem, a w strategii Pawlikowskiej dostrzec jednak grę tym motywem.

Stałam się tubylcem. Każdy może się nim stać, jeśli tylko na to pozwoli.

s. 217

Słowo „tubylcy” odnosi się tu – jak można domniemywać – do rdzennych mieszkańców kontynentu, a nie białych osadników. Przecież to aborygeni zadziwiali swoją świetną orientacją w terenie, zrozumieniem praw rządzących przyrodą i umiejętnością życia w harmonii z nią, to oni zrozumieli i wyrazili duchową energię tej niezwykłej ziemi.

Mamy tu do czynienia z sytuacją na pozór paradoksalną: o ile przyrodnicze fenomeny czy kulturowa specyfika „białej Australii” opisywane były przez autorkę *Blondynki...* jako seria „dziwów i sprzeczności”, mimo iż do ich wyjaśnienia wystarczyła po prostu ogólna wiedza, o tyle specyfika aborygeńskiej kultury, wymykająca się prostym opisom, wymagająca zakwestionowania własnego – mówiąc metaforycznie – sposobu istnienia, aby zbliżyć się zaledwie do odkrycia jej tajemnicy, okazuje się dla podróżniczki kontekstem bliskim, możliwym do oswojenia. Książka Beaty Pawlikowskiej nie jest w tym względzie wyjątkiem. Pisałam już o zaznaczonym w poezji Teresy Podemskiej-Abt sposobie na wykorzystanie aborygeńskiej kultury jako elementu pośredniczącego między kulturą własną, utraconą wraz z polską ojczyzną, a nowym, australijskim kontekstem, w który została wpisana. O niejasnym poczuciu bliskości z rdzennymi mieszkańcami kontynentu wspomina w swej australijskiej relacji także Marek Tomalik, o czym będzie mowa dalej. Niezależnie od tego, jak realizowane jest owo „poczucie wspólnoty”, czy wynika ono z rzetelnej wiedzy i opiera się na wieloletnich badaniach, jak w przypadku poetki i badaczki Teresy Podemskiej, czy jest naiwną ekspresją nie do końca sprecyzowanych uczuć dziennikarza i poszukiwacza przygód, zawsze tak samo potwierdza uniwersalny walor odkrywania duchowej sfery rzeczywistości i szacunek dla tradycji, które to poszukiwanie umożliwiają i utrwalają.

W książce Beaty Pawlikowskiej świat tubylców australijskich przedstawia się na ogół bez zdziwienia czy szoku. Wydaje się, że

zdzumienie budzą jedynie te spotkania, które rozgrywają się niejako na pograniczu dwóch światów: pijani aborygeni na ulicach Coober Pedy, aborygen z błyszczącym zegarkiem na rękę, w drogim samochodzie, witający turystów na ziemi, która niegdyś należała do jego przodków. Garść wiadomości na temat kolonizacji australijskiego lądu, kilka przykładów funkcjonowania przedstawicieli ludności tubylczej we współczesnej Australii (niestety, poza światem zarówno tradycji i plemiennej wspólnoty, jak i białych obywateli państwa) połączone z rozbudowanymi partiami refleksyjnymi na temat „kulturowej przemocy” składają się na dość trafny, choć pozbawiony głębszej analizy, obraz skomplikowanej sytuacji ludów, które pod Krzyżem Południa nie są już „u siebie”. Książce o charakterze popularyzatorskim nie należy czynić zarzutu z powodu nie dość pogłębionego ujęcia tematu. Istotna jest raczej sama (udana) próba zarysowania problemu i wyrażone przez autorkę na wiele sposobów, odnotowane w kilku miejscach jej relacji szacunek i fascynacja aborygeńską kulturą.

Podkreślane przez Pawlikowską zrozumienie dla tradycyjnych miejscowych wierzeń ujawnia się również w tych partiach jej książki, które stanowią nawiązanie do aborygeńskich mitów. Autorka stara się wpleść w swoją narrację fragmenty o charakterze magiczno-onirycznym, co zapewne – nie tylko poprzez odniesienia do treści przekazów ludności tubylczej, lecz także samą formę sugerującą przeplatanie się czasu teraźniejszego z Czasem Snu i Stworzenia, połączenie wymiaru realnego z duchowym – ma nawiązywać do sztuki i mitologii aborygeńskiej. Oczywiście, zastosowana strategia tym razem też polega na daleko idącym uproszczeniu<sup>51</sup>. W rozdziale pod znaczącym tytułem *Tęczowy Wąż* Pawli-

<sup>51</sup> Mając na uwadze sposób, w jaki autorka odnosi się do aborygeńskiej tradycji w całym swoim tekście, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że dochodzi tu do głosu tendencja analogiczna do tej, o której wspomina Piotr Listkiewicz: „Dziś w pewnych kołach modne jest stwierdzenie, że Aborygeni posiadają »rich culture« (bogatą kulturę) i że są bardzo »spiritual people« (uduchowionymi ludźmi). Gdy się jednak próbuje głębiej wejść w temat i zaczyna zadawać coraz bardziej dociekliwe pytania, okazuje się, że rozmówcy posługują się ogranyymi sloganami”. P. LISTKIEWICZ: *Australia – przeklęta ziemia obiecana. Kultura*. Pozyskano z: [studiazaprog1.blogspot.com/2011/05/piotr-listkiewicz-australia-przekleta-13.html](http://studiazaprog1.blogspot.com/2011/05/piotr-listkiewicz-australia-przekleta-13.html) (30.07.2013).



kowska kreuje opowieść na wzór aborygeńskiego mitu stworzenia. Wymienione są tu ważne dla wierzeń tej społeczności postaci, jak Baiame (czy też Biame czy Byamee), czyli aborygeński bóg-stwórca<sup>52</sup>, Nungeena<sup>53</sup> czy Yhi, bogini słońca. Wszystko to wpisane zostało w opowieść, która operuje nie tylko znakami mitologii aborygeńskiej, lecz także współczesnymi, obcymi tej kulturze rekwizytami (jak samochód, ołówek) czy terminami (sfera podświadomości). Ta nie do końca chyba oddająca klimat aborygeńskich narracji *Dreamtime* historia wprowadza jednak pewne elementy tej swoistej mitologii, a przede wszystkim wskazuje na istotny związek duchowych przodków z elementami pejzażu. Przywołany został w zakończeniu rozdziału tytułowy Tęczowy Wąż, który swoim ciałem rzeźbił kształt nieba i ziemi – niegdyś, w Epoce Stworzenia, i teraz, bo w przekonaniu aborygenów historie składające się na *Dreamtime* są jednocześnie częścią odległej przeszłości, jak i stającą się wciąż na nowo teraźniejszością. Przeplatanie podróźniczej relacji elementami przetworzonych mitów stanowić może również – o czym już wspominałam – próbę naśladowania w narracji owego współlistnienia różnych planów. Współcześni autorzy aborygeńscy w swojej twórczości artystycznej łączą różne plany – na przykład realistyczny z oniryczno-wizyjnym – ale stopień skomplikowania tak budowanych tekstów nie daje się porównać z prostą, przeznaczoną na użytek relacji podróźniczej strategią Pawlikowskiej<sup>54</sup>.

Stosunkowo dużo miejsca poświęca autorka *Blondynki...* właśnie rdzennym mieszkańcom kontynentu, ich tradycjom i obyczajom, a przede wszystkim negatywnym konsekwencjom „spotkania” aborygenów z białymi osadnikami. Refleksje Pawlikowskiej zmierzają w stronę wyrażenia – ze wszech miar słusznego – przekonania, że konieczny jest szacunek dla innych kultur, odrzucenie niewzruszonej wiary nie tylko w wyższość własnej cywilizacji, lecz także

<sup>52</sup> MUDROOROO: *Aboriginal mythology*. London 1994, s. 17.

<sup>53</sup> W książce Pawlikowskiej *Matka Natura*, według innych źródeł – duch wodospadów (MUDROOROO: *Aboriginal mythology...*, s. 102).

<sup>54</sup> Wystarczy przywołać dla porównania powieść Alexis WRIGHT: *Karpentaria*. Tłum. K. PUŁAWSKI. Poznań 2009.



w uniwersalność i wyłączność narzucanego przez tę cywilizację światopoglądu i punktu widzenia. Autorka na kartach swej relacji wielokrotnie podkreśla tragiczny los, który przypadł w udziale aborygenom. Czyni to zazwyczaj w rozbudowanych partiach refleksyjnych, bazujących na ocenach i interpretacjach. Zabrakło tu natomiast wielu bardzo wymownych faktów z historii relacji ludności tubylczej z najeźdźcami. Nie chodzi jedynie o masakry i ludobójstwa, na których opis nie ma miejsca w pogodnej, słonecznej, ilustrowanej pięknymi zdjęciami opowieści o wycieczce do Australii, ale przede wszystkim o poszczególne rozwiązania prawne – zwłaszcza te wprowadzane pod auspicjami „ochrony” czy „pomocy” ludności tubylczej. Przykładem takiego pominiętego tematu mogą być choćby obozy, w których rzekomo stwarzano rdzennym mieszkańcom kontynentu, wcześniej pozbawionym ziemi, warunki do życia. W praktyce dbano tam:

o jak największe przemieszanie językowe, a alienację internowanych dodatkowo wzmacniał brak wiedzy o środowisku naturalnym rezerwatu, w którym ich zamknięto. Uwięzieni w obcym terenie autochtoni nie potrafili rozpoznać jadalnych traw, nasion lub korzeni i niejednokrotnie objęci byli zakazami i nakazami religijnymi i obyczajowymi, wedle których roślinność i zwierzęta terenu obozowego nie mogły wchodzić w ich jadłospis. W takich warunkach tubylcy głodowali lub z konieczności spożywali strawę obozową, której nie trawił ich organizm<sup>55</sup>.

Pawlikowska odnotowuje tylko jeden tego typu „legalny akt bezprawia”: decyzję o odbieraniu matkom dzieci ze związków mieszanych i umieszczaniu tych dzieci w ochronkach lub oddawaniu ich na wychowanie „białym” rodzinom. Działalność ta była pomyślana jako część polityki „wybielania” ludności tubylczej, pozbawiania jej

---

<sup>55</sup> T. PODEMSKA-ABT: *Znak po znaku. Historia, kultura i współczesność tubylców australijskich*. W: *Świat tubylców australijskich. Antologia literatury aborygeńskiej*. Oprac. T. PODEMSKA-ABT. Kraków 2003, s. 16.

związku z tradycją, odcinania od korzeni i włączania we „współczesne australijskie społeczeństwo”. W istocie stała się powodem wielu indywidualnych tragedii składających się na wstrząsającą historię „Skradzionego Pokolenia”<sup>56</sup>. Duże wrażenie zrobiłyby jednak również same daty. Warto pamiętać, że ostatnie dziecko ze związku mieszanego zostało odebrane matce w roku 1976, a dopiero w maju 1967 roku „po raz pierwszy w historii białej Australii w narodowym referendum uznano w autochtonach obywateli i pozwolono im głosować”<sup>57</sup>. Takie informacje umożliwiają spojrzenie na los rdzennych mieszkańców Australii z właściwej perspektywy: mówiąc o aktach przemocy czy niesprawiedliwości wobec tubylców, nie odwołujemy się jedynie do zamierzchłej przeszłości z czasów pierwszych podbojów kontynentu, lecz także do całkiem niedawnej, dwudziestowiecznej historii.

Konsekwencje trudnych relacji pomiędzy aborygenami a białą społecznością Australii ciągle widoczne są w tym kraju, a problem właściwego ułożenia tych relacji ciągle daleki od rozwiązania. Odnotowana przez Pawlikowską rozmowa z „białym Australijczykiem”, miejscowym przewodnikiem podróżniczki, na temat jego opinii o tubylcach, ujawnia złożoność sytuacji i postaw. Mimo deklarowanej przez autorkę na wstępie tej rozmowy gotowości do zawieszenia wszelkich ocen i chęci zrozumienia stanowiska „innego”, wyraźnie zakwestionowany tu został prezentowany przez niego punkt widzenia oparty na przekonaniu o wartości „postępu cywilizacyjnego”. Trudno nie zgodzić się z Pawlikowską, że niezrozumienie kultury aborygeńskiej i nieumiejętność zaakceptowania faktu, że nie wszyscy ludzie wyznają te same wartości, są niebezpieczne, ale w dzisiejszej rzeczywistości społeczno-prawnej uświadomienie sobie tego już nie wystarczy; sytuacja rdzennych mieszkańców Australii jest znacznie bardziej skomplikowana. W efekcie – mimo pozorów obiektywizmu – opowieść o aborygenach utrzymana jest w omawianej książce w tonie zdradzającym poczucie wyższości

---

<sup>56</sup> Jednym z najbardziej znanych literackich świadectw tego typu doświadczeń jest książka Sally MORGAN: *My place*. Fremantle 1987.

<sup>57</sup> T. PODEMSKA-ABT: *Znak po znaku...*, s. 19.

„tego, który wie” i ocenia. Autorka czyni to jednak, dysponując wiedzą fragmentaryczną, często powierzchowną: w kwestiach zarówno przemocy i niesprawiedliwości, jakich doświadczyli aborygeni ze strony „białych”, jak i zmian w świadomości Australijczyków, które, poczynając od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, daje się zauważyć<sup>58</sup>.

Wizja Australii wyłaniająca się z książki Beaty Pawlikowskiej jest niejednorodna. Z jednej strony bowiem autorka kreuje wizerunek kontynentu jako miejsca zaskakującego, budzącego zdziwienie i zaprzeczającego nie tylko przyzwyczajeniom przeciętnego Europejczyka, ale i stereotypom na swój własny temat. Choć wpisuje się tutaj w długotrwałą tradycję przedstawiania Australii jako „kraju na opak”, gdzie wszystko „postawione jest na głowie”, to jednak w przywoływanych kontekstach zdziwienie to wydaje się wielokrotnie w najlepszym razie przesadzone, a często po prostu konstruowane celowo, aby osiągnąć zamierzony efekt. Być może wynika to z przekonania autorki, iż dla czytelników jej książki Australia jest ciągle krajem bardzo egzotycznym, o którym niewiele wiedzą; przekonanie to może rodzić pokusę wykreowania w toku lektury sytuacji na wzór tej doświadczanej przez pierwszych odkrywców odległego lądu. Kusząca to perspektywa, której zapewne, czytając wspomnienia owych dawnych podróżników, trudno się oprzeć. Rzecz jednak w tym, że nawet w naszym obrazkowym świecie, nastawionym na łatwą i szybką, ale powierzchowną wiedzę, odtworzenie tamtego szoku poznawczego (choćby i *toutes proportions gardées*) jest niemożliwe i musi sprawiać wrażenie dziwności – nie opisujących fenomenów, ale sposobu opowiadania o nich.

Być może owo wrażenie „opisu spreparowanego”, opartego nie na faktach i obserwacjach, ale na swoistej ich interpretacji, bierze się stąd, że Australia nie jest jedyną (a może nawet nie główną) „bohaterką” prowadzonych w tej książce rozważań. Jak sugeruje tytuł, najważniejsza jest tutaj „Blondynka”, czyli Beata Pawlikow-

---

<sup>58</sup> O aktach służących walce z dyskryminacją, ochronie dziedzictwa kulturowego aborygenów czy początku procesu regulacji własności ziemi niegdyś im odebranej pisze Teresa Podemska-Abt (ibidem, s. 19–23).

ska, autorka tej relacji. To wrażliwość dziennikarki, sposób postrzegania świata, wyznawane przekonania wpływają nie tylko na kształt tej opowieści, lecz także na wizerunek kraju, któremu książka ta jest poświęcona. Nie chodzi tu jedynie o to, że w *Blondynce...* zaznaczony został indywidualny punkt widzenia, a dobo-rem opisywanych treści rządzi zasada subiektywizmu – to cecha charakterystyczna każdej relacji podróżniczej, wolne od takich obciążeń mogą być jedynie przewodniki. W przypadku tej publikacji chodzi jednak o coś więcej. Przede wszystkim opowieść o Australii przeplata się tu z opowieścią o autorce. Już pierwsze słowa tej książki zapowiadają „hierarchię ważności”:

Poczułam dotknięcie wiatru na policzku. Delikatne, miłe, ale jednocześnie ponaglące i niecierpliwe. Zmrużyłam oczy.

Dookoła lał deszcz. Szary, australijski i zaskakująco zimny, szczególnie w porównaniu z tropikalnym upałem, jaki panował jeszcze kilkadziesiąt minut wcześniej. Mokry był czerwony piasek, liche trawki rosnące na pustyni i moje własne, bose stopy w klapkach. Poruszyłam palcami. Zawsze mnie to zdumiewa, że jedna maleńka myśl jest w stanie uruchomić dowolną część ciała. Człowiek jest jak bóg – wystarczy, że wyda polecenie, a ono natychmiast zostaje wypełnione.

s. 7

Podobnych fragmentów znajdziemy w tej książce wiele. Czytelnik może się z nich dowiedzieć nie tylko, co Beata Pawlikowska sądzi o odwiedzanych miejscach, lecz także o czym marzyła w dzieciństwie, dlaczego podróżuje, a nawet jak się czują jej – odziane najczęściej w klapki – stopy w różnych „australijskich okolicznościach”. Ta bardzo „subiektywna” perspektywa sprawia, że poza opisem Australii mamy tu do czynienia również z jej kreacją. Przefiltrowana przez osobiste wrażenia, przekonania i fascynacje autorki Australia staje się już nie jednym z kontynentów, ale projekcją wymagającą interpretacji.

Ostatni fragment książki Beaty Pawlikowskiej poświęcony jest piosence, którą śpiewa John Legend, a której słowa towarzyszyły

autorce podczas jej podróży. W tych finałowych partiach opowieści zagadka zostaje rozwiązana. Pawlikowska wyjaśnia, dlaczego akurat ten utwór cały czas nie dawał jej o sobie zapomnieć:

Nieważne, jak długo będę szedł, wiem, że pewnego dnia wrócę wreszcie do domu... Och, wrócę do domu, do domu...

To jest pieśń Aborygenów. Dawnych mieszkańców tych ziem, którzy zostali wygnani, zakuci w kajdany, zniewoleni, umierali tysiącami na choroby białych ludzi. Odebrano im ziemię, zabito zwierzęta, zniszczono kulturę i tradycję. Pozostali na swojej ziemi, ale bez domu. To, co było ich własnością, należy teraz do obcokrajowców, którzy skradzioną ziemię zaczęli nazywać własną ojczyzną. Aborygenów skazano na śmierć.

Ale każdy z nich być może wróci kiedyś do siebie. Choćby tylko we śnie albo jeszcze lepiej – w Tjukurpie, magicznym świecie Czasu Tworzenia, który choć wirtualny, jest bardziej prawdziwy od rzeczywistości.

s. 366

Zacytowany fragment dobrze obrazuje charakteryzowaną tu autorską strategię. Pawlikowska nawiązuje do zdobytej wcześniej i przekazanej już czytelnikowi informacji o roli pieśni w aborygeńskich wierzeniach oraz głębokim przekonaniu tubylców, że jest ona w swej istocie siłą sprawczą, która powołała (i wciąż na nowo powołuje) świat do istnienia. Jeśli w poincie książki, w której Pawlikowska odkrywa, że piosenka Johna Legenda to jedna z takich aborygeńskich pieśni, będziemy widzieć wyjaśnienie tego fenomenu aborygeńskiej kultury, wówczas skojarzenie to musi się wydać powierzchowne i upraszczające. Koncepcja tubylców, zgodnie z którą świat został „wyśpiewany” przez ich Przodków, a cały kontynent jest tak naprawdę zapisem nut, dźwięków, które mogą prowadzić wędrowców, ma charakter znacznie bardziej złożony i nie daje się wytłumaczyć za pomocą prostego, choć wdzięcznego, skojarzenia natrętnie powracającej frazy z dawno słyszanego utworu ze światem, w którym pieśni są ważne, a powrót do domu ma zna-

czenie symboliczne. Pieśni Stworzenia to przecież nie piosenki w codziennym znaczeniu tego słowa i nie tylko to, o czym opowiadają, ale przede wszystkim to, jak opowiadają, decyduje o ich specyfice. Bliżej prawdy o tym fenomenie jest Bruce Chatwin, kiedy na kartach swej powieści notuje:

totemiczni przodkowie, podróżując przez cały kraj, zostawili za sobą szlak złożony ze słów i nut, który towarzyszył ich krokom, [...] te szlaki Snów, które wciąż znaczą ziemię, stanowią „sposób” komunikowania się nawet najbardziej oddalonych od siebie plemion<sup>59</sup>.

Pieśń taka stanowi jednocześnie mapę, umożliwia znalezienie drogi, bezpiecznie prowadzi wędrującego przez przestrzeń, którą ten ma do przemierzenia.

Kojarząc piosenkę Johna Legenda z aborygeńskimi Pieśniami Stworzenia, próbuje Pawlikowska zbudować swoją własną, prywatną analogię, która zapewne poza podkreśleniem „wtajemniczenia (autorki) w Australię” ma za zadanie ujawnić również pewien uniwersalny element w tej kulturze obecny, wskazać, że w tym niezwykle skomplikowanym systemie wierzeń i magicznych gestów człowiek Zachodu odnaleźć może elementy bliskie sobie, zrozumiałe, funkcjonujące (choć w innym przebraniu) także w jego świecie. Byłaby to zatem popularna wersja strategii rozmówców z książki Chatwina, którzy widzą związki pomiędzy aborygeńskimi koncepcjami Pieśni Stworzenia a poezją Rilkego czy filozofią Berkeleya. Dlatego, choć trudno byłoby na podstawie tego fragmentu budować swoją wiedzę o tym aspekcie aborygeńskiej kultury, skojarzenie autorki ma jednak swoją wartość, która rodzi się w interpretacji: mam na myśli przekonanie, że kryją się w tej tradycji wartości uniwersalnie zrozumiałe<sup>60</sup>, o zasięgu ponadnarodowym

---

<sup>59</sup> B. CHATWIN: *Pieśni stworzenia*. Przeł. K. PUŁAWSKI. Warszawa 2008, s. 23.

<sup>60</sup> Na marginesie zauważyć warto, że do pewnego stopnia analogiczną tezę stawia etnograf, Przemysław Burchard, który z porównania mitologii aborygeńskiej i „bajecznego świata wieśniaków europejskich” wysnuwa wniosek, iż „ludowa wyobraźnia na naszym kontynencie funkcjonowała podobnie: i w legendach,

i ponadkontynentalnym, które są dostępne jedynie w indywidualnym intuicyjnym przeżyciu, bo w językach Zachodu nie ma na nie słów (tak jak nie ma określenia na to, co w języku niektórych plemion australijskich nazywa się Altjeringa, w języku innych – Tjukurrpa, a po angielsku nosi ułomną nazwę *Dreamtime*).

Fragment otwierający książkę Beaty Pawlikowskiej razem z fragmentem ową książkę kończącym składają się na specyficzną ramę modalną, w którą wpisuje się ta opowieść o Australii. Tak wyraźne wyeksponowanie osoby autorki zdradza przyjętą w tej publikacji strategię. Wizerunek kontynentu jest tutaj nie tylko (i nie zawsze) o d t w a r z a n y przez podróżniczkę dysponującą odpowiednią wiedzą wzbogacaną bezpośrednim doświadczeniem, lecz także bywa w s p ó ł t w o r z o n y przez wyobrażenia, przekonania ideowe czy potrzeby emocjonalne Pawlikowskiej. Czytelnik poza garścią informacji na temat kraju i kontynentu otrzymuje zatem również (a raczej przede wszystkim) sporą porcję „mitów” i odautorskich kreacji. Lektura *Blondynki w Australii* wymaga czujności i wiedzy, aby móc odróżnić jedno od drugich.

## Ci wspaniali mężczyźni w ich szalejących maszynach

W tym samym co książka Beaty Pawlikowskiej 2011 roku ukazała się również publikacja *Australia. Gdzie kwiaty rodzą się z ognia* Marka Tomalika. Jej autor – podróżnik i dziennikarz – przedstawił tu opowieść o swoich australijskich doświadczeniach, stanowiącą swoisty kolaż wrażeń, które zgromadził w czasie wielu wizyt pod Krzyżem Południa odbytych w ciągu dwudziestu lat. Szczególnie ważnym epizodem w tej bliskiej i długotrwałej relacji z odległym kontynentem okazała się zorganizowana przez Tomalika wyprawa szlakiem Strzeleckiego. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie australijski *outback*, surowa, lecz piękna natura oraz męska przygoda stanowią najistotniejszy punkt odniesienia konstruowanej przez

---

i w baśniach doszukać się możemy podobnych mechanizmów”. P. BURCHARD: *Australijczycy*. Warszawa 1990, s. 60.



autora narracji. Wizja antypodów wyłaniająca się z tej książki nosi zatem wyraźne osobiste piętno, ale daje się ono opisać formułą „moja Australia”, a nie – jak w przypadku Beaty Pawlikowskiej – „wykreowana przeze mnie Australia”. Być może ta niezwykle istotna różnica wynika ze wspomnianego już faktu, iż książka Marka Tomalika jest efektem jego wieloletnich zainteresowań „krajem w dole globusa” i autentycznej pasji do poznawania akurat tego miejsca na ziemi, co owocuje zrozumieniem inności i fascynacją tą innością. Pewnie dlatego – niejako wbrew tytułowi, który mógłby sugerować nawiązanie do tradycji przedstawiania Australii jako ziemi „dziwów i sprzeczności”<sup>61</sup> – miejsce zdumienia zajmuje tu zazwyczaj zachwyt, fascynacja lub próba wyjaśnienia zaskakujących w pierwszej chwili fenomenów<sup>62</sup>.

Tym, co odróżnia relację Tomalika od wszystkich przywoływanych uprzednio, jest jej „przydrożna” – jeśli mogę tak to określić – perspektywa. Choć autor odnotowuje na kartach swojej książki najróżniejsze wspomnienia z pobytów na antypodach, najwięcej miejsca poświęca wyprawom w męskim gronie po australijskich bezdrożach, z dala od cywilizacji i szlaków turystycznych, w suro-

---

<sup>61</sup> Fraza o kwiatach rodzących się z ognia może sprawiać wrażenie paradoksu. Opisuje w nieco metaforyczny sposób zjawisko biologiczne, o którym była już mowa (por. rozdział *Wylądowaliśmy w Australii*). We frazie tej można by się doszukiwać aluzji do tytułu jednego z rozdziałów książki Tadeusza OLSZEWSKIEGO *Pustynia rodzi kwiaty*. Opisuje w nim autor specyfikę australijskiej roślinności, a intencją zarówno tego tytułu, jak i tytułu całej książki (*Australia. Kraj dziwów i sprzeczności*) jest podkreślenie paradoksów spotykanych na tym niezwykle kontynencie.

<sup>62</sup> Marek Tomalik jest autorem trzech książek poświęconych Australii, każda z nich ma nieco odmienny charakter. Wybieram tutaj do omówienia drugą z publikacji Tomalika na ten temat, ponieważ dostarcza ona – w moim przekonaniu – najciekawszego materiału do analizy. W przeciwieństwie do pierwszej książki (M. TOMALIK, K. TOMALIK: *Australia, moja miłość. Dziennik podróży*. Bielsko-Biała 2000), która jest opisem pierwszych doświadczeń z tym odległym krajem i skupia się bardziej na „realistycznym” opisie, oraz najnowszej (M. TOMALIK: *Lady Australia*. Gliwice 2013), która jest bardzo osobistą wariacją na temat australijskich przeżyć, wybiegającą w stronę poezji i eksponującą jedynie subiektywne ujęcia „kraju w dole globusa”, książka *Australia. Gdzie kwiaty rodzą się z ognia* stanowi ciekawe połączenie elementów reportażowo-informacyjnych z osobistymi, wnoszącymi walor subiektywnego postrzegania poznawanej przestrzeni.



wych i wymagających warunkach. W relacji tej obok opisu niezwykłych krajobrazów czy informacji na temat fauny i flory Australii znaleźć też można wiele nie tak malowniczych „obrazków z podróży”, jak choćby widok martwych kangurów leżących przy drogach – ofiar wypadków<sup>63</sup>, czy też bardzo praktyczne informacje o sposobie pokonywania samochodem zdradliwych piaszczystych wydym (s. 128–129), o tym, jak dbać o zapas paliwa, bez czego nie wyruszać w drogę czy jak się zachować podczas pożaru buszu. W rozbudowanych partiach narracji poświęconych opisowi samej wyprawy, strategicznym i psychologicznym trudnościom, których ona nastrocza, sposobom radzenia sobie ze stresem i przeżywaniu kontaktu z surowym pięknem tego kraju celem autora staje się nie tyle ukazanie odmienności Australii (a już na pewno nie wyliczenie jej turystycznych atrakcji), ile utrwalenie indywidualnego (zastrzeżonego dla nielicznych) stylu poznawania i oswajania tego egzotycznego kraju-kontynentu.

Wyprawa, której Tomalik poświęcił tyle miejsca na kartach swej opowieści, odbywała się śladami (choć czasem to „ślady” rozumiane dość metaforycznie) Strzeleckiego. Paweł Edmund Strzelecki był jednym z odkrywców Australii. W latach 1839–1843 odbył cztery podróże, które znacznie przyczyniły się do poznania tego kontynentu. W obrębie zainteresowań badacza znalazły się przede wszystkim Alpy Australijskie, które – choć figurowały już wówczas na mapach – były praktycznie niezbadane. Wysiłkom Polaka zawdzięczają te góry nie tylko szczegółowy opis, lecz także nazwę najwyższego szczytu, upamiętniającą nazwisko polskiego bohatera Tadeusza Kościuszki:

Dokładne pomiary wykazały później, że Strzelecki pomylił się nieco, gdyż sąsiedni szczyt był trochę wyższy. Australczycy – zgodnie z intencją odkrywcy – przenieśli nazwę Góry Kościuszki na ten właśnie szczyt (2234 m n.p.m.)<sup>64</sup>.

---

<sup>63</sup> Por. M. TOMALIK: *Australia. Gdzie kwiaty rodzą się z ognia*. Kraków 2011, s. 19. Wszystkie cytaty z książki lub odwołania do niej pochodzą z tego wydania, po cytatach podaję numery stron.

<sup>64</sup> T. OLSZEWSKI: *Australia. Kraj dziwów i sprzeczności*. Warszawa 1957, s. 128.

Jeszcze ważniejsze było znalezienie przez Strzeleckiego dogodnych terenów pod hodowlę owiec i bydła w Gippslandzie czy odkrycie miedzi i złota<sup>65</sup> (o czym już pisałam). Tomalik podkreśla wrażenie, jakie na współczesnych musiały wywrzeć dokonania polskiego badacza:

Strzelecki Track, Strzelecki Desert, Strzelecki Regional Reserve, Strzelecki Crossing, Strzelecki Hill, Strzelecki Oil Well – takie nagromadzenie nazw z nazwiskiem badacza na obszarze równym niemal wielkości Polski zawdzięczamy kapitanowi Charlesowi Sturtowi, zwanemu ojcem australijskich odkrywców. Sturt przemierzał te ziemie zaledwie dwa lata po opuszczeniu przez Strzeleckiego Australii, w roku 1845. Jaką siłę musiały mieć odkrycia Pawła Edmunda, jak mocne piętno musiał odcisnąć swoją osobą w tamtym zdecydowanie nie-medialnym świecie, skoro największy autorytet w dziedzinie eksploracji nazwał jego imieniem niemałe fragmenty krajobrazu.

s. 86

Strzelecki zdobył w Australii wiedzę zebrał w pracy *Physical description of New South Wales and Van Diemen's Land* (1845). Tomalik wspomina o wzruszeniu, któremu uległ, trzymając w ręku oryginalne wydanie tego dzieła (s. 76). Relacja autora nosi zresztą wyraźne ślady fascynacji pionierskimi wyprawami w głąb australijskiego lądu oraz dramatycznymi często doświadczeniami jego pierwszych odkrywców. W przeciwieństwie jednak do wysiłków Beaty Pawlikowskiej, próbującej za wszelką cenę ożywić „przeterminowane” zdumienie, które w tamtym świecie towarzyszyć musiało poznawaniu australijskich fenomenów, Tomalik wybiera inny – znacznie bardziej przekonujący – sposób na zbliżenie się do atmosfery pionierskich wypraw badawczych. Przygotowywane przez podróżnika wędrówki, których szlak przebiega z dala od najpopularniejszych turystycznych atrakcji, a które na dodatek związane są

---

<sup>65</sup> Ibidem, s. 128–129.

z koniecznością znoszenia niewygód, ale także ryzykiem, pozwalają w jedyny możliwy i sensowny sposób zbliżyć się do „Australii pionierów i buszmenów”, a taki jej wizerunek wydaje się (nie tylko autorowi tej książki<sup>66</sup>) najatrakcyjniejszy.

Niebezpieczeństwa czyhające na wędrowców w australijskim buszu, z dala od cywilizacji, kiedy jedna gwałtowna ulewa jest w stanie zamienić ich szlak w rwący potok, a zachowania lekkomyślne czy nieuważne można w każdej chwili przypłacić życiem, zdają się nieodzownym i bardzo ważnym elementem owego wizerunku „Australii pionierów”. Trudno nie zauważyć, z jaką satysfakcją odnotowuje Tomalik momenty, kiedy wraz z towarzyszami decyduje się na podjęcie szczególnego ryzyka. Dowiadujemy się zatem na przykład, że:

Nie bez powodu Canning Stock Route jest nazywany szlakiem śmierci, w ciągu 40 lat zginęło tu 30 osób

s. 127

– a jednak uczestnicy wyprawy postanawiają przemierzyć nawet jego zalany, a więc oficjalnie zamknięty i nieprzejezdny odcinek. Wszystkie tego typu wyczyny, potwierdzające ponadprzeciętną odwagę i umiejętność radzenia sobie w ekstremalnie trudnych warunkach, są przez autora książki skrupulatnie i nie bez satysfakcji odnotowywane. Można by w tym zapewne dostrzec pewien stały rys (przynajmniej niektórych) męskich osobowości. Wystarczy przejrzeć choćby wspomnienia Bolesława Dolańskiego, który opowiadając o swoim pobycie w Australii i burzliwych czasach gorączki złota, nie omieszkał odnotować spotkań z buszrendżerami, co należało do repertuaru najpoważniejszych ówczesnych niebezpieczeństw<sup>67</sup>. O ile jednak opowieści Dolańskiego służą wyłącznie kreacji własnego wizerunku, podkreśleniu swojej odwagi i zarad-

---

<sup>66</sup> Jak pisze Adam Jamrozik: „»Akceptowana« historia Australii jest historia pionierów, którzy zapuszczali się w ogromne, otwarte przestrzenie, ujarzmiali surową ziemię i czynili ten kraj wydajnym”. A. JAMROZIK: *The chains of colonial inheritance...*, s. 9.

<sup>67</sup> Zob. rozdział pt. *Gorączka złota* (s. 33–71).

ności, o tyle odnotowywane przez współczesnego podróżnika niebezpieczeństwa, z którymi przyszło się zmierzyć jemu i jego kompanom, służyć mają także (a może nawet przede wszystkim) podkreśleniu siły nieujarzmionej natury, pięknej, ale nie zawsze przyjaznej człowiekowi, wymagającej od niego szacunku i rozwagi. Dlatego momentom, w których dochodzi do głosu owo zamięłowanie do podwyższonego ryzyka, towarzyszą w książce Tomalika obszernie fragmenty, traktujące na przykład o potrzebie odpowiedzialnego i gruntownego przygotowania się do tego typu wypraw oraz ścisłego przestrzegania panujących w buszu zasad (przede wszystkim tych dotyczących bezpieczeństwa). Z dobrego przygotowania, ze zgromadzonej wiedzy i z własnych doświadczeń rodzi się też w tej książce wizerunek australijskiego *outbacku*, który – choć dla nieświadomego jego specyfiki Europejczyka mógłby wyglądać jak miejsce przedziwne i zaskakujące – autorowi wydaje się przestrzenią zrozumiałą i w gruncie rzeczy nieskomplikowaną:

Wbrew pozorom zasady pustynnego buszu są proste, czytelne i łatwe do zrozumienia. Złowroga dżungla zaczyna się dla mnie w mieście i to jej nie rozumiem.

s. 33

Z takim odkrywaniem Australii nieodzownie wiąże się również poczucie „męskiej przyjaźni” – to relacja, która (wypróbowywana w ekstremalnych warunkach dyktowanych nie tylko przez trudności zewnętrzne, lecz także wewnętrzne, natury psychologicznej) okazuje się nad wyraz trwała i stanowi sama w sobie istotną wartość. Marek Tomalik poświęca tej męskiej przyjaźni sporo miejsca w swojej książce – czyni bezpośrednie komentarze na ten temat, charakteryzuje członków swojego „zespołu”, opisuje konflikty i spięcia w trakcie wyprawy, relacjonuje wspólne przygody, czy wreszcie nadaje przytoczonym dialogom nieco szorstki, dosadny styl. Choć te fragmenty opowieści Tomalika mają najbardziej osobisty charakter, a kreowanie zbiorowego autoportretu wydaje się tutaj dominować nad próbą nakreślenia wizerunku „kraju w dole

globusa", to jednak (paradoksalnie) wpisuje się w ten sposób autor bardzo mocno w australijską mentalność, dla której tylokrotnie już przywoływana kategoria *mateship* jest kluczowa. Może dlatego Tomalika nie bawi ani frekwencja słowa *mate* w australijskiej odmianie angielszczyzny, ani powszechność formuły *no worries*. Przeciwnie, autor postrzega te charakterystyczne elementy systemu językowego jako objaw otwartości i przyjaznego nastawienia Australijczyków, tak chętnie włączających swego rozmówcę do „wspólnoty kumpelskiej” (jak tłumaczony jest w książce termin *mateship*) i szukających w każdej sytuacji pozytywnych stron (s. 238–239). Spontanizacja, bezpośredniość, ale i praktyczne nastawienie do życia, znoszące europejski nakaz kreowania swojego wizerunku i dodawania sobie prestiżu czy znaczenia w oczach „innych” zostały przez Tomalika – chyba trafnie – powiązane z owymi surowymi i wymagającymi warunkami, które ukształtowały to młode społeczeństwo i nauczyły szukać prawdziwej wartości poza sferą „ozdobników”. W takim duchu czytać bowiem należy, jak sądzę, historię o komandorze Królewskiej Australijskiej Marynarki Wojennej, któremu przyjaciel autora pomógł uruchomić zakopany w piasku samochód, przy okazji jednak ostro skrytykował brak wyobraźni i odpowiedzialności. Komandor nie tylko nie obraził się i przyznał do błędu, ale w ramach wdzięczności zaproponował wizytę na dowodzonym przez siebie okręcie (s. 250–251).

Tego typu historie o najważniejszych osobach w państwie, które nie oczekują szczególnego traktowania, a na dodatek nie są pozbawione zmysłu samokrytyki, prowokują autora do sformułowania następującego spostrzeżenia:

W Australii nie tylko ministrowie i komandorowie są „kosmiczni”, ale prawie wszystko jest do góry nogami!

s. 251

Sąd ten jest w oczywisty sposób ironiczny, owa „kosmiczność” stanowi tu bowiem efekt porównania z normą europejską; nietrudno zauważyć, że w tym zestawieniu właściwym punktem odniesienia wydaje się jednak ten australijski. W rezultacie zatem to, co

ironicznie określa się tu figurą „odwrócenia do góry nogami”, byłoby raczej jej zaprzeczeniem. Z dalszej części relacji Tomalika dowiemy się, że tym, co naprawdę jest w Australii „na odwrót”, są pory roku, stosunki międzyludzkie trzeba by natomiast postrzegać raczej w kategoriach przywracania właściwego porządku.

O białych mieszkańcach Australii wypowiada się Tomalik z uznaniem, ze zrozumieniem i z sympatią, o rdzennych mieszkańcach kontynentu – wręcz z entuzjazmem. We wstępie do swojej książki deklaruje:

Myślę, że istnieje coś takiego jak prastary korzeń. Przekonałem się o tym, gdy spotkałem Aborygenów. Z naszego punktu widzenia to ludzie mało przystępni i bardzo posępni, niełaknący kontaktu z białymi. Ja widzę to inaczej. Pomimo bariery językowej i kulturowej czuję się w ich towarzystwie dobrze. Nie mam przyjaciół Aborygenów, nawet nigdy dłużej z nimi nie rozmawiałem. Wiele za to z nimi milczałem. Odczuwam trudną do wytłumaczenia bliskość, a nawet więź z tymi ludźmi. Stoi za tym bardziej moja intuicja niż rozum. Zachwyca mnie ich szacunek do natury (ożywionej i nieożywionej), niezwykle surowa, grana „z trzewi” muzyka, mało-widła naskalne uznawane dziś za arcydzieła sztuki, inna niż wszystkie, dla nas pogmatwana i trudna do pojęcia mitologia. Imponuje mi ich poczucie godności, dystans do świata i powściągliwość. Nie uważam, że dogorywają na marginesie naszej cywilizacji. Być może jakieś 300 wcieleń wcześniej, 20 tysięcy lat temu byłem jednym z nich...

s. 8

Zauważyć w tym fragmencie można wszystkie istotne perspektywy, które decydują o wizerunku aborygenów przedstawionym w książce Tomalika. Przede wszystkim wyraźnie akcentuje on swoją osobistą, niejako irracjonalną fascynację rdzennymi mieszkańcami Australii. Taka deklaracja – złożona we wstępie – pozwala zrozumieć również te fragmenty książki, w których autor z pewnego rodzaju naiwnością, odrzucając dostępną wiedzę o aborygen-

skiej kulturze (lub nie dysponując taką wiedzą), dokonuje bardzo prywatnych interpretacji poszczególnych zachowań<sup>68</sup>. Zasadniczym powodem skłaniającym Tomalika do tak pozytywnego postrzegania pierwszych mieszkańców kontynentu jest ich stosunek do przyrody i skomplikowany świat wierzeń (z którym sztuka pozostaje w ścisłym związku). To wstępne wrażenie zostanie potwierdzone w dalszych partiach książki, w których aborygeni konsekwentnie kreowani są na lud natury i lud ducha. Autora zachwyca, potwierdzana nie tylko w wielu relacjach podróżniczych, lecz także w pracach badawczych, Australijczyków znajomość przestrzeni, umiejętność radzenia sobie w ekstremalnych warunkach, wiedza o lokalnej faunie i florze umożliwiające przeżycie w sytuacji, która dla białego człowieka oznaczałaby wyrok śmierci. Tomalik odnotował swoje spotkania z aborygenami żyjącymi z dala od cywilizacji, kultywującymi swoje tradycje i stanowiącymi nieocenione źródło wiedzy o tym, jak radzić sobie na tych trudno dostępnych i – jak można by sądzić – nieprzyjaznych człowiekowi terenach.

We fragmentach, w których Tomalik relacjonuje informacje o wierzeniach aborygeńskich, ujawnia chęć zrozumienia opisywanych fenomenów. To, co pisze o istocie *Dreamtime* czy Ścieżkach Śpiewu, jest w sposób nieunikniony zarówno trafne, jak i nieścisłe – jak większość polskich przekazów na ten temat. Podczas próby przekładu na bliskie nam kategorie tych elementów kultury rdzennych mieszkańców Australii, które nie mają odpowiednika w polskiej tradycji, z konieczności dochodzi do pewnych uproszczeń. To samo dotyczy zresztą przekładów na inne języki czy kultury, czego najlepszą egzemplifikację stanowi powszechnie przyjęty termin *The Dreaming*, który w najlepszym razie uznać można za nieprecyzyjny<sup>69</sup>. Tomalik próbuje zrozumieć świat wie-

---

<sup>68</sup> Za przykład może posłużyć opis ceremonii ślubu, udzielonego autorowi i jego narzeczonej przez przedstawicielkę ludu Larrakia (M. TOMALIK: *Australia. Gdzie kwiaty rodzą się z ognia...*, s. 208–210).

<sup>69</sup> „W literaturze zachodniej termin *The Dreaming* nie ma oczywiście żadnego nacechowania historycznego i mimo że Pierwsi Australijczycy otwarcie podkreślają nieadekwatność angielskiego określenia w stosunku do pojęć, jakich



rzeń i mitów miejscowej ludności, stosuje przy tym nieuniknione uproszczenia, ale nie snuje łatwych, całkowicie wypaczających sens tych wierzeń analogii. Dobrym przykładem tej strategii mogą być rozważania autora na temat Ścieżek Śpiewu. Przede wszystkim rozważania te wpisane zostały w ramę rozmowy z aborygenem, objaśniającym znaczenie tego elementu wierzeń swojego ludu. Zachowanie relacji nauczyciel – uczeń pozwala na w miarę bezpieczne przekładanie istotnych dla pierwszych Australijczyków treści na kategorie zrozumiałe polskiemu podróżnikowi, wszędzie bowiem, gdzie dokonuje on rażących uproszczeń czy nieuprawnionych porównań, interweniuje rozmówca, sprowadzając Europejczyka na właściwą drogę interpretacji. Także tutaj pojawia się zatem, na zasadzie skojarzenia z piosenką i jej funkcją w europejskim świecie, zestawienie Ścieżek Śpiewu z modnym niegdyś przebojem (w tej roli w książce Tomalika występuje piosenka Beaty Kozidrak *Nie ma wody na pustyni*), zostaje ono jednak ironicznie podważone, w ten sposób ujawnia się nieprzystawalność tej analogii do specyfiki Pieśni Stworzenia. W przeciwieństwie zatem do książki Beaty Pawlikowskiej, gdzie utożsamienie piosenki Johna Legenda z tym australijskim fenomenem jest swoistym punktem dojścia i ma sugerować – pozorne – wtajemniczenie w kulturę aborygenów, tutaj porównanie pojawia się w swej właściwej funkcji: przestrzega przed dokonywaniem zbyt łatwych analogii, poucza, że aby zrozumieć istotę Ścieżek Śpiewu, trzeba zawiesić swój „europejski” sposób myślenia o piosence, jej możliwych znaczeniach i funkcjach.

Z książki Tomalika wyłania się jednak również inny wizerunek pierwszych Australijczyków. To obraz ludzi funkcjonujących na marginesie białej społeczności, nieprzystosowanych do rządzących nią praw, dyskryminowanych, nadużywających alkoholu. Wizerunek ten zbudowany jest z pojedynczych epizodów, fragmentów, które nie zostały wplecione w większą, uogólniającą narrację,

---

oni sami używają dla swojej kultury i wierzeń, ludzie biali używają tego określenia jako swoistej metafory wyrażającej tradycję i obyczajowość autochtonów”.  
T. PODEMSKA-ABT: *Znak po znaku...*, s. 7.



a mimo to – a może właśnie dlatego – dobrze pokazujących trudną sytuację ludności tubylczej zmuszonej do życia w świecie, do którego nie chce ona i nie umie należeć. Za pomocą techniki zbliżeń, pojedynczych ujęć portretuje autor tragiczną przeszłość i trudną teraźniejszość australijskich tubylców, odnotowuje zarówno zmiany w polityce rządu wobec aborygenów i ich praw, jak i ciągle jeszcze widoczne w wielu miejscach niechęć oraz przesady białej społeczności, czy wreszcie nieprzystosowanie samych tubylców, skazujące ich na wegetację na obrzeżach cywilizowanej Australii. Autor nie próbuje dokonywać łatwych ocen czy ferować wyroków. Poprzestaje jedynie na stwierdzeniu, że ten ostatni obraz aborygeńskiej społeczności, choć niestety często stanowi podstawę budowania przez zagranicznych turystów ich wyobrażenia o pierwszych mieszkańcach Australii, jest zafałszowany i nie przekazuje nawet części prawdy ani o ich kulturze, ani o historii. Po raz kolejny okazuje się, że fragment mówi czasem więcej niż całość. Bardzo humanistyczna i w istocie swojej bez wątpienia słuszna narracja Pawlikowskiej, narracja, w której „utopione” zostały obrazy życia współczesnych aborygenów, wydaje się dużo bardziej powierzchowna i pozbawiona możliwości zaangażowania czytelnika. Tam, gdzie wszystko zostało już dopowiedziane, wyjaśnione i ocenione, nie ma miejsca na samodzielne zajęcie stanowiska, na zadanie pytań i uświadomienie sobie, jak trudne są odpowiedzi na niektóre z nich.

Zdarzają się autorowi tej książki również momenty, w których brak wiedzy o aborygenach i ich obyczajach powoduje zafałszowania relacji. Opisując jedno ze spotkań z tubylcami, kiedy udzielili oni poszukującym Góry Strzeleckiego Polakom bardzo precyzyjnych wskazówek na temat tego, jak do niej dotrzeć, Tomalik notuje:

Jeden z mężczyzn wstał ospale, wziął kij, zaczął malować kreski na piachu i mamrotać pod nosem. Na tyle jednak wyraźnie, że zrozumieliśmy, że mówił do nas.

– Pojedźcie 20 kilometrów dalej na północ. Po lewej stronie będzie góra, jak olbrzymi kopiec termitów. Trudno ją

minąć – mówił dalej, nie patrząc nam ani przez chwilę w oczy.

Nie chciał kontaktu wzrokowego, poza tym rysował mapę. Jak się później okazało – bardzo precyzyjną.

s. 171–172

Podkreślany przez autora brak kontaktu wzrokowego został tu wytłumaczony wolą mówiącego, jego brakiem chęci, a zatem również potrzeby nawiązania bliższego kontaktu z przybyszami czy zainteresowania nimi. Tymczasem jest to po prostu jeden z elementów aborygeńskiej obyczajowości – tym, że nie patrzy się rozmówcy prosto w oczy, okazuje mu się szacunek.

Z książki Marka Tomalika wyłania się obraz Australii jako kraju o zachwycającej przyrodzie i niezrównanych krajobrazach. Jego rdzenni mieszkańcy to ludzie o niezwykłym charakterze, posiadający oryginalny świat wierzeń; białą społeczność również postrzega autor w sposób nad wyraz pozytywny. Choć nie jest to obraz wyidealizowany, z którego usunięte zostały momenty trudnej czy wręcz dramatycznej przeszłości kolonizacyjnej, rzucającej ciągle jeszcze cień na współczesność – doświadczany boleśnie zwłaszcza w sferze społecznego współistnienia pierwszych Australijczyków z białymi mieszkańcami kraju i kontynentu, obraz to jednak bez wątpienia pociągający, zachęcający do tego, aby podjąć wysiłek, jeśli nawet nie podróży do tego odległego zakątka ziemi, to w każdym razie jego zrozumienia. Australijską specyfikę postrzega autor w kategoriach fascynującej odmienności, a nie dziwności, która budzi zdumienie<sup>70</sup>. Na dodatek dzięki zastosowaniu interesującego chwytu kompozycyjnego książka Tomalika nabiera charakteru otwartego. W rozdziale wstępnym sformułował bowiem

---

<sup>70</sup> Autor wprowadza wprawdzie do swoich rozważań kategorię „zadziwienia”, pisząc: „Ta książka jest próbą uchwycenia i opisanie tego wszystkiego, co kocham w Australii, co mnie w niej zachwyca i nieustannie zadziwia” (s. 16), sądząc jednak ze sposobu, w jaki opisuje australijskie fenomeny w swojej książce, jego „nieustanne zadziwienie” usytuować należy blisko „podziwu”, a nie „zdumienia”, czyli raczej odkrywania w aurze zachwyty fascynujących autora odmienności niż szoku jako reakcji na ich niezrozumiałość i odmienność.

autor większość uogólnień i podsumowań, stanowiących jego własny klucz do zrozumienia kraju położonego pod Krzyżem Południa. Znalazła się tu nawet najkrótsza z możliwych charakterystyka tego wyjątkowego miejsca na ziemi:

wszechobecne kontrasty, nieprzewidywalność przyrody, która wzbudza jednocześnie podziw i lęk, współistnienie żywiołów i pejzaże, których nie ma gdzie indziej.

s. 16

Kończy się natomiast ta książka „poradnikiem buszmena”, w którym mowa jest o tym, jak zaplanować wyprawę w australijski busz, jakich zasad przestrzegać, co zabrać z sobą, jak się zachować w sytuacjach krytycznych. Mowa zatem w tym rozdziale o wszystkim, co trzeba wiedzieć, z a n i m odbędzie się podróż w głąb tego niezwykłego ładu, a nie po jej zakończeniu. Konkluzje wynikające z wielu podróży po Australii znalazły się we wstępie, natomiast w zakończeniu książki zamieścił autor (praktyczne) informacje stanowiące wprowadzenie do podróżowania. Finał tej opowieści jest zatem zachętą do rozpoczęcia własnej wyprawy, której efektem będzie – być może – zupełnie inny wizerunek „kraju w dole globusa”. W ten sposób praca Tomalika „robi” niejako to, co autor zapowiada we wstępie:

Moje słowa są jednak względne, jak wszystko, co nas otacza.  
Może wy zobaczylibyście moją ukochaną ziemię inaczej?

s. 16

Brak podsumowań i konkluzji w finale otwiera tę książkę na dopowiedzenia, czyni miejsce dla innych obrazów Australii.

## Niewidzialni mieszkańcy Nicości

W reportażach Wolanowskiego znajdują się informacje na temat rdzennych mieszkańców Australii, ale nie zajmują one pozycji

uprzywilejowanej<sup>71</sup>. Ten wątek opowieści o „kraju w dole globusa” jest tylko jednym z aspektów budowanego starannie wielostronnego i złożonego wizerunku tego miejsca oraz zamieszkującej go społeczności. Inaczej dzieje się w relacjach podróżniczych Beaty Pawlikowskiej i Marka Tomalika, gdzie tematyka aborygeńska zyskuje rangę wyjątkową. I nie chodzi tu o ilość wzmianek na ten temat czy szczegółowość odnotowywanych obserwacji, ale raczej o znaczenie, jakie przywiązują do tego elementu swojego australijskiego doświadczenia autorzy omawianych w poprzednich podrzędziach książek. Refleksje dotyczące tubylczej kultury i tradycji wyraźnie zabarwione są tutaj fascynacją i chęcią przeniknięcia ich specyfiki (co, jak starałam się wcześniej pokazać, nie jest niestety równoznaczne z autentycznym zrozumieniem wskazywanych fenomenów). Wiele miejsca poświęcają też podróżnicy na opisanie trudnej codzienności rdzennych mieszkańców kontynentu, zmuszonych do funkcjonowania na granicy dwóch światów, kultur i czasów.

Książką o charakterze reportażowym, która w całości poświęcona została aborygenom, jest natomiast praca Mateusza Marczewskiego pod tytułem *Niewidzialni*. Autor przyjmuje pozycję obserwatora australijskiej rzeczywistości, utrwalającego różnorakie obrazki z życia rdzennych mieszkańców kontynentu. Brak tutaj nie tylko jakiegokolwiek próby wprowadzenia postaci obserwatora w obręb toczącej się opowieści, lecz także wyraźnego komentarza czy jednoznacznej oceny prezentowanych scen i wydarzeń. Strategia Marczewskiego polega raczej na stawianiu pytań, komponowaniu całości z fragmentów, które nawzajem się oświetlają, skłaniając czytelnika do refleksji. Ślady autorskiego „ja” widoczne są w tej książce jedynie tam, gdzie tok reportażowy porzucony zostaje na moment

---

<sup>71</sup> Na przykład: w książce *Ląd, który przestał być plotką* poświęcony im został rozdział pod znaczącym tytułem *Spychacze wtargnęły w Czas Marzeń*. Choć – zgodnie z tą zapowiedzią – Wolanowski odnotował dramatyczne zderzenie dwóch światów, pomiędzy którymi przyszło egzystować tubylcom, nie przeszkodziło mu to jednocześnie w postawieniu zaskakującej swą powierzchownością tezy: „wydaje się, że tubylcy australijscy, gdy będą mieli, a mają coraz większą szansę zdobycia wykształcenia, dostosują się łatwo do życia w społeczności australijskiej”. Ł. WOLANOWSKI: *Ląd, który przestał być plotką...*, s. 103.

na rzecz zapisu indywidualnej próby zrozumienia obserwowanych i relacjonowanych fenomenów, przełożenia ich odmienności na bliskie autorowi kategorie. Najpełniej zaznacza on swą obecność w tym jakże interesującym tekście, gdy odnotowuje swoje zmagania z aborygeńską innością, gdy stwierdza, że nie tylko tradycje, wierzenia, kultura tych ludów, lecz także ich mentalność różnią się całkowicie od tego, co przybysz z Polski, z Europy jest w stanie pojąć. Próba zbliżenia się do tej tajemnicy wymaga zakwestionowania, a w każdym razie zawieszenia na moment własnych kategorii porządkujących rzeczywistość, choć prowokuje również do przekładu owych niezrozumiałych fenomenów na bliskie autorowi terminy i jakości.

Zgromadzone w tej książce obrazki z życia rdzennych mieszkańców Australii są bardzo różnorodne. Znajdziemy tu zarówno opisy aborygenów funkcjonujących w zakazanych dzielnicach wielkich miast, dzielnicach budzących strach i zażenowanie białych „sąsiadów”, jak i wizerunki małych osad na pustkowiu, wiosek, które – według relacji autora – znajdują się niejako w połowie drogi pomiędzy cywilizacją a naturą, sprawiając wrażenie jakby nie całkiem jeszcze przez tę ostatnią zagarniętych. Obok ciekawych prób opisu fenomenu Czasu Snu czy Pieśni Stworzenia znaleźć tu można także pozbawioną złudzeń diagnozę dotyczącą mody na tradycyjne malarstwo wśród kolekcjonerów w Australii, Ameryce czy Europie. Jak celnie zauważa Marczewski:

mit i podanie, odwieczne, podstawowe elementy tożsamości Aborygenów, elementy święte i ponadczasowe, poprzez umiejętne przeniesienie ich na płótno stały się zwykłym towarem rynkowym. Opowieść artysty o Śnie Mrówki po skończeniu rysunku na piasku stawała się zupełnie zbyteczna. Pozostała opowieść na płótnie, zestaw kropek, których nikt z kupujących nie rozumiał. Czas Snu, bo większość prac poświęcono wydarzeniom z tamtego mitycznego okresu, został wyceniony<sup>72</sup>.

---

<sup>72</sup> M. MARCZEWSKI: *Niewidzialni*. Wołowiec 2008, s. 53–54. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania, po cytatach podaje numery stron.

Efektem zamiany wierzeń na towary komercyjne stało się zgubienie istoty tego przekazu, dzięki czemu, jak notuje autor, niewiele ludzi potrafi dziś namalować obrazy, które miałyby prawdziwy sens. Marczewski na kartach swej książki wielokrotnie odnotowuje sytuacje pozornie mogące dowodzić uznania dla tradycji rdzennych mieszkańców Australii, szacunku dla ich wierzeń i pradawnej kultury, nie ma jednak złudzeń co do wymowy tego typu aktów, zazwyczaj okazujących się pustymi gestami, pozbawionymi głębszego znaczenia. Jest tak nie tylko w przypadku malarstwa aborygeńskiego, którego popularność wcale nie dowodzi zrozumienia tego fenomenu; podobnym przykładem może być opisane przez autora święto, które miał on okazję obserwować w Sydney:

To miało być spotkanie. Obrzęd, zajrzenie za zasłonę, zaproszenie dla białych od prawowitych właścicieli. Święto o wielowiekowej tradycji w miejscu, gdzie zanim powstał Królewski Park Botaniczny [...], istniała jedna z wielu osad aborygeńskich. Święto z graniem na tradycyjnych instrumentach, śpiewem. Dopiero kiedy dym snujący się po ziemi zaczął zasłaniać stopy tancerek, a potem sięgnął ich kolan, uderzyło mnie, że wszystkie one mają urodę Aborygenek półkrii. W ich ruchach było za dużo subtelności, były szczupłe, miały europejskie rysy i ciemną złocistą cerę. Dzieci z mieszanych małżeństw. Pewnie tancerki z jednego z awangardowych teatrów Sydney.

s. 107

Zamiast integracji mamy tu zatem pozbawiony znaczenia sztafaż, uładzoną, barwną wersję lokalnej tradycji wykorzystaną w celach promocyjnych. Działania takie, jak można wywnioskować, czytając relację Marczewskiego, nie świadczą o zbliżeniu pomiędzy „białą Australią” a pierwszymi mieszkańcami tego kontynentu, ale wręcz przeciwnie – utrwalają relację opartą na dominacji i uprzywilejowaniu pierwszej z tych grup, skoro aborygeńskie obrzędy (podobnie jak wspomniane wcześniej malarstwo) stają się znów pewnym dobrem na sprzedaż, turystyczną atrakcją. Warto dodać,

że w podobny sposób o obecności kultury aborygeńskiej w „oficjalnym obiegu” wypowiadają się sami bezpośrednio zainteresowani. Anita Heiss – poetka i pisarka przynależąca do tej kultury – tak skomentowała symboliczny udział aborygenów w budowaniu wizerunku współczesnej Australii: „Australia jest domem jednej z najstarszych do dziś zachowanych kultur na świecie – kultury tubylczej. To częściej niż cokolwiek innego jest ignorowane lub zapominane. [...] Oryginalni mieszkańcy tego kraju mogą dostarczać dzieł sztuki, żeby powiesić je w galeriach lub foyer, tańczyć na oficjalnych uroczystościach rangi państwowej, ale w jakiś sposób australijski naddatek kulturalny i jego ludzie są szybko zapomniani, kiedy Australia honoruje wielkich Australijczyków. I stara się zakamuflować każdą osobę pochodzenia aborygeńskiego, która kiedykolwiek została ogłoszona »Australijczykiem Roku«. Śmieszne, że białą osobę, która skacze do góry i w dół przed orkiestrą lub do Hollywoodu sprzedaje koncepcję krokodyla siłującego się z Aussie, będzie się uważać za ambasadora kulturalnego, ale Boże pomóż osobie pochodzenia aborygeńskiego, która to robi i która może nawet przynosi międzynarodowe uznanie nacji, przypadnie jej tylko rola symbolu”<sup>73</sup>.

Choć w książce Marczewskiego znaleźć można ciekawe i zdradzające głębszy namysł próby omówienia specyfiki wierzeń i legend rdzennych mieszkańców Australii, tym, co wydaje się szczególnie interesować autora, jest nie religia i obrzędowość aborygenów, ale ich mentalność. Za jej rys charakterystyczny i (jak można sądzić ze sposobu, w jaki został on przedstawiony w książce) budzący zdumienie uznać należy bierność i brak woli walki o zmianę swojego położenia. Już na wstępie swej opowieści autor zauważa:

Zaobserwowane i znamienne: oni tylko rejestrują powstały problem i egzystują z nim. Jest problem, więc trzeba z nim żyć. Żadnej próby naprawy świata, żadnego sprzeciwu. Biegły

---

<sup>73</sup> A. HEISS: *Sacred Cows. Kultura Ozzie. To jest styl życia*. Tłum. T. PODEMSKA-ABT. W: *Świat tubylców australijskich...*, s. 221.



operator skalpela jakimś cudem usunął z tego zbiorowego ciała niewielki narząd, komórkę, kulkę metalową, która kazała golemowi działać. Ten operator usunął im nerw sprzeciwu.

s. 10

W efekcie ludzie ci ukazywani są w relacji Marczewskiego właśnie jako tacy, którzy biernie przyjmując dramat współczesnej egzystencji na marginesie białej cywilizacji, poddają się wyniszczającej ich polityce. Ten brak sprzeciwu ofiar, które potrafią jedynie w milczeniu znosić swój los, został przez autora wyraźnie zaznaczony. Zauważa on na przykład, że jedynym rodzajem buntu, jaki pojawia się wśród członków tej społeczności, są akty wandalizmu lub przemocy wobec białych, ponieważ:

Prawdziwa walka jest niemożliwa. Idea rewolucji czy zbiorowego sprzeciwu byłaby nawet trudna do wytłumaczenia. Siłowa zmiana stanu rzeczy jest dla Aborygenów zbyt abstrakcyjna, aby ją pojąć. Nie leży w ich mentalności.

s. 114

Dla przedstawiciela europejskiej cywilizacji może to być zaskakująca cecha. Zapewne obserwowany przez przemierzającego australijskie miasta i osady w buszu reportera styl życia aborygenów może być potwierdzeniem takiej diagnozy, a jednak budzi ona pewne zastrzeżenia. Lektura współczesnych tekstów prozatorskich i poetyckich tworzonych przez członków tej społeczności, a stanowiących próbę opisanie jej losu skłania do odmiennych refleksji. Znaleźć tu można nie tylko precyzyjne wskazanie problemów, które dręczą aborygeńską społeczność, lecz także celnie wymierzone oskarżenia, gniew na winach tej sytuacji. W odniesieniu do twórczości aborygeńskich autorów podejmujących tę tematykę istnieje nawet określenie *Literatura Aborygeńskiego Protestu*<sup>74</sup>.

---

<sup>74</sup> *Świat tubylców australijskich...*, s. 323.



Mateusz Marczewski zauważa u tubylców całkowitą niezdolność do buntu, ale również – nie bez fascynacji – odnotowuje fakt, że aborygenom udało się osiągnąć stan, w którym wyzbyli się wszelkich potrzeb. Oznacza to jednak w istocie brak woli zmiany. O przedstawicielach tej społeczności pisze:

Nie poszukiwali nowych rozwiązań, nie próbowali udoskonalać. Człowiek, który nie chce zmieniać swojej sytuacji, faktycznie pozbawiony jest potrzeb.

s. 138

Lektura dzieł współczesnych autorów aborygeńskich nie potwierdza takiej konstatacji. Wystarczy przywołać tutaj wiersze Oodgeroo Noonuccal (Kath Walker), jednej z ważniejszych przedstawicielek Literatury Aborygeńskiego Protestu, aby zauważyć, jak bardzo wyraźnie i celnie wyartykułowane tu zostały potrzeby rdzennych mieszkańców Australii, podyktowane właśnie chęcią zmiany sytuacji, w której się znaleźli. Przywołać tu można dla przykładu choćby wiersz pod znaczącym tytułem *Aboriginal charter of rights* [Aborygeńska karta praw]:

We want hope, not racialism,  
Brotherhood, not ostracism,  
Black advance, not white ascendance:  
Make us equals, not dependants.  
We need help, not exploitation,  
We want freedom, not frustration;  
Not control, but self-reliance,  
Independence, not compliance,  
Not rebuff, but education,  
Self-respect, not resignation<sup>75</sup>.

---

<sup>75</sup> OODGEROO NOONUCCAL: *Aboriginal charter of rights*. In: *Macquarie Pen anthology of Aboriginal literature*. Ed. by A. HEISS, P. MINTER. General ed. N. JOSE. Sydney 2008, s. 42. Przekład filologiczny: „Chcemy nadziei, nie rasizmu, / Braterstwa, nie ostracyzmu, / Awansu czarnych, a nie dominacji białych: / Uczyńcie nas równymi, a nie podległymi. / Potrzebujemy pomocy, a nie wyzysku, / Chcemy wolności, a nie fru-

Bardzo wyraźnie w wierszu zaznaczone zostały potrzeby rdzennych Australijczyków, ma on charakter postulatyczny. Wyrażenie „dajcie nam” (*give us*) zostało użyte w tym utworze osiem razy, „uczynicie nas” (*make us*) – cztery. Trudno tu mówić o bierności, braku potrzeb czy niechęci do zmiany własnego położenia. Przeciwnie, intencją osoby mówiącej jest właśnie określenie charakteru owej zmiany, wyliczenie wartości, które są niezbędne, aby mogła ona zaistnieć. Choć w cytowanym wierszu są to pewne podstawowe kategorie (takie jak wolność, szacunek, niezależność), w twórczości Oodgeroo Noonuccal znajdziemy także utwory, w których wskazane i nazwane są konkretne błędy w polityce wobec aborygenów. W dyptyku *Assimilation – No!; Integration – Yes!* [*Asymilacja – nie!; Integracja – tak!*] bardzo wyraźnie ukazana została różnica między polityką asymilacyjną, zakładającą utratę przez aborygenów tożsamości, ich stopniowe roztapianie się w obcej im społeczności („Pour your pitcher of wine into the wide river / And where is your wine? There is only the river”<sup>76</sup>), a polityką integracyjną, której celem jest harmonijna współzystencja („So black and white may go forward together / In harmony and brotherhood”<sup>77</sup>).

W wierszach pisanych przez aborygeńskich autorów pojawiają się często również bezpośrednie wyrazy protestu, gniew i ostre oskarżenia. Przedstawiciel młodszego pokolenia twórców, Lionel Fogharty, w utworze pt. *For I Come – Death in Custody* [*Jeszcze tu wrócę – śmierć w areszcie*] pisze:

The land is not free.  
Dreamtime is not free.  
[...]  
Jail not for me  
but a lot of my people in jail  
[...]  
Murri get out, so we can fight

---

stracji; / Nie kontroli, ale samodzielności, / Niezależności, a nie uległości, / Nie odrzucenia, ale edukacji, / Szacunku do siebie, a nie rezygnacji”.

<sup>76</sup> OODGEROO NOONUCCAL: *Assimilation – No!* In: *Macquarie Pen anthology...*, s. 44.

<sup>77</sup> OODGEROO NOONUCCAL: *Integration – Yes!* In: *Macquarie Pen anthology...*, s. 45.

[...]

For when white man came  
it's been like a jail [...] <sup>78</sup>.

Jest tu nie tylko nawoływanie do walki, lecz także znak negatywnych emocji skierowanych przeciwko tym, którzy są odpowiedzialni za opisywaną przemoc. Należy dodać, że autor dedykował wiersz swojemu bratu, którego dotknął taki właśnie los; sam Fogharty zaangażowany był w protest przeciwko dramatowi, jakim była nieproporcjonalnie wysoka śmiertelność aborygenów osadzonych w aresztach. W podobnie „buntowniczym” tonie zjawisko to przedstawił Grandfather Koori w wierszu *Kolor krwi*. Utwór upamiętnia śmierć aborygeńskiego poety Roberta Walkera:

Kolor krwi  
nigdy nie był tak czerwony  
jak w tym więzieniu Fremantle  
kiedy mieni się na pałkach  
na ścianach na nogach  
czerwone krople na głowach straży.  
Kolor krwi  
nigdy nie był  
tak czerwony czerwony  
jak we krwi poety z plemienia Kokatha  
którego krzyk o sprawiedliwość tak broczy  
którego krzyk o sprawiedliwość  
tak broczy <sup>79</sup>.

---

<sup>78</sup> L. FOGHARTY: *For I Come – Death in Custody*. In: *Macquarie Pen anthology...*, s. 92. „Ziemia nie jest wolna. / Czas Snu nie jest wolny. / [...] / Więzienie nie dla mnie / Ale wielu moich ludzi jest w więzieniu. / [...] / Murri [grupa plemion aborygeńskich tradycyjnie zamieszkujących terytorium obecnego stanu Queensland – M.B.], wyjdźcie, żebyśmy mogli walczyć / [...] / Bo od kiedy przyszedł biały człowiek / jest jak w więzieniu [...]”. Wiersz kończy się przekleństwem wzmagającym ekspresję negatywnych uczuć.

<sup>79</sup> GRANDFATHER KOORI: *Kolor krwi*. W: *Billabong. Poezja australijska*. Zebrała i przetłumaczyła L. AMBER. Warszawa 2001, s. 38.

Poeta, o którym tu mowa, zmarł w więzieniu Fremantle na skutek pobicia<sup>80</sup>. Wiersz ma charakter oskarżenia – obraz strażników mających na sobie krew ofiary służy nie tylko ukonkretnieniu zbrodni, ukazaniu jej w sposób możliwie dosadny, bez uciekania w upiększające metafory, lecz także symbolicznemu wskazaniu odpowiedzialności. Wyraźnie eksponowany w wierszu kolor czerwony pełni funkcję ekspresywną. Ta kojarząca się z krwią i cierpieniem, ale też buntem i protestem barwa „krzyczy”, domagając się zauważenia i uznania reprezentowanych w ten sposób racji. Wrażenie to nasila się w finałowej partii wiersza dzięki zastosowanym tu powtórzeniom.

Wydaje się, że to właśnie literatura byłaby współcześnie tą przestrzenią, w której Marczewski mógłby znaleźć ów sprzeciw, bezskutecznie poszukiwany przez autora obserwującego bierność mieszkańców małych osad i większych miast. W beczynnej egzystencji aborygenów, nastawionej na wymianę rządowych zasiłków na najgorsze produkty naszej cywilizacji: „alkohol, hazard, fast food, słodycze i narkotyki” (s. 92), piszący dostrzega rodzaj błędnego koła: dzieci, obserwując zachowania rodziców, nie widzą dla siebie lepszej przyszłości. Marczewski zauważa:

Bezczynność [...] i pieniądź, który regularnie spływa na konta bankowe, zastąpiły barbarzyńską strychninę.

s. 92

Jest może odrobina przesady w sugestii, że wypłacanie tubylcom zasiłków to celowe działanie rządu zmierzającego do wyłączenia aborygenów niejako ich własnymi rękami, czyli przez ułatwienie im dostępu do tego, co dla nich zabójcze. Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że działania takie są dla rdzennych mieszkańców kontynentu rzeczywiście destrukcyjne.

Autor książki bezskutecznie poszukuje w obserwowanych przez siebie scenach śladu owego sprzeciwu, który mógłby przerwać zamknięty krąg bezradności i bierności, ale za każdym razem dia-

---

<sup>80</sup> Ibidem.

gnozuje, że gesty oporu są jedynie pozorne i nie mają głębszego znaczenia, sprowadzają się bowiem wyłącznie do aktów wandalizmu czy przemocy lub symboli, będących zresztą raczej wynikiem interpretacji obserwatora niż intencji osób działających. Jest tak w przypadku jednego z młodych aborygenów dostarczających tradycyjnych instrumentów właścicielowi galerii w Kathrine handlującemu lokalną sztuką. Marczewski pisze:

Jeden narzucił na ramiona czerwoną rozpinaną bluzę. Detal, ale bluza jest naprawdę czerwona, wręcz jarzy się tą czerwienią. Nie jest to czerwień brudnej ziemi, jest to czerwień, jaka pojawia się tylko na dziecięcych rysunkach, i chłopak wygląda w tej bluzie jak buntownik. Jego bunt jest buntem doskonałym. Jak z bajki. Totalnym i jednocześnie nieprawdziwym.

s. 121

Skąd się bierze to oczekiwanie na sprzeciw, to tropienie trudno dostrzegalnych, a zgodnie z tezą postawioną przez samego autora – także niemożliwych, bo sprzecznych z mentalnością tubylców, śladów buntu? Nadinterpretacją byłoby zapewne stwierdzenie, że dochodzi tu do głosu perspektywa polska – wyćwiczona przez trudne doświadczenia historyczne skłonność do wzniecania protestów, rebelii czy rewolucji. A jednak warto może – na prawach anegdoty czy też dopełnienia relacji Marczewskiego – pokusić się o przywołanie także tego kontekstu. Polacy niewiele zapewne wiedzą o dyskryminacji rasowej, ale „wstrząśnienia polityczne” przez długi czas czyniły ich dobrze obeznanymi z problemami niewoli, braku swobód i praw. Ten rodzaj doświadczeń czyni nas być może szczególnie wrażliwymi na głosy sprzeciwu rdzennych mieszkańców Australii wobec tego, jak źle są traktowani w swoim własnym kraju. Tezę taką w odniesieniu do literatury aborygeńskiej postawiła Teresa Podemska-Abt, upatrując w historycznym doświadczeniu Polaków szansy na to, że będą oni dobrze przygotowani do odbioru „wielowarstwowej wymowy dzieła aborygeńskiego, szczególnie mocno nacechowanego polityką, dążeniem do wolności, tradycjo-

nalizmem, historyzmem i narodowościowo podobną kulturową specyfiką motywów mitycznych, folklorystycznych, środowiskowo-naturalistycznych<sup>81</sup>. Prowadzone przez Podemską-Abt badania nad recepcją utworów aborygeńskich autorów w Polsce potwierdziły rozpoznawalność stosowanych przez nich strategii; kreacje bohaterów czy podmiotów poetyckich często wywoływały skojarzenia z polskimi bohaterami romantycznymi<sup>82</sup>. A jednak utwory zbyt wyraźnie nawiązujące do formuły protest songów, choć wpisujące się w czytelną i znaną dobrze w całej Europie formę oraz tradycję, wzbudzały niechęć czytelników. Deklarowany wprost sprzeciw, bezpośrednie oskarżenia czy też rodzaj pouczenia skierowanego do odbiorcy budziły niechęć. Było tak choćby w przypadku bardzo zaangażowanej, wyraźnie osadzonej w tradycji oporu i protestu twórczości Anity Heiss. Podsumowując wypowiedzi i interpretacje czytelnicze utworów tej poetki, Teresa Podemska-Abt pisze: „Zdawałoby się, że poetyka tego gatunku jest dobrze znana w Polsce i nie wzbudzi interpretacyjnych kontrowersji, tymczasem nie wszystkie stosowane przez poetkę sposoby komunikacji z czytelnikiem zostały bezkrytycznie przyjęte przez odbiorców. Wnosząc z analiz, współcześni czytelnicy polscy, czytając polityczną poezję aborygeńską, przyjęli postawę outsiderów nie tylko w stosunku do poetyckiego bohatera aborygeńskiego, ale także do podobnych bohaterów polskich, podkreślając niezaangażowane usytuowanie swojego pokolenia wobec reżimu komunistycznej Polski oraz fakt, iż ten typ poezji oraz jej historyczne zakorzenienie znają tylko z lekcji historii, filmu, sztuki i opowiadań rodziców lub dziadków”<sup>83</sup>. Postawa taka zatem, choć niewątpliwie zrozumiała dla czytelnika i wpisująca się w rozpoznawalne dla niego struktury, budziła w odbiorcach niechęć i obojętność.

Z przywołanego kontekstu nie można, rzecz jasna, wyprowadzać zbyt daleko idących wniosków w interesującej mnie tutaj

---

<sup>81</sup> T. PODEMSKA-ABT: *Między unikalnością a uniwersalizmem: obraz bohaterów aborygeńskich. Recepcja australijskiej literatury aborygeńskiej w Polsce*. „Postscriptum Polonistyczne” 2012, nr 1 (9), s. 152.

<sup>82</sup> Ibidem, s. 165.

<sup>83</sup> Ibidem, s. 167.

kwestii, warto jednak – w moim przekonaniu – odnotować dwie rzeczy. Po pierwsze, ów sprzeciw, którego bezskutecznie poszukuje Marczewski w codziennym życiu aborygenów na australijskiej prowincji i na obrzeżach wielkich miast, nie jest całkowicie nieobecny i nie do pomyślenia (czy wypowiedzenia) przez pierwszych mieszkańców kontynentu. Literatura aborygeńska dowodzi tego ponad wszelką wątpliwość<sup>84</sup>. Po drugie, wspólne doświadczenie zniewolenia, niesprawiedliwości, ograniczenia praw i słusznego buntu przeciwko takim zjawiskom – przy wszystkich nieusuwalnych różnicach – może być płaszczyzną porozumienia nawet pomiędzy odległymi mentalnie i kulturowo ludźmi. Potwierdza się to pośrednio w ukazanym na kartach książki Marczewskiego upartym tropieniu oznak aborygeńskiego sprzeciwu. Możliwość takiego porozumienia deklarują także aborygeńscy autorzy, co bezpośrednio potwierdzają fragmenty rozmowy, którą Teresa Podemska-Abt przeprowadziła z Ruby Langford, pragnąc uzyskać zgodę na tłumaczenie jej prac. To właśnie doświadczenia rodzinne i osobiste polskiej autorki (przeżycia wojenne jej rodziców i wspomnienia z życia w komunistycznej Polsce) skłaniają aborygeńską pisarkę do wyznania: „widzę, że trochę możesz nas Aborygenów rozumieć”<sup>85</sup>. Wyniki badań nad recepcją literatury aborygeńskiej w Polsce dowodzą jednak, że ta wspólna płaszczyzna porozumienia w odczuciu młodego pokolenia czytelników – choć rozpoznawalna – nie ma już mocy jednoczącej ani tym bardziej zachęcającej do sięgnięcia po współczesne teksty rdzennych mieszkańców Australii.

Jedną z cech wyróżniających książkę Mateusza Marczewskiego jest – jak już wspomniałam – to, że choć z pasją i interesująco pisze on o przeszłości, tradycjach i wierzeniach aborygenów, głów-

---

<sup>84</sup> Być może trafniej ujmuje tę specyfikę aborygenów Wiesław Olszewski, nazywając ich „ludźmi niezdolnymi do stawienia zorganizowanego oporu” (W. OLSZEWSKI: *Historia Australii*. Wrocław 1997, s. 127–128), określenie to nie wyklucza bowiem odczuwania przez ludność tubylczą gniewu, utrwalonego choćby w przywoływanych wcześniej zapisach, a jedynie niemożność aktywnego przeciwstawienia się przemocy.

<sup>85</sup> *Świat tubylców australijskich...*, s. 322.

nym przedmiotem zainteresowania autora jest ich mentalność ujawniająca się w aktualnym życiu, które zmuszeni są wieść niejako „wyrwani” ze swojego naturalnego środowiska, pozbawieni oparcia w pradawnej kulturze swoich przodków, która – choć ukształtowała tubylców – staje się dla nich samych coraz bardziej obca. W tych fragmentach książki, gdzie miejsce opisu konkretnych zaobserwowanych przez autora sytuacji lub relacjonowania wypowiedzi napotkanych osób zajmuje próba wytłumaczenia sobie, w kategoriach bliskich i zrozumiałych, odmienności aborygenów, uchwycenia tego najważniejszego rysu sprawiającego, że „ich” świat zdaje się tak zupełnie nie przylegać do „naszego”, najpełniej dochodzi do głosu autorskie „ja”. W subiektywnym ujęciu Marczewskiego tą cechą jest bowiem właśnie brak potrzeb, chęci zmiany własnego losu, akceptacja stanu, w którym się trwa. Warto przytoczyć sposób, w jaki autor tej relacji wyjaśnia ów fenomen. Pyta mianowicie, co by się stało,

gdyby nagle, w jednej chwili, wszystkim ludziom na ziemi objawił się Bóg.

s. 157

Gdyby zamiast przekonania, że „Bóg umarł”, ludzkość zyskała nagle pewność, że On istnieje:

Wszystko by się zmieniło. Powszechne stałoby się twierdzenie, że dobra doczesne są li tylko doczesne. W oczekiwaniu na nagrodę ludzie traktowałiby życie jak poczekalnię przed większą i piękniejszą salą. [...] Świat stanąłby w miejscu, nie byłoby chętnych do wykonywania wszystkich tych prac, które nie służą bezpośrednio przeżyciu. Egzystencja sprowadzona do minimum opierałaby się na trosce o jedzenie, okrycie, podstawowe potrzeby. Więcej zgłoszeń byłoby na etat stróża budowy, niż na posadę menadżera, więcej chciałoby stać przy kasie i sprzedawać hamburgery, niż zarządzać całą siecią restauracji.

s. 158



Trudno sobie wyobrazić taki stan, ale – jak konkluduje Marczewski –

Coś takiego prawdopodobnie przydarzyło się wieki temu właśnie Aborygenom.

s. 158

Choć jest to postawa tak doskonale nam obca, budząca zaskoczenie i potrzebę odnalezienia chociaż prób zaspokajania potrzeb innych niż podstawowe oraz elementów buntu przeciwko systemowi, który to uniemożliwia, trzeba „jakoś” tę postawę wytłumaczyć, w przeciwnym razie bowiem pozostawia się obserwatora w pełnym zdumienia poczuciu, że przedstawiciele prastarej kultury pogrążeni są dziś w marazmie oraz zgubnej bezczynności. Wytłumaczenie, które na użytek własny i swoich czytelników konstruuje autor, pozwala to, co niepokojące i budzące dyskomfort, pokazać jako efekt głębszej, niedostępnej nam w codziennym doświadczeniu zbiorowej mądrości.

Wielokrotnie autor definiuje rdzennych mieszkańców Australii przez pryzmat kategorii kojarzących się w naszym języku (i kulturze) z negacją, zaprzeczeniem, ale i z brakiem, z negatywnym nacechowaniem. Wszystko po to, aby w toku prowadzonych rozważań dokonać subtelного przesunięcia znaczeń, zawiesić bliski sobie system ocen i interpretacji, zmienić sensy wynikające z tych pozornie jasnych klasyfikacji. Najwyrazistszym tego typu przykładem jest oczywiście określenie aborygenów mianem „niewidzialnych”. Koncept ten, zaczerpnięty z pracy Johna Pilgera *A secret country*, posłużył za tytuł całej książki<sup>86</sup>. Z jednej strony określenie to ewokuje skojarzenia negatywne. Niewidzialni, czyli ci, których się nie dostrzega, których sam fakt istnienia się ignoruje; wielowiekowa i uprawniona obecność aborygenów pod australijskim niebem jest wymazywana ze świadomości tych, którzy przejęli ich ziemie we władanie. Opierając się na rozważaniach Pilgera, Marczewski zauważa:

---

<sup>86</sup> Por. J. PILGER: *A secret country*. London–Melbourne–Sydney 1990, s. 23–25.

niech tak zostanie. Oni wszyscy już umarli.

s. 104

Z drugiej strony na ten obraz nakłada się inne, bliższe aborygeńskiemu, rozumienie kategorii „niewidzialności”. Wymazanie tych ludzi z australijskiej współczesności dokonuje się tu bowiem za pomocą metafory oddającej typowy dla zachodniej cywilizacji sposób myślenia. Dominuje zmysł wzroku: odwrócenie spojrzenia, ominięcie wzrokiem tego, na czym nie chce się zatrzymać oka, jest gestem negacji, eliminacji „elementów” niechcianych, niepotrzebnych, kłopotliwych. Rzecz jednak w tym, że w rozumieniu aborygeńskim owo spojrzenie nie ma tak wielkiego znaczenia, nie może ani włączać do wspólnoty podejmującej interakcję, ani z tej wspólnoty wyłączać. Marczewski przypomina, że aborygeni nie mają zwyczaju patrzeć rozmówcy prosto w oczy i nie jest to ani wyraz braku szacunku, ani lęku przed drugim człowiekiem:

Nawet nie czują potrzeby tłumaczyć tego, dlaczego ich oczy spoglądają gdzie indziej, kiedy rozmawiają. „Biali komunikują się okiem do oka. My komunikujemy się sercem do serca i umysłem do umysłu. W ten sposób możesz usłyszeć wewnętrzny głos człowieka, jego duszę” – mówią.

s. 24

Unikający wzroku rozmówcy aborygeni realizują zatem ideał komunikacji (znany i nam, choćby za sprawą literatury romantycznej) mówienia wprost, komunikowania najszczerzych emocji, niefałszowanych przez słowa (stąd tak ważnym elementem tego procesu jest milczenie) – w wypadku tubylców odbywa się to jednak bez pośrednictwa spojrzenia. W ten sposób tytułowe określenie rdzennych mieszkańców Australii jako „niewidzialnych” traci swą jednoznaczną wymowę, postrzegane z perspektywy innych, „nie-aborygenów”, pozostaje wyrazem dyskryminacji, eliminowania z własnego myślenia o świecie niewygodnej prawdy o pierwszych mieszkańcach kontynentu i ich tragicznym losie. Umieszczone w kontekście kultury i tradycji tubylczej słowo „niewidzialni” traci jednak wy-

łącznie negatywne konotacje. W pewien sposób „niewidzia(l)ni” są też przecież dla siebie aborygeńscy rozmówcy, którzy zamiast patrzeć sobie w oczy, siedzą obok siebie ze wzrokiem skierowanym w przestrzeń, lecz nie przeszkadza im to doskonale się porozumiewać.

Podobną strategię zastosował autor w przypadku drugiego ważnego słowa określającego charakter rdzennych mieszkańców kontynentu – słowa „Nicość”. Marczewski używa go w odniesieniu do pustynnych terenów zajmujących centralną część Australii, na których żyć przyszło wielu aborygeńskim plemionom. Nicość, pustka, nieprzyjazne pustynne warunki – wszystko to znów ewokuje negatywne skojarzenia, ludzie, którzy przychodzą z „Nicości”, zdają się naznaczeni jakimś brakiem. W najlepszym razie można uznać to określenie za manifest współczucia dla tych, którzy zmuszeni byli radzić sobie w skrajnych warunkach i których „niczym” – niejako: na starcie – nie obdarowano. W relacji Marczewskiego pojęcie to jednak znów poddane zostaje transformacji, ujawnia inny wpisany w nie sens. „Nicość”, choć trudna do oswojenia i wymagająca, wymusza pewne specyficzne podejście do świata. Tam, gdzie nie ma niczego, co warto byłoby posiadać, przetrwanie zależy od zrozumienia, poznania otaczającego świata, a nie gromadzenia dóbr. Dlatego aborygeni jawią się autorowi jako ludzie autentycznie związani z ziemią, rozumiejący przestrzeń, w której żyją, dla których:

Posiadać znaczyło współlistnieć, a nie władać.

s. 134

Być może tutaj właśnie szukać należy specyfiki aborygeńskiego podejścia do życia – podejścia tak zaskakującego nie tylko dla przyszła z Europy, lecz także dla białego mieszkańca Australii<sup>87</sup>. Owa

---

<sup>87</sup> Bardzo podobnie postrzega fenomen aborygenów Frank Brennan, który pisze: „Przez dziesiątki tysięcy lat, aż do 1788 roku Aborygeni żyli całkowicie odizolowani, nie doświadczając agresji z zewnątrz. [...] Aborygeni nie uważali się za jeden naród – nie mieli wspólnego wroga, więc nie musieli się jednoczyć, nie było im to potrzebne [...]. Ziemia była najważniejsza zarówno dla tożsamości grupy, jak i w wierzeniach religijnych. Członkowie grupy aborygeńskiej widzieli w sobie

zgoda na zastaną rzeczywistość, którą Marczewski określa jako „brak nerwu sprzeciwu”, może być bowiem rodzajem innej (głębszej?) świadomości, umiejętnością zobaczenia siebie w szerszym kontekście, wychodzącym poza poczucie krzywdy i chęć odwetu. John Pilger w swojej (przywoływanej przez Marczewskiego przy okazji omawiania „niewidzialności”) książce tłumaczy ów fenomen, cytując wypowiedź Pata Donsona, potomka ludu Yaoro: „Powiedziałem, że zdumiewa mnie ewidentny brak goryczy wśród aborygenów. »Pamiętam – odpowiedział – moją wściekłość i frustrację w pewnym momencie... nie wiedziałem, gdzie mam pójść [...]. Ale wtedy posłuchałem starszego człowieka, mojego dziadka, który mówił o duchu dającym początek wiatrowi i drzewom, słońcu i morzu, duchu, którego nikt nie kontroluje. Mimo nieludzkich zachowań i niesprawiedliwości, ludzkość musi być postrzegana z tej szerszej perspektywy. [...] Mówił, że kompletne ludzkie doświadczenie zakłada umiejętność zobaczenia, co kryje się w drugim człowieku«”<sup>88</sup>. Być może to najlepsze wytłumaczenie fenomenu biernej postawy aborygenów, które w tym kontekście nabiera raczej znamion głębszej mądrości, nieograniczonej perspektywą pamięci jednego czy kilku pokoleń, ale odwołującej się do samych podstaw światopoglądu rdzennych mieszkańców tej ziemi.

W książce Mateusza Marczewskiego zetknięcie się z pierwszymi mieszkańcami kontynentu, ich tradycjami i wartościami, które wyznają, prowadzi do bardzo osobistego przeżycia. Ale opowieść o australijskich tubylcach, w tym także o ich niełatwej współczesności, jest ważna z pozajednostkowych powodów. Stanowi istotne uzupełnienie myślenia o Australii, o jej dziejach i sposobie ich interpretacji. Uzupełnienie bardzo ważne, bo zmieniające klucz, według którego odczytywać można i trzeba historię białego osadnictwa na tym odległym kontynencie. Zacytujmy na zakończenie raz jeszcze Johna Pilgera, który celnie ujął istotę tej zmiany: „Kiedy

---

ludzi, którzy należą do swojej ziemi. Europejczycy uważali siebie za przyszłych właścicieli tej ziemi, Aborygeni natomiast czuli, że to raczej ziemia była ich właścicielką”. F. BRENNAN: *Walka Aborygenów o ziemię, życie i kulturę*. W: *Australia. Kraj pełen tajemnic*. Napisał R. SMITH, fotografował S. ABELL. Warszawa 2000, s. 54.

<sup>88</sup> J. PILGER: *A secret country...*, s. 64–65.

wykreśli się aborygenów, australijska historia wyda się apolityczną, nieco heroiczną baśnią o zmaganiach białego człowieka z Naturą, o »narodowym sukcesie«, pozbawionym czarnych, kobiet i innych kłopotliwych elementów. Po uwzględnieniu aborygenów jest to zupełnie inna historia. To historia grabieży, wywłaszczenia i walki, masakry i oporu. Jest to historia w każdym calu tak samo dramatyczna jak historia Stanów Zjednoczonych, hiszpańskiej Ameryki czy kolonialnej Afryki czy Azji. Jest to, przede wszystkim, historia polityczna<sup>89</sup>.

---

<sup>89</sup> Ibidem, s. 31.

## Australia – „przez wieki idąca powieść”

Nieprzerwana od dwustu lat obecność Australii w literaturze polskiej zaowocowała dziełami, które w interesujący sposób ukazują specyfikę tego miejsca na ziemi, nazywanego niegdyś „krajem zagubionego widnokładu” ze względu na rozległe, otwarte przestrzenie<sup>1</sup>. Pozostawione w tekstach polskich autorów wizerunki Australii, choć zbudowane często, co starałam się zaznaczać, z podobnych elementów, jako konstrukcje całościowe różnią się wyraźnie, a różnice te wynikają najczęściej z sytuacji samych piszących, powodów, dla których autorzy zdecydowali się sięgnąć po australijską tematykę, i celów, które chcieli w ten sposób zrealizować, a także wymogów gatunku, w którym tekst swój zdecydowali się ukształtować. Inna zatem musi być australijska utopia Gutkowskiego, który nigdy nie postawił stopy na tym dalekim kontynencie, inne wspomnienia poszukiwaczy złota, emigrantów odkrywających pod Krzyżem Południa nową ojczyznę czy relacje reporterów i podróżników, utrwalających własne obserwacje, ale i mających na uwadze przekazanie czytelnikowi konkretnych wiadomości na temat australijskiej specyfiki. Choć zdarzało mi się w toku prowadzonych w tej pracy analiz konfrontować spostrzeżenia piszących z ustaleniami badaczy czy faktami historycznymi, nie czyniłam tego w celu wskazania ewentualnych nieścisłości w omawianych przekazach, a jedynie po to, aby

---

<sup>1</sup> W. MIDOWICZ: *Australia drzemie za siedmioma morzami*. Pruszków 1996, s. 19.

odkryć te miejsca, w których relacje przeradzały się w kreację, a wizerunki Australii wylaniające się z omawianych tekstów zaczynały zdradzać wyraźnie subiektywne, odautorskie piętno.

Indywidualne wybory piszących wynikają z wielu czynników i trudno na podstawie analizowanych przykładów przewidywać, w jaką stronę rozwijać się będzie w przyszłości „portretowanie” Australii w literaturze polskiej. Jeśli w dotychczasowych, opisanych w tej książce tekstach można było wysledzić jakąś wspólną, ogólniejszą tendencję, to dotyczy ona chyba pewnego „oswajania” australijskiej „dziwności”. Wprawdzie niektóre jej elementy zawsze będą wprawiały w zdumienie i zachwyt Europejczyków (niesamowite krajobrazy, fauna i flora składająca się w około osiemdziesięciu procentach z endemitów, niezwykle tradycje rdzennych mieszkańców kontynentu), jednak przemiany kulturowe, społeczne, a nawet technologiczne, którym podlega zarówno Australia, jak i Polska, sprawiają, że niektóre, wywołujące niegdyś zdumienie, fenomeny staną się czymś zwyczajnym.

W wydanej w 1973 roku książce Żanny Kormanowej przeczytać można między innymi następujące wspomnienie autorki z wizyty w australijskiej księgarni:

I jeszcze dział cały jakichś kartoników z nadrukami. Kapitałne – to życzenia na najróżniejsze życiowe okazje. Urodzinowe na każdy wiek, inne dla 7-letnich, inne dla 8-letnich itd. Ślubne, zaręczynowe, rocznicowe i kondolencyjne, z wydrukowaną formułą życzeń i odpowiednio szpetnymi ozdobami rysunkowymi i graficznymi. Kup, człowieku, podpisz, zaadresuj i wrzuc do skrzynki pocztowej – czyż można bardziej zracjonalizować i usprawnić kłopotliwe obowiązki towarzyskie?<sup>2</sup>

Coś, co mogło budzić zdumienie w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, jest już dziś (niepoddawaną refleksji) częścią naszej codzienności. Wydaje się rzeczą oczywistą, że właśnie z opisu

---

<sup>2</sup> Ż. KORMANOWA: *Kontynent nieznanym. Notatki australijskie*. Warszawa 1973, s. 31–32.

życia codziennego Australijczyków ten element zdumienia będzie znikał najszybciej. Ze względu jednak na rozpowszechnienie wiadomości na temat Australii (popularyzowanych w dostępnych źródłach informacji) oraz ułatwienia w podróżowaniu także przyrodnicza specyfika tego kraju-kontynentu i jego pełna niezwykłych momentów historia staną się elementami pewnej podstawowej wiedzy i będą opisywane raczej jako fascynujące niż dziwne. Zapewne spełni się zatem w przyszłości ów ideał, o którym pisał cytowany przeze mnie we wstępie szwedzki badacz: Australia przestanie być postrzegana jako kraj bardzo odległy, stanie się jednym z tych, które są tuż obok<sup>3</sup>.

---

<sup>3</sup> S.B. LILJEGREN: *Aspects of Australia in contemporary literature*. Lund 1962, s. 52.





# Bibliografia

## Bibliografia podmiotowa

### Teksty podstawowe

- DOLAŃSKI B.: *Trzy epoki z życia mego, czyli wyjazd do Australii, tamże mój pobyt i powrót do Europy*. Oprac. A. WALASZEK. Kraków 1981.
- GUTKOWSKI W.: *Podróż do Kalopei*. Oprac. Z. GROSS. Warszawa 1956.
- KACZMARSKI J.: *Plaża dla psów*. Warszawa 1998.
- KACZMARSKI J., VOLNY P.: *Życie do góry nogami*. Warszawa 2004.
- KORZELIŃSKI S.: *Opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 1856*.  
Oprac. A. MAUERSBERGER. T. 1 i 2. Warszawa 1954.
- MARCZEWSKI M.: *Niewidzialni*. Wołowiec 2008.
- PAWLIKOWSKA B.: *Blondynka w Australii*. Warszawa 2011.
- PODEMSKA-ABT T.: *Żywe sny*. Kraków 2002.
- TOMALIK M.: *Australia. Gdzie kwiaty rodzą się z ognia*. Kraków 2011.
- WIŚNIEWSKI S.: *Pani Jeziora; Świąteczka w ciemnym kraju*. W: IDEM: *Koronacja króla wysp Fidżi oraz inne nowele, obrazki i szkice podróżnicze*. Oprac. J. TUWIM, B. OLSZEWICZ. Warszawa 1953.
- WOLANOWSKI L.: *Ani diabeł, ani głębina. Dzieje odkryć Australii opowiedziane ludziom, którym się bardzo spieszy*. Warszawa 1987.
- WOLANOWSKI L.: *Ląd, który przestał być plotką*. Warszawa 1983.
- WOLANOWSKI L.: *Pocztą do Nigdy-Nigdy. Reporter w kraju koali i białego człowieka*. Warszawa 1978.
- WOLANOWSKI L.: *Pocztą do Nigdy-Nigdy*. Wyd. 5. uzup. Warszawa 1989.

### Teksty pomocnicze

- ADAMS D.: *Riding the rays*. In: IDEM: *The salmon of doubt*. Foreword by S. FRY. London 2003.
- AMBER L.: *Australijska zima i inne wiersze*. Poznań 2005.
- AMBER L.: *Geografia pamięci i inne wiersze*. Olsztyn 2010.
- Billabong. *Poezja australijska*. Zebrała i przetłumaczyła L. AMBER. Warszawa 2001.
- CARBONI R.: *The Eureka Stockade*. With an introduction by T. KENEALLY. Melbourne 2004.
- CHATWIN B.: *Pieśni stworzenia*. Przeł. K. PUŁAWSKI. Warszawa 2008.
- FAUCHERY A.: *Letters from a miner in Australia*. Translated from French by A.R. CHISHOLM. Melbourne [1965].
- KISCH E.E.: *Wylądowałem w Australii*. Tłum. Z. PETERSOWA. Warszawa 1952.
- KRAJEWSKI M.D.: *Wojciech Zdarzyński życie i przypadki swoje opisujący*. Kraków 2002.
- KRASICKI I.: *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki*. W: IDEM: *Dzieła wybrane*. Oprac. Z. GOŁIŃSKI. T. 2. Warszawa 1989.
- LOCKWOOD D.: *Ja, Australijczyk*. Przeł. Z. SROCZYŃSKA. Warszawa 1969.
- Macquarie Pen anthology of Aboriginal literature*. Ed. by A. HEISS, P. MINTER. General ed. N. JOSE. Sydney 2008.
- MORGAN S.: *My place*. Fremantle 1987.
- Podróż Bougainville'a dookoła świata*. Przeł. M. SZWYKOWSKA, L. SZWYKOWSKI. Warszawa 1962.
- REED A.W.: *Aboriginal fables and legendary Tales*. Sydney–Melbourne–London 1998.
- SZKLARSKI A.: *Tomek w krainie kangurów*. Katowice 1966.
- TOMALIK M.: *Lady Australia*. Gliwice 2013.
- TOMALIK M., TOMALIK K.: *Australia, moja miłość. Dziennik podróży*. Bielsko-Biała 2000.
- TWAIN M.: *Following the Equator*. Hartford, Connecticut 1898.
- WIŚNIEWSKI S.: *Dziesięć lat w Australii*. T. 1 i 2. Lwów 1873.
- WITKIEWICZ S.I.: *Listy do Bronisława Malinowskiego*. Wstęp E.C. MARTINEK. Przyg. do druku T. JODEŁKA-BURZECKI. Warszawa 1981.
- WITKIEWICZ S.I.: *Metafizyka dwugłowego cielęcia*. W: IDEM: *Dzieła zebrane. Dramaty*. [Cz.] 2. Oprac. J. DEGLER. Warszawa 1998.
- WOLANOWSKI L.: *Min-Min. Mała opowieść o wielkim ładzie*. Warszawa 1977.
- The works of 'Banjo' Paterson with an introduction and bibliography*. Hertfordshire 1995.
- WRIGHT A.: *Karpentaria*. Tłum. K. PUŁAWSKI. Poznań 2009.

*Zielona zima. Antologia poezji i prozy polskiej w Australii.* Wybór, wstęp i oprac. L. AMBER. Lublin 1997.  
ZIELONKA J.: *Antypody.* Warszawa 1998.

## Bibliografia przedmiotowa

### Australiana

- BATE W.: *Victorian gold rushes.* Ballarat 1999.  
BAK M.: *Pan Australski i złoto Wiktorii. Wspomnienia Seweryna Korzelińskiego.* Katowice 2011.  
BAK M.: *Polka w Australii. O twórczości Teresy Podemskiej-Abt.* W: *Literatura polska w świecie. T. 4: Oblicza światowości.* Red. R. CUDAK. Katowice 2012.  
BAK M.: *Rozważny i romantyczny. Seweryn Korzeliński i jego przedmowa do „Opisu podróży do Australii i pobytu tamże”.* W: *Romantyczne przemowy i przedmowy.* Red. J. LYSZCZYNA, M. BAK. Katowice 2010.  
BAK M.: *Złoto dla zuchwałych, nie dla żonatych. O pamiątkach Seweryna Korzelińskiego.* W: *Rodzina w czasach przełomów. Literackie diagnozy od XIX do XXI wieku.* Red. K. KRAKOWSKA-GĄTKOWSKA, B. NOWACKA. Katowice 2011.  
BRENNAN F.: *Walka Aborygenów o ziemię, życie i kulturę.* W: *Australia. Kraina pełna tajemnic.* Napisał R. SMITH, fotografował S. ABELL. Warszawa 2000.  
BURCHARD P.: *Australijczycy.* Warszawa 1990.  
CLARK M.: *Historia Australii.* Przeł. K. BAŻYŃSKA-CHOJNACKA, P. CHOJNACKI. Warszawa–Gdańsk 2004.  
DURKHEIM E.: *Elementarne formy życia religijnego. System totemiczny w Australii.* Przeł. A. ZADROŻYŃSKA. Wstęp E. TARKOWSKA. Warszawa 1990.  
HALTOF M.: *Kino australijskie. O ekranowej konstrukcji Antypodów.* Gdańsk 2005.  
HOCKING G.: *Gold.* Rowville 2006.  
HORNE D.: *The lucky country. Australia in the sixties.* Adelaide 1968.  
*An introduction to the National Gallery of Australia.* Canberra 1992.  
JAMROZIK A.: *The chains of colonial inheritance. Searching for identity in a subservient nation.* Sydney 2004.  
JAMROZIK A.: *Social change and cultural transformation in Australia.* Cambridge 1995.  
JENKINS T.: *We came to Australia.* London 1969.  
KACZMARSKI J.: [Wywiad z audycji „Sekrety – Konkrety”]. Pozyskano z: [www.kaczmarski.art.pl/tworczosc/epika/zapowiedzi/plaza.php](http://www.kaczmarski.art.pl/tworczosc/epika/zapowiedzi/plaza.php) (30.07.2013).

- KŁOSIŃSKI K.: *Egzotyzm po polsku*. „Śląsk” 1997, nr 7.
- KORMANOWA Ż.: *Kontynent nieznany. Notatki australijskie*. Warszawa 1973.
- LESZCZYCKI S., FLESZAR M.: *Australia, Oceania, Antarktyka*. Warszawa 1971.
- LILJEGREN S.B.: *Aspects of Australia in contemporary literature*. Lund 1962.
- LIPIŃSKA E.: *Polskość w Australii. O dwujęzyczności, edukacji i problemach adaptacyjnych Polaków na antypodach*. Kraków 2013.
- LISTKIEWICZ P.: *Australia – przekłeta ziemia obiecana*. Kultura. Pozyskano z: [studiazaprog1.blogspot.com/2011/05/piotr-listkiewicz-australia-przekleta-13.html](http://studiazaprog1.blogspot.com/2011/05/piotr-listkiewicz-australia-przekleta-13.html) (30.07.2013).
- MAĆKÓW A.: *The ashes: how cricket strengthened Australian identity*. In: *Australia. Identity, memory and destiny*. Eds. S. NICIEJA, R.W. WOLNY. Opole 2008.
- MALINOWSKI B.: *Aborygeni australijscy. Socjologiczne studium rodziny i inne prace przedterenowe*. Przeł. K. OLECHNICKI, T. SZLENDAK, W. ADAMEK. Warszawa 2002.
- MIDOWICZ W.: *Australia drzemie za siedmioma morzami*. Pruszków 1996.
- MUDROORO: *Aboriginal mythology*. London 1994.
- OLSZEWSKI T.: *Australia. Kraj dziwów i sprzeczności*. Warszawa 1957.
- OLSZEWSKI W.: *Historia Australii*. Wrocław 1997.
- PASZKOWSKI L.: *Malinowski i Witkacy w Australii; Conrad w portach Australii*. W: *Zielona zima. Antologia poezji i prozy polskiej w Australii*. Wybór, wstęp i oprac. L. AMBER. Lublin 1997.
- PASZKOWSKI L.: *Polacy w Australii i Oceanii 1790–1940. Z przedmową J. ZUBRZYCKIEGO*. Londyn 1962.
- PILGER J.: *A secret country*. London–Melbourne–Sydney 1990.
- PODEMSKA-ABT T.: *Miedzy unikalnością a uniwersalizmem: obraz bohaterów aborygeńskich. Recepcja australijskiej literatury aborygeńskiej w Polsce*. „Postscriptum Polonistyczne” 2012, nr 1 (9).
- PODEMSKA-ABT T.: *Wstęp. W: Świat tubylców australijskich. Antologia literatury aborygeńskiej*. Oprac. T. PODEMSKA-ABT. Kraków 2003.
- Polska – Australia, dwie ojczyzny!* Warszawa 1997.
- RICKARD J.: *Australia: historia kultury*. Przeł. W. WEJNERT. Red. nauk. W. OLSZEWSKI. Wrocław–Warszawa–Kraków 1994.
- ROBERTS A., ROBERTS M.J.: *Dreamtime heritage. Australian Aboriginal myths*. Adelaide 1989.
- SPRENGEL M.: *Emigracja polska w Australii w latach 1980–2000*. Toruń 2004.
- STRZELECKI P.E.: *Krajowcy Nowej Południowej Walii i Ziemi Van Diemena*. W: *Nowa Południowa Walia*. Przeł. J. FLIS. Warszawa 1958.
- STRZELECKI P.E.: *Złoto i srebro; Raport o odkryciu Ziemi Gippsa*. W: IDEM: *Pisma wybrane*. Oprac. W. SŁABCZYŃSKI. Warszawa 1960.

- WHITE R.: *Inventing Australia. Images and identity 1688–1980*. Sydney–Boston–London 1981.
- WHITLAM G.: *The Whitlam Government 1972–1975*. Ringwood–New York 1985.
- ZIMECKI T.: *Australia kusząca obietnicą*. Warszawa 1976.

### Teksty pomocnicze

- BACHELARD G.: *Wyobrażenia poetycka: wybór pism*. Wyboru dokonał H. CHUDAK. Przeł. H. CHUDAK, A. TATARKIEWICZ. Przedmowa J. BŁOŃSKI. Warszawa 1975.
- BARTYŚ J.: *Wizjoner czy fantasta. O życiu i działalności Wojciecha Gutkowskiego (1775–1826)*. Lublin 1983.
- Becoming visible: Women in European history*. Eds. R. BRIDENTHAL, C. KNOOZ. Boston 1977.
- CHŁĘDOWSKI K.: *Album fotograficzne*. Oprac. A. KNOT. Wrocław 1951.
- CYRAN M.: *Taka przyjaźń się nie zdarza. Stanisław Ignacy Witkiewicz – Bronisław Kacper Malinowski*. „Język Polski w Liceum” 2011/2012, nr 3.
- GAJDA K.: *To moja droga. Biografia Jacka Kaczmarskiego*. Wrocław 2009.
- GROSS Z.: *Wstęp*. W: W. GUTKOWSKI: *Podróż do Kalopei*. Oprac. Z. GROSS. Warszawa 1956.
- JAGODZIŃSKI Z.: *Anglia wobec sprawy polskiej w okresie Wiosny Ludów 1848–1849*. Warszawa 1997.
- JANION M.: *Kobieta – Rycerz*. W: EADEM: *Kobiety i duch inności*. Warszawa 1996.
- KALEMBKA S.: *Wielka Emigracja 1831–1863*. Toruń 2003.
- KING Ch.: *Dzieje Morza Czarnego*. Przeł. Z. PIOTROWSKA. Warszawa 2006.
- KOWALCZYKOWA A.: *Świadek autoportretu*. Warszawa 2008.
- KOZICKI S.: *Przeważnie o reportażu*. „Nowa Kultura” 1954, nr 29–30.
- KOZŁOWSKI W.M.: „Podróż do Kalopei”. *Pierwsza utopia socjalistyczna polska*. „Sfinks” 1913, nr 3.
- KRZYWY R.: *Opis podróży jako kategoria historycznoliteracka*. W: *Od hodoeporikonu do eposu peregrynackiego. Studium z historii form literackich*. Warszawa 2001.
- LALAK D.: „Swoi” i „Obcy” w perspektywie antropologiczno-społecznej. W: *Migracja, uchodźstwo, wielokulturowość. Zderzenie kultur we współczesnym świecie*. Red. D. LALAK. Warszawa 2007.
- LYSZCZYNA J.: *Gawęda*. W: IDEM: *Literatura polskiego romantyzmu*. Warszawa 2002.
- PIWIŃSKA M.: *Posłowie*. W: EADEM: *Miłość romantyczna*. Kraków–Wrocław 1984.

- PIWIŃSKA M.: *Złe wychowanie: fragmenty romantycznej biografii*. Warszawa 1981.
- Polski słownik biograficzny*. Red. E. ROSTWOROWSKI. T. 14. Wrocław–Warszawa–Kraków 1968–1969.
- REJTER A.: *Kształtowanie się gatunku reportażu podróżniczego w perspektywie stylistycznej i pragmatycznej*. Katowice 2000.
- REYCHMAN J.: *Działalność Mickiewicza w czasie Wojny Krymskiej*. Warszawa 1955.
- ŚLABCZYŃSKI W.: *Polscy podróżnicy i odkrywcy*. Warszawa 1973.
- Słownik terminów literackich*. Red. J. ŚLAWIŃSKI. Wrocław 1988.
- TUMIALIS A.: *Podróże Wolanowskiego. Cztery razy dookoła świata*. „Gazeta Uniwersytecka UŚ” 2006, kwiecień (dodatek specjalny).
- WALCZEWSKA S.: *Damy, rycerze, feministki. Kobiety dyskurs emancypacyjny w Polsce*. Kraków 1999.
- WITKOWSKA A.: *Cześć i skandale. O emigracyjnym doświadczeniu Polaków*. Gdańsk 1997.
- WOJTAK M.: *Analiza gatunków prasowych*. Lublin 2010.
- Wokół reportażu podróżniczego*. T. 3: *Lucjan Wolanowski (1920–2006). Studia – szkice – materiały*. Red. D. ROTT, M. KUBIK. Katowice 2009.
- WOLNY-ZAMORZYŃSKI K., KALISZEWSKI A., FURMAN W.: *Gatunki dziennikarskie. Teoria. Praktyka. Język*. Warszawa 2006.
- ZGORZELSKI A.: *Fantastyka, utopia, science-fiction. Ze studiów nad rozwojem gatunków*. Warszawa 1980.
- Zostały jeszcze pieśni... Jacek Kaczmarski wobec tradycji*. Red. K. GAJDA, M. TRACZYK. Kraków 2010.

## Indeks osobowy

- A**  
Abell Sam 193, 201  
Adamek Wojciech 62, 202  
Adams Douglas 149, 200  
Amber Ludwika 11, 96, 108, 111, 112, 119, 184, 200, 201, 202
- B**  
Bachelard Gaston 102, 203  
Bartyś Julian 15, 16, 18, 20, 21, 203  
Bate Weston 33, 65, 201  
Bażyńska-Chojnacka Katarzyna 22, 78, 201  
Bąk Magdalena 52, 203  
Błoiński Jan 102, 203  
Bolesław Śmiały, król polski 18, 28  
Bougainville Louis Antoine de 22, 23, 24, 28, 29, 200  
Brennan Frank 192, 193, 201  
Bridenthal Renate 88, 203  
Brown Edward 45  
Burchard Przemysław 27, 28, 163, 164, 201
- C**  
Carboni Rafaello 49, 50, 58, 200  
Chatwin Bruce 163, 200  
Chisholm A.R. 37, 200  
Chisholm Caroline 79, 80  
Chłędowski Kazimierz 35, 203  
Chojnacki Piotr 22, 78, 201  
Chudak Henryk 102, 203  
Clark Manning 22, 29, 78, 201  
Conder Charles 92  
Conrad Joseph 12, 13, 202  
Cook James 30, 145, 146  
Cyran Maria 10, 203
- D**  
Dampier William 30  
Degler Janusz 12, 200  
Dolański Bolesław 34–36, 38, 40–45, 49, 52–54, 59, 60, 61–63, 65, 66, 68–71, 74, 168, 199
- E**  
Entrecasteaux Antoine de 22, 23
- F**  
Fauchery Antoine 37, 200  
Fitzroy Charles 45, 46  
Fleszar Mieczysław 18, 22, 145, 202  
Flis Jan 34, 60, 202  
Fogharty Lionel 183, 184  
Fry Stephen 149, 200  
Furman Wojciech 141, 204



**Gajda** Krzysztof 108, 109, 119, 204  
**Gawroński** Andrzej 118, 119  
**Gipps** George 33  
**Goliński** Zbigniew 19, 200  
**Graham** Ruth 88  
**Grandfather** Koori 184  
**Gross** Zygmunt 16, 22, 199, 203  
**Gutkowski** Wojciech 5, 15, 16,  
18–31, 195, 199, 203

**Haltorf** Marek 113, 201  
**Hargraves** Edward 33  
**Heiss** Anita 180, 182, 187, 200  
**Hocking** George 201  
**Horne** David 138, 139, 201  
**Hotham** Charles 46, 52

**Jagodziński** Zdzisław 35, 203  
**Jamrozik** Adam 34, 76, 118, 150,  
168, 201  
**Janion** Maria 88, 203  
**Jenkins** Thomas 97, 98, 201  
**Jodełka** Burzecki Tomasz 10, 200  
**Jones** dr 45  
**Jose** Nicholas 182, 200

**Kaczmarek** Jacek 106, 108, 109–  
115, 118–120, 123–126, 199, 201,  
203, 204  
**Kalembka** Sławomir 35, 38, 203  
**Kaliszewski** Andrzej 141, 204  
**Karnicki** Ksawery 95  
**Kelly** Ned 140, 141  
**Keneally** Tom 50, 200  
**King** Charles 59, 203  
**Kisch** Egon Erwin 95, 200  
**Kleinbaum** Abby R. 88  
**Kłosiński** Krzysztof 9, 202  
**Knouz** Claudia 88, 203

**Knot** Antoni 35, 203  
**Kormanowa** Żanna 196, 202  
**Korzeliński** Seweryn 9, 34–43, 45,  
47–61, 63–71, 74, 79–82, 96, 128,  
144, 199, 201  
**Kowalczyk** Alina 93, 203  
**Kozicki** Stefan 136, 139, 203  
**Kozłowski** Władysław M. 16, 203  
**Krajewski** Michał Dymitr 19, 20,  
200

**Krasicki** Ignacy 19, 200  
**Kretkowska** Ewa 124  
**Krzywy** Roman 34, 203  
**Kubik** Mariusz 128, 204

**La Pérouse** Jean François 22  
**La Trobe** Charles 45, 46  
**Lalak** Danuta 108, 203  
**Lalor** Peter 46, 47  
**Langford** Ruby 188  
**Leszczycki** Stanisław 18, 22, 145,  
202  
**Liljegren** Sten Bodvar 7, 197, 202  
**Lipińska** Ewa 97, 114, 120, 202  
**Listkiewicz** Piotr 156, 202  
**Lyszczyzna** Jacek 52, 142, 201, 203

**Maćków** Agata 91, 202  
**Marczewski** Mateusz 177–182, 185,  
186, 188–193, 199  
**Martinek** Edward C. 10, 200  
**Mauersberger** Adam 35, 51, 55, 65,  
79, 199  
**Mickiewicz** Adam 58, 87–89, 93,  
204  
**Midowicz** Władysław 195, 202  
**Minter** Peter 182, 20  
**More** Thomas 17, 22  
**Morgan** Sally 159, 200

Napiórkowska Anna 106  
Nicieja Stankomir 91, 202

Olechnicki Krzysztof 62, 202  
Olszewicz Bolesław 74, 199  
Olszewski Tadeusz 34, 45, 47, 165,  
166, 202  
Olszewski Wiesław 7, 34, 60, 188, 202  
Oodgeroo Noonuccal (Kath Walker) 182, 183

Paszkowski Lech 11, 12, 13, 51, 73,  
95, 202  
Paterson Andrew „Banjo” 148, 200  
Pawlikowska Beata 144–150, 152–  
165, 167, 173, 174, 177, 199  
Petersowa Zofia 95, 200  
Pilger John 61, 114, 115, 190, 193, 202  
Piotrowska Zuzanna 59, 203  
Piwińska Marta 85, 203  
Puławski Krzysztof 157, 163, 200

Rejter Artur 130, 133, 137, 204  
Reychamn Jan 58, 204  
Roberts Ainslie 143, 202  
Roberts Melva Jean 143, 202  
Roberts Tom 92  
Rostworowski Emanuel 51, 204  
Rott Dariusz 128, 204

Sawicka Jadwiga 108  
Scobie James 46  
Shelley Percy Bysshe 85  
Ślabczyński Wacław 33, 34, 75,  
202, 204  
Ślawiński Janusz 17, 204  
Smith Roff 193, 201  
Spong Hilda 92  
Sprengel Mieczysław 107, 202

Streeton Arthur 92  
Strzelecki Paweł Edmund 33, 34,  
59, 60, 75, 164, 166, 167, 202  
Szklański Alfred 9, 10, 200  
Szlendak Tomasz 62, 202  
Szwytowska Maria 22, 200  
Szwytowski Ludwik 22, 200

Tatarkiewicz Anna 102, 203  
Thompson George 45  
Tomalik Katarzyna 165, 200  
Tomalik Marek 101, 110, 155, 164–  
177, 199, 200  
Tumialis Andrzej 129, 204  
Tuwim Julian 74, 199  
Twain Mark 59, 143, 200  
Tyrowicz Marian 16

Vespucci Amerigo 22  
Volny Patrycja 120, 123, 125, 199

Walaśzek Adam 36, 199  
Walczeńska Sławomira 88, 204  
Walker Kath zob. Oodgeroo Noonuccal  
Węgrzecki Stanisław 16  
White Richard 78, 90, 150, 203  
Whitlam Gough 148, 203  
Wiśniowski Sygurd 5, 10, 73–75, 77,  
80, 82, 83, 86, 89, 91, 93, 150,  
199, 200  
Witkiewicz Stanisław Ignacy 10–12,  
200, 203  
Witkowska Alina 35, 36, 204  
Wojtak Maria 130, 204  
Wolanowski Lucjan 22, 26, 34, 123,  
127–144, 149, 176, 177, 199, 200,  
204  
Wolny Ryszard W. 91, 202

Wolny-Zamorzyński Kazimierz 141,  
204

Woźniakowska Anna 129

Wright Alexis 157, 200

**Z**gorzelski Andrzej 17, 19, 204

Zielonka Jurek 107, 110, 113, 201

Zimecki Tadeusz 8, 203

Magdalena Bąk

## In the middle of nowhere The image of Australia in Polish literature

### S u m m a r y

Although Australia has not been among the most popular subjects found in Polish literature, it has appeared regularly in works in a range of literary genres. It has been presented in many different ways and there is some interesting material to be analysed. This book discusses several selected literary works in which Australia has been presented. The following texts have been chosen for analyses: *Podróż do Kalopei* by Wojciech Gutkowski, *Opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 1856* by Seweryn Korzeliński, *Trzy epoki z życia mego, czyli wyjazd do Australii, tamże mój pobyt i powrót do Europy* by Bolesław Dolański, short stories *Pani Jeziora* and *Światelka w ciemnym kraju* by Sygurd Wiśniowski, selected poems by Teresa Podemska-Abt, Jacek Kaczmarek's novels *Plaża dla psów* and *Życie do góry nogami* (written together with Patrycja Volny), collections of Australian reportages by Lucjan Wolański, *Niewidzialni* by Mateusz Marczewski and travel books by Beata Pawlikowska (*Blondynka w Australii*) and Marek Tomalik (*Australia. Gdzie kwiaty rodzą się z ognia*). The selection of texts discussed in this book provides evidence that Australia as a subject has appeared in Polish literature constantly since the end of the Age of Enlightenment. It also shows that although the images of Australia are usually created from similar elements, they can be significantly different from one another and can serve different purposes.



Magdalena Bąk

## Au-delà de l'horizon... L'image de l'Australie dans la littérature polonaise

### R é s u m é

L'Australie n'est pas un sujet le plus souvent abordé dans la littérature polonaise, mais elle apparaît régulièrement sur les cartes des oeuvres appartenant aux types divers de la littérature, à savoir les belles-lettres, les mémoires, les reportages ou les relations de voyage. Elle connaît beaucoup d'approches intéressantes, qui fournissent un matériel à l'analyse.

L'objectif de ce livre est de présenter des oeuvres représentant des types d'écriture différents, où l'Australie a marqué sa présence de manière intéressante. Parmi les textes analysés se trouvent: *Podróż do Kalopei* de Wojciech Gutkowski, *Opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 1856* de Seweryn Korzeliński, *Trzy epoki z życia mego, czyli wyjazd do Australii, tamże mój pobyt i powrót do Europy* de Bolesław Dolański, les nouvelles *Pani Jeziora* et *Świąteczka w ciemnym kraju* de Sygurd Wiśniowski, les poèmes du tome *Żywe sny* de Teresa Podemska-Abt, les romans de Jacek Kaczmarski *Plaża dla psów* et *Życie do góry nogami* (écrit avec Patrycja Volny), les recueils de reportages d'Australie de Lucjan Wolanowski, *Niewidzialni* de Mateusz Marczewski, aussi que les livres de Beata Pawlikowska *Blondynka w Australii* et de Marek Tomalik *Australia. Gdzie kwiaty rodzą się z ognia*. Le choix proposé souligne le fait que la thématique d'Australie apparaît dans la littérature polonaise continuellement de la fin des Lumières jusqu'aujourd'hui. L'auteur démontre également que les images de ce continent, émergeant des textes, peuvent être très variées, malgré l'utilisation des éléments très semblables dans la description de ce pays lointain.

Fotografia znaku przedstawiającego diabła tasmańskiego  
David Jamrozik

Redaktor  
Magdalena Starzyk

Projekt okładki  
Magdalena Starzyk

Redaktor techniczny  
Małgorzata Pleśniar

Korektor  
Barbara Jagoda

Łamanie  
Edward Wilk

Copyright © 2014 by  
Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego  
Wszelkie prawa zastrzeżone

**ISSN 0208-6336**  
**ISBN 978-83-226-2281-0** (wersja papierowa)  
**ISBN 978-83-226-2398-5** (wersja elektroniczna)

Wydawca  
**Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego**  
**ul. Bankowa 12B, 40-007 Katowice**  
[www.wydawnictwo.us.edu.pl](http://www.wydawnictwo.us.edu.pl)  
e-mail: [wydawus@us.edu.pl](mailto:wydawus@us.edu.pl)

---

Wydanie I. Ark. druk. 13,25. Ark. wyd. 11,5.  
Papier offset. kl. III, 90 g    Cena 34 zł (+ VAT)

---

Druk i oprawa: „TOTEM.COM.PL Sp. z o.o.” Sp.K.  
ul. Jacewska 89, 88-100 Inowrocław





Więcej o książce



CENA 34 ZŁ	ISSN 0208-6336
(+ VAT)	ISBN 978-83-226-2281-0